

Nowa powieść autorki
bestsellera *Początek wszystkiego*

ROBYN SCHNEIDER

Dzień
OSTATNICH
SZANS



moondrive

ROBYN SCHNEIDER

Dzień
**OSTATNICH
SZANS**

tłumaczenie Aga Zano

moondrive

Kraków 2018

*Danielowi, który zapytał, jaką książkę
poleciałabym mu na podróż samolotem.
Wreszcie mam odpowiedź: właśnie tę.*

*„Nie chciałem całować cię na pożegnanie, tylko na dobranoc,
a to wielka różnica”.*

Ernest Hemingway

*„Przysuń krzesło na skraj przepaści,
a opowiem ci pewną historię”.*

Francis Scott Fitzgerald

ROZDZIAŁ 1

LANE

Pierwszej nocy w Latham House długo nie mogłem zasnąć. Leżałem z szeroko otwartymi oczami w swoim wąskim pokoiku ze skosami w domu numer 6 i zastanawiałem się, ile osób tu umarło. To nie były czcze rozmyślenia. Wszystko sobie policzyłem. Zrobiłem rachunek prawdopodobieństwa. I wyszedł mi wynik: osiem. Tylko że zawsze byłem beznadziejny z matmy.

W piątej klasie kazali nam robić testy z tabliczki mnożenia na czas. Pięć minut na stronę, na każdej stronie pięćdziesiąt zadań, a żeby przejść do zadań z kolejną cyfrą do przemnażania, nie wolno było popełnić ani jednego błędu. Nasze postępy zapisywano na plakacie z jaskraworóżowego brystolu, który powieszono na ścianie, tak żeby wszyscy go widzieli. Za każdą prawidłowo wykonaną stronę przy imieniu ucznia na plakacie pojawiała się uśmiechnięta buźka. Patrzyłem, jak inni zbierają kolejne wyróżnienia, podczas gdy ja wciąż mnożyłem przez siedem. Co wieczór siedziałem nad fiszkami, ale to nie pomagało, bo nie miałem problemu z mnożeniem. Chodziło o presję wywołaną przez dwie rzeczy: 1) musiałem wykonać zadanie w krótkim

czasie i 2) musiałem wszystko rozwiązać prawidłowo.

Kiedy wreszcie odpłynąłem w sen, śniły mi się domy, które spadały do oceanu i tonęły. Woda je połykała, ale domy wynurzały się z czarnych odmętów, gnijące i oblepione wodorostami, po czym dryfowały na falach do brzegu i wyruszały na poszukiwanie swoich właścicieli.

Jestem jedynakiem, więc przerażała mnie perspektywa korzystania ze wspólnej łazienki. Dlatego pierwszego poranka mój budzik zadzwonił o szóstej rano i kiedy wszyscy jeszcze spali, przemknąłem przez korytarz na palcach, ściskając w dłoniach ręcznik i kosmetyczkę.

Dziwnie się czułem, biorąc prysznic w butach – byłem kompletnie nagi, z wyjątkiem japońskich sandałów na stopach. Mycie włosów w kabinie prysznicowej wielkości mydelniczki w niczym nie przypominało mojej normalnej poniedziałkowej toalety. Nie spodziewałem się, że kiedyś uda mi się do tego przyzwyczaić.

W domu zwykle odwlekałem moment wstania z łóżka tak długo, że ledwie zostawało mi dość czasu, by złapać czystą koszulę i wepchnąć w siebie batonik musli w samochodzie. W drodze do szkoły słuchałem piosenek, które akurat leciały w radiu. Nie dlatego, że mi się podobały – to były moje karty tarota. Dobre piosenki zapowiadały dobry dzień. Kiepskie oznaczały, że pewnie dostanę czwórkę na kartkówce.

Ale tego poranka stałem przy oknie swojego pokoju w domu numer 6, zapinałem koszulę i czułem się jak zupełnie inny człowiek. Jakby ktoś wziął gumkę do ścierania i zaczął wymazywać moje życie – jednak zamiast pozbyć się wszystkiego, usunął tylko te fragmenty, które ja właśnie chciałem zachować.

W miejscu dziewczyny, psa i samochodu pozostały tylko bladezielony winylowy materac, pokój z widokiem na las i ból w piersi.

Przyjechałem tu wczoraj późnym wieczorem. Przywieźli mnie rodzice: tata zaciskał dłonie na kierownicy, mama siedziała ze wzrokiem wbitym przed siebie. Sześć godzin słuchaliśmy radia NPR przy otwartych oknach. Całą drogę nikt się nie odzywał. Kiedy w końcu dotarliśmy na miejsce, już dawno było po kolacji i dochodziła pora ciszy nocnej.

Latham nie wydawało mi się prawdziwe. Jeszcze nie. Zdążyłem się z nim trochę zapoznać, kiedy skradałem się o świcie korytarzem, ale jeszcze nie byłem jednym z jego mieszkańców.

Kończył się wrzesień, miałem siedemnaście lat. Sześćset kilometrów stąd trwał właśnie mój ostatni rok liceum – beze mnie. Staralem się o tym nie myśleć, gdy stałem na ganku i czekałem na swojego przewodnika. Był rześki poranek, górskie powietrze kłuło chłodem. Usiłowałem w ogóle nie koncentrować się na swojej sytuacji, bo byłem pewien, że kiedy tylko w pełni ją sobie uświadomię, to się załamie. Zamiast tego myślałem o mokrych klapkach, zadaniach matematycznych i o swojej komórce, którą miałem przy sobie przez kilka krótkich godzin w samochodzie. Zaraz po naszym przyjeździe została skonfiskowana.

Broszurka powitalna, którą otrzymałem wczoraj wieczorem, zapowiadała: „Twój Ambasador Pierwszego Dnia Szkoły Grant Harden spotka się z Tobą na ganku o 7.55, zabierze Cię na śniadanie i pomoże Ci znaleźć klasę, w której odbędzie się Twoja pierwsza lekcja”.

Czekałem więc na Granta, a obok mnie przepływał strumień uczniów idących na stołówkę w najróżniejszych kombinacjach dresów i piżam, jakbyśmy byli na koloniach.

Oczywiście Grant się spóźnił, więc sterczałem przed wejściem całą wieczność, a z każdą chwilą czułem coraz większą irytację. Uważałem to za kompletny idiotyzm: oni zakładali, że nie będę umiał samodzielnie znaleźć stołówki czy jedynego na terenie Latham budynku, w którym odbywają się

lekcje, więc należy mnie publicznie odeskortować.

Zerknąłem na zegarek: 8.09. Nie wiedziałem, ile czasu powinienem czekać, zanim to przekroczy granicę zdrowego rozsądku. Postąpiłem jeszcze kilka minut, po czym się poddałem i ruszyłem na stołówkę.

Odnalezienie sali, złapanie tacy na jedzenie i dołączenie do kolejki na wpół nieprzytomnych nastolatków nie było żadnym wyzwaniem. Proszę bardzo, nie potrzebowałem niańki. To tylko szkolny bufet. Postawiłem na tacy miskę płatków i mały kartonik mleka. Zauważyłem, że w moim starym liceum dawali mleko tej samej firmy, z krową wyszczerzoną w głupawym uśmiechu. Jakie to dziwne – wszystko inne się zmieniło, ale mleko zostało to samo.

Przesuwałem tacę po blacie, mijając półmiski z jajkami, babeczkami i grzankami. Ale dopiero gdy usłyszałem, jak ktoś woła do przyjaciół, żeby zajęli mu miejsce przy stoliku, zrozumiałem swój błąd: byłem kompletnie sam. Tak mi się spieszyło na stołówkę, że nie przemyślałem porządnie całej strategii. Może gdybym poszedł rano do łazienki ze wszystkimi, skacząc na główkę w chaos, zamiast go unikać, znalazłbym kogoś, z kim mógłbym zjeść śniadanie. Teraz nawet nie wiedziałem, kto mieszka na moim piętrze. Prędko zbliżałem się do początku kolejki i nie mogłem nawet schować się za ekranem telefonu, by w ten sposób zamaskować katastrofalny fakt, że nie mam z kim usiąść w zatłoczonej stołówce.

Sądziłem, że nie dałoby się tego bardziej koncertowo spieprzyć, kiedy wtem znalazłem się na początku kolejki, a dietetyczka popatrzyła na moją tacę z takim grymasem, jakby poczuła się osobiście urażona moim wyborem płatków śniadaniowych.

– To wszystko? – zapytała.

– Nie jestem głodny – odparłem. Nigdy nie miałem ochoty na jedzenie z samego rana, mój apetyt zwykle budził się dopiero koło południa.

– Nie mogę się na to zgodzić – oznajmiła, jakbym robił jej na złość. – Jeśli nie czujesz się na siłach, żeby zjeść pełny posiłek, to należało iść do pielęgniarki przed śniadaniem.

Jeśli nie czuję się na siłach. Boże, ale wstyd.

– To mój pierwszy dzień – odpowiedziałem z desperacją w głosie. – Nie wiedziałem.

Zerknąłem za siebie. Zdawałem sobie sprawę, że wstrzymuję kolejkę, i miałem ochotę zapaść się pod ziemię. Nie ma to jak zrobić wrażenie. Nie wiedziałem, że istnieje szkoła, w której można zawalić egzamin ze śniadania.

Właściwie... Powinienem był wiedzieć. Grant miał mi to wyjaśnić.

– Możesz iść z powrotem i dobrać jakieś białko. Albo dostać punkt karny, jeśli wolisz.

Dietetyczka patrzyła na mnie nieprzyjaźnie. Miała ogorzałą cerę i wąskie wargi, teraz ściągnięte w ciup. Czekwała.

Aż mnie zmroziło na samą myśl, że miałbym na oczach całej stołówki wrócić na koniec kolejki. Ona nie mogła mówić poważnie. A jednak.

– Więc? – zapytała.

Chciałem być takim gościem, który bierze na klatę punkt karny – cokolwiek to miało oznaczać – tylko po to, by pokazać, że nic sobie nie robi z systemu. Ale nim nie byłem. Przynajmniej jeszcze nie wtedy. Należałem do gatunku pokornych kujonów. Kiedy rozlegał się alarm, uciekałem. Na sprawdziany przychodziłem z zapasowym długopisem. Wziąłem więc głęboki oddech i posłusznie ruszyłem na koniec kolejki, odprowadzany przez dziesiątki par oczu.

– Ale cię zmasakrowała – stwierdził chłopak przede mną, pyzaty Hindus w moim wieku. Na nosie miał staromodne okulary, a na głowie szopę czarnych włosów. Była dopiero ósma rano, ale jego już rozpierała nerwowa energia. – Mało kto może się pochwalić, że pierwszego dnia oblał egzamin ze

śniadania.

– Nie odrobiłem pracy domowej – odparłem. – Spodziewałem się bułki z masłem.

Uśmiechnął się szeroko, doceniając żart.

– To trzeba było ją sobie nałożyć na talerz – powiedział. – Nikhil. Wszyscy mówią na mnie Nick.

– Lane.

– No dobra, Lane. Skrócony kurs obsługi posiłków: bierzesz coś do jedzenia z każdego półmiska. Nie musisz wszystkiego jeść. Co tam, możesz nawet wyrzeźbić sobie Koloseum z chleba i jajek, ale masz zabrać pełny talerz i odnieść pusty.

– A czy to czasem nie kłóci się z ideą konsultowania składu posiłków z dietetyczką? – spytałem.

– Oczywiście. Właśnie po to jest plan.

– Mamy plan?

– Owszem. Nasza kochana Linda powiedziała ci, że masz iść po więcej, ale nie doprecyzowała, jak dużo masz sobie nałożyć.

Natychmiast pojąłem, do czego zmierza.

– O nie. Nie jestem zbyt...

– Na moje oko wyglądasz na nieźle wyposzczonego, Lane – ocenił Nick, szczerząc zęby w uśmiechu, po czym wpakował mi na tacę wielką porcję jajeczniczy.

Zanim zdążyłem zaprotestować, dowalił jeszcze stertę jajek na twardo.

Popatrzyłem na tacę. Nie miałem jak się wycofać. Zostałem wkopany. W stos żarcia. A ponieważ Nick nie odpuszczał, zrezygnowany dołożyłem jeszcze wieżę z grzanek.

– Doskonale – stwierdził z aprobatą. – To może babeczkę na deser?

Sięgnął do półki z wypiekami i teatralnym gestem podał mi cały półmisek wypieków.

– Dwie chyba wystarczą? – Westchnąłem.

Byliśmy w połowie drogi, kiedy kolejka znów się zatrzymała.

– To jakiś żart – rozległ się głos dietetyczki.

Wszyscy wyciągnęli szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje. Przed dietetyczką stała drobna dziewczyna ze zmierzwionym blond kucykiem. Centralne miejsce na jej pustej poza tym tacy ostentacyjnie zajmował kubek z herbatą.

– To proszę mi dać punkt karny – powiedziała dziewczyna.

To brzmiało jak wyzwanie.

– Wracaj na koniec kolejki.

– Obie wiemy, że nie ma na to czasu.

Miała rację. Do pierwszej lekcji zostało jakieś dwadzieścia minut.

– Herbata mi stygnie, mogłaby pani...? – Dziewczyna wyciągnęła przed siebie nadgarstek opasany czarną silikonową bransoletką, podsuwając ją dietetyczce do skanowania.

Na stołówce zapadła cisza. Wszyscy patrzyliśmy w napięciu, co zrobi Linda.

W końcu dietetyczka zeskanowała bransoletkę i zaczęła wściekle stukać w klawiaturę komputera.

– Drugi karny w tym miesiącu, Sadie – ostrzegła.

– Och. A po trzecim mnie stąd wypuścicie? – zapytała dziewczyna ze śmiechem.

Triumfalnie odeszła od lady, trzymając przed sobą kubek z herbatą niczym zwycięski puchar. Gdy szła do stolika, wreszcie mogłem się jej dobrze przyjrzeć. Była eterycznie śliczna, taką wczesnoporanną urodą. Jej

kucyk wyglądał, jakby w nim spała. Sweter zsuwał jej się z ramienia. Miała wargi umalowane na czerwono i leciutko uniesione kąciki. Wyglądała jak ostatnia osoba, po której można się spodziewać scysji na stołówce w poniedziałkowy ranek.

Ale to nie dlatego się na nią gapiłem. Było w niej coś dziwnie znajomego. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że już gdzieś ją wcześniej widziałem, że już kiedyś się spotkaliśmy. Nagle sobie przypomniałem. Obóz letni Griffith, cztery lata temu. Byliśmy razem w tym koszmarnym miejscu w Los Padres, do którego wysyłali mnie rodzice, gdy byłem młodszy, żeby zafundować sobie wakacje tylko we dwoje.

– Cóż, tak też można to rozegrać – podsumował Nick, wyrywając mnie z zamyślenia.

Z pewnym opóźnieniem zorientowałem się, że mówi o Sadie.

– Nie będzie miała kłopotów?

– Jasne, że tak. – Nick prychnął. – Ale Sadie pakuje się w kłopoty tylko na własne życzenie.

Nie wiedziałem, co chce przez to powiedzieć. Już miałem zapytać, ale wtedy dotarliśmy na początek kolejki.

– No hej, Lindo. Zrobiłem ci dziś Picassa – oznajmił Nick z uśmiechem, prezentując dietetyczną swoją tacę.

Widniały na niej jajka, babeczka i kiełbaska ułożone w niemożliwy do pomylenia z niczym innym kształt penisa.

Linda zeskanowała Nicka i mnie z takim samym obrzydzeniem. Już miałem iść za Nickiem do jego paczki znajomych, ale on wskazał podbródkiem w stronę stolików i powiedział:

– Pewnie chcesz znaleźć swojego przewodnika i nakopać mu za to, że nie ostrzegł cię przed Lindą, co?

– No, taki mam plan – wymamrotałem.

– To na razie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, już go nie było.

Zostałem sam na środku stołówki. Staralem się nie wpaść w rozpacz, a tymczasem góra niechcianego jedzenia ślizgała mi się po tacy. W pomieszczeniu było zbyt ciemno: boazeria i mosiężne żyrandole zupełnie wypaczały poczucie czasu. Stoliki były małe i okrągłe. Przy każdym sześć krzesel, jakbym wylądował w jakiejś parodii dworu króla Artura. Pomyślałem z tęsknotą o swojej szkole Harbor High, z palmami na podwórku i kanapkami w plastikowych opakowaniach. Zawsze siadałem z przyjaciółmi na małym dziedzińcu za salą do chemii.

Byliśmy ledwie akceptowalną grupką kujonów. Wystarczająco lubiani, żeby zajmować wysokie stanowiska w symulacjach obrad ONZ, ale nie aż tak, żeby groziły nam nominacje do samorządu szkolnego. Przerwy zazwyczaj spędzałem ze swoją dziewczyną: sprawdzaliśmy sobie nawzajem prace domowe albo uczyliśmy się do następnej lekcji, pijąc jedną puszkę coli na pół i zjadając kanapki. Nie byliśmy taką paczką, która odwiedza się u siebie w domach, ale nigdy nie musiałem się zastanawiać, czy będę miał z kim usiąść.

Przyglądałem się, jak Nick dołącza do stolika Sadie i przybiera dramatyczną pozę, prezentując dzieło na talerzu i wywołując wśród znajomych salwę śmiechu. Pojąłem, że nie robił sobie – hm, jaj – z dietetyczki. Po prostu chciał rozbawić przyjaciół. Przy stoliku zostały dwa wolne krzesła, ale Nick nie zaprosił mnie do grupy, a poza tym miejsca pewnie i tak trzymali dla znajomych, którzy jeszcze stali w kolejce.

Miałem nadzieję, że mój przewodnik zobaczy, jak sterczę na środku, pomacha i zawoła mnie do swojego stolika, przepraszając gorąco, ale nie miałem tyle szczęścia. Dwie i pół porcje jedzenia na tacy zaczynały mi ciążyć. Musiałem gdzieś odstawić tę furę żarcia. Wziąłem głęboki oddech

i poszedłem na tył stołówki z taką miną, jakbym wiedział, co robię.

Usiadłem przy pierwszym lepszym stoliku: cztery krzesła były wolne, dwa pozostałe zajmowali chłopcy pochłonięci partią kieszonkowych szachów, tkwiący głęboko we własnym świecie. Westchnąłem i chluznąłem mlekiem do miski płatków. Wlałem cały kartonik, nawet nie próbując zachować właściwych proporcji. Cheeriosy wypłynęły na powierzchnię, kołysząc się na mlecznych falach niczym puste koła ratunkowe.

– Hej, jestem Genevieve. Nowy? – zagadnęła jakaś dziewczyna, zajmując krzesło obok mnie. Uśmiechała się przyjaźnie, ale widząc jej mocno ściśnięty kucyk i proste jak kij plecy, mogłem się założyć, że jest z dobrego domu, modli się przed snem i oczywiście jeździ konno.

– Pierwszy dzień – odparłem.

– Zakochasz się w tym miejscu – zapewniła. – W którym jesteś domu?

– Eee, w szóstce?

– No popatrz, John też! – oznajmiła takim tonem, jakby to był największy zbieg okoliczności na świecie. – Mój chłopak. Zaraz tu będzie, ta kolejka wlecze się dziś w nieskończoność.

Trafiłem do niewłaściwego stolika. Wiedziałem to już na pewno, gdy dziewczyna przedstawiła mnie Johnowi, swojemu chłopakowi z agresywnym trądzikiem na całej twarzy, oraz Timowi i Chrisowi – szachistom, o których mylnie sądziłem, że siedzą sami, a nie czekają na resztę paczki.

– Naprawdę zamierzasz to wszystko zjeść? – spytał John, patrząc na moją tacę.

– To taki żart – odparłem bez przekonania. – Dietetyczka powiedziała...

– Och, nie chcesz jej wkurzać – ostrzegła mnie Genevieve. – Dostaniesz karniaka i stracisz przywileje. A trzy karniaki w miesiącu wykluczają z zajęć

towarzyskich.

– Z jakich zajęć?

– Twój przewodnik nic ci nie powiedział?

– Niewiele – bąknąłem, nie chcąc rozwijać tematu.

– Och. Widzisz, raz w miesiącu jest organizowana impreza, takie zajęcia kulturalne – wyjaśniła Genevieve.

– Tym razem chyba liniowy taniec country – wtrącił John z niepokojącym entuzjazmem.

Prychnąłem. Nic dziwnego, że Sadie podpuszczała dietetyczkę. Sądziłem, że za karę dostanie szlaban albo dodatkowe obowiązki czy inną karę dla nieposłusznych uczniów, a nie zwolnienie z robienia z siebie debila do rytmu melodyjek wygrywanych na banjo. Mogłem się domyślić, że chodzi o coś w tym rodzaju, kiedy Nick powiedział, że Sadie pakuje się w kłopoty tylko wtedy, kiedy tego chce.

Genevieve zaczęła radośnie wyklądać mi zasady tańca synchronicznego, tak na wszelki wypadek, gdyby jeszcze do mnie nie dotarło, że leczenie kanałowe byłoby przyjemniejsze. Uśmiechałem się i przytakiwałem, marząc, by po prostu dała mi w spokoju zjeść śniadanie. Ale to ja dosiadłem się do ich stolika, a oni po prostu starali się być mili.

Jednak choć grali mi na nerwach, prędko się zorientowałem, o ile gorzej mogłem trafić. Grupka po mojej lewej była kompletnie nieprzytomna – nie potrafiłem stwierdzić, czy to syndrom porannego zombie, czy szkliste spojrzenia były u nich cechą wrodzoną. Stolik po mojej prawej zajmowały dziewczyny aktywnie nierozmawiające-ze-sobą. Każda wbijała nienawistne spojrzenie w swoją jajecznicę.

Zerknąłem na drugi koniec stołówki, w stronę stolika Nicka i Sadie. Było w nich coś magnetycznego – dostrzegałem to nawet ze swojego miejsca w jednym z zewnętrznych kręgów. Nie potrafiłem ich zasufladkować – nie

żeby w takim miejscu jak Latham obowiązywały normalne zasady hierarchii społecznej. Było ich czworo i zanosili się śmiechem. Nick złapał kielbaskę, uniósł niczym dyrygent pałeczkę i zaczął nią poruszać – powoli i z rozmysłem.

Genevieve zanosła się kaszlem. Złapała serwetkę i przycisnęła ją do ust.

– Przepraszam – wykrztusiła. – W soku były kawałki pomarańczy.

– Wszystko dobrze, misiu-pysiu? – upewnił się John, rozcierając jej plecy.

Boże, naprawdę niezły stolik sobie wybrałem. Ale gdy Genevieve się dusiła, uświadomiłem sobie, że poza jedzeniem, rozmowami i zgrzytaniem krzesel stołówkę wypełniają odgłosy napadów kaszlu. Niczym symfonia choroby.

Znów spojrzałem na stolik Sadie. Rzeczywiście, to z tego się tak śmiali. Nick dyrygował kaszlem za pomocą kielbaski.

Na szczęście sale lekcyjne znajdowały się w tym samym budynku, więc na angielski trafiłem bez większych przygód. Klasa była duża, wyłożona boazerią i miała wielkie, szeroko otwarte okna niczym w atrium uniwersyteckim. W środku wisiała staromodna tablica i stało dwadzieścia ławek.

Dwadzieścia. Byłem przyzwyczajony do tablic interaktywnych. Szafek. Do publicznego systemu edukacji. Coś mi mówiło, że pan Holder – przypominający łysiejącego żurawia nauczyciel w bezkształtnej tweedowej marynarce – nigdy w życiu nawet nie przechodził obok szkoły publicznej.

– Tak? – zapytał, widząc, jak waham się przy drzwiach.

Nie byłem pewien, czy miejsca są przydzielone z góry.

– Jestem Lane Rosen – odparłem. – Nowy.

– Witamy na zmianie warty – powiedział ponuro. – Proszę usiąść z panem Carrowem.

Wskazał mi nachmurzonego chłopaka w pierwszej ławce. Usiadłem, wyjąłem zeszyt i długopis. Holder trzasnął o ławkę egzemplarzem *Wielkich nadziei* i plikiem kserówek.

– Proszę przeczytać rozdział, odpowiedzieć na pytania. Potem następny i tak dalej. Kiedy skończy pan całość, dam panu temat na wypracowanie – oznajmił i zostawił mnie z Dickensem.

Wlepiłem wzrok w leżącą przede mną książkę. Wszyscy wokół mnie coś robili. Niektórzy mieli inne książki. Dostrzegłem *Władcę much*, *Moby Dicka* i *Słońce też wschodzi*. Westchnąłem i przejrzałem kserówki, prześlizgując się wzrokiem po pytaniach, żeby wiedzieć, na co zwrócić uwagę w tekście – podchwyciłem tę sztuczkę na zajęciach przygotowawczych do egzaminów na studia.

Po lekcji Holder powiedział tylko: „Do zobaczenia w środę”, i wszyscy zaczęli się pakować. Byłem mniej więcej w połowie odpowiedzi do drugiego rozdziału.

– Zaraz – zagadnąłem sąsiada. – Jest jakaś praca domowa?

– Dobrze! – Chłopak prychnął, jakbym powiedział coś zabawnego.

Na historii obejrzelśmy film dokumentalny o czarnej dżumie, wypełniając test w trakcie. Nauczycielka nawet nie została z nami w klasie. Spodziewałem się, że gdy tylko zamkną się za nią drzwi, w pomieszczeniu rozpęta się chaos, ale wszyscy po prostu oglądali dalej, z wyjątkiem kilkorga uczniów, którzy oparli głowy o ławki i zasnęli.

Lunch zjadłem przy tym samym stoliku co śniadanie. Nie miałem takiego zamiaru, ale Genevieve stała dwie osoby za mną w kolejce, odcinając mi drogę ucieczki. Miałem nadzieję, że do tego czasu odnajdzie mnie mój zaginiony przewodnik, ale szczęście mi nie sprzyjało. Już czułem, że w moje

nowe życie powoli wkłada się rutyna, choć bardzo chciałem tego uniknąć.

Nie miałem ochoty być w Latham. Nie chciałem, żeby każdy mój dzień składał się z kontrolowanych posiłków i żeby nauczyciele po pierwszym spojrzeniu kładli na mnie krzyżyk. Chciałem iść po lunchu na rozszerzoną historię Europy do klasy pani Vermy, gdzie na ścianie wisały w ramach stare gazety, a w piątki zamawialiśmy pizzę przed testem.

W Harbor chodzenie na zajęcia rozszerzone oznaczało przynależność do klubu ulubieńców nauczycieli. Mówili, że do czegoś w życiu dojdziemy, zamiast szlabanów dawali nam dodatkową pracę domową, a zamiast zadań zapychaczy dostawialiśmy zaawansowane materiały edukacyjne. W życiu bym nie pomyślał, że dojdę akurat do Latham.

Po lunchu mieliśmy długą przerwę. Człapałem ponuro przez podwórze w stronę domów, kiedy nagle zobaczyłem czwórkę uczniów – kierowali się w przeciwną stronę, do lasu. Paczka Nicka i Sadie. Szli prędko, z opuszczonymi głowami, jakby spieszyło im się do czegoś o wiele bardziej interesującego niż długa przerwa. Ale mimo że w ogóle się z tym nie kryli, nikt nie zwrócił na nich uwagi.

W Latham było osiem domów sypialnych, stojących w półokręgu wokół błagającej o odmalowanie altanki. Domy wyglądały bardziej jak szalety w schronisku górskim niż budynki szkolnego internatu: były zbudowane z ciemnego drewna, każdy miał głęboki ganek, a po bokach równe rzędkie okien.

Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że w każdym domku mieszkało ze dwadzieścia osób. Na parterze znajdował się pokój socjalny z rozkraczonymi kanapami obitymi spleśniałym materiałem w kratę, długim stołem do nauki i stertami pudełek z grami planszowymi. Mieliśmy też oddzielny pokój z telewizorem oraz mikro kuchnię, choć zostałem

poinformowany, że uczniowie nie powinni sami sobie gotować.

Najlepsze miejsca w socjalnym zostały już pozajmowane przez tych, którzy przyszli wcześniej. Przez chwilę przyglądałem się czwórce Azjatów rozgrywających głośną partię Osadników z Catanu na dywanie. Stolik kawowy zajmowało dwóch chłopaków pochylonych nad zestawem kart Magic.

Moi nowi – i jak miałem nadzieję, chwilowi – znajomi ze śniadania rozkładali właśnie chińskie warcaby i machali do mnie radośnie.

– Możemy się podzielić na drużyny – zaproponował John.

– Muszę rozpakować resztę swoich rzeczy – wykręciłem się i ruszyłem rakiem w stronę drzwi.

– No to do zobaczenia później! – zawołał Tim. A może Chris. Nie miałem ochoty siedzieć z nimi na tyle długo, żeby zacząć ich rozróżniać.

Gdy szedłem do swojego pokoju, słyszałem w korytarzu stłumioną muzykę i odgłosy gier wideo dobiegające zza zamkniętych drzwi. Zrobiło mi się trochę lepiej ze świadomością, że nawet tutaj ludzie słuchają The Smiths i grają w pokemony. Przynajmniej na chwilę w tym dniu pojawił się skrawek normalności.

Odruchowo sięgnąłem do kieszeni – dopiero po sekundzie przypomniałem sobie, że przecież jest pusta. Bez telefonu czułem się kompletnie bezradny, jakbym miał dostać najważniejszego maila w życiu i nie mógł go przeczytać. Nie żebym czekał na takiego maila, ale i tak nie potrafiłem się otrząsnąć z tego wrażenia.

Mój pokój znajdował się na rogu, na końcu korytarza. Domyślałem się, że to dlatego jest taki wąski. Najlepsza trumna na chacie, pomyślałem, i natychmiast tego pożałowałem. Nie było aż tak źle. To znaczy – owszem, wszystkie meble miałem zminiaturyzowane. Było tam bardzo długie pojedyncze łóżko, ale mimo takiej oszczędności przestrzeni sypialnia wcale

nie wydawała się przestronniejsza. W domu miałem potężne łóżko, które wielbiłem niczym wierny poddany swoją królową. No, wierny poddany na wygnaniu.

U stóp mojego mikrołóżka stała szafa, podejrzanie przypominająca szafkę ze szkolnej szatni – pewnie pozostałość czasów, kiedy znajdowała się tu męska szkoła z internatem. Poprzedniego wieczora bezskutecznie próbowałem wepchnąć do środka nierozpakowaną walizkę, aż ostatecznie przyjąłem do wiadomości porażkę i wcisnąłem bagaż pod łóżko. Walizka trochę wystawała i już zdążyłem się o nią potknąć. Dwa razy.

Miałem też drewniane biurko i krzesło oraz dwa ogromne okna – takie staromodne, dwuskrzydłowe – które musiały pozostawać otwarte, żebyśmy zawsze mieli dopływ świeżego powietrza. Najlepszy w moim pokoju był jednak widok: na niezmierny las, niebo i rysujące się w oddali mgliste szczyty gór. Gdybym nie wiedział, dlaczego znajdujemy się na końcu świata, może nawet bym się tu odprężył.

Zacząłem grzebać w szufladach biurka, aż znalazłem grubą lśniąca broszurę, którą otrzymałem poprzedniego wieczora. Położyłem się na łóżku i zacząłem ją kartkować. Uznałem, że dobrze byłoby zapoznać się z panującymi w Latham zasadami, bo nie miałem ochoty niechcący znów zawalić śniadania.

Boże, jakie to było nużące. Czytałem o „sugerowanych możliwościach prozdrowotnego ubioru” i czułem, że oczy same mi się zamykają. Starąłem się zachować przytomność, ale miałem za sobą nieprzespaną noc, a do śniadania nie dali kawy...

Obudziłem się zdezorientowany i otumaniony. Broszura leżała na podłodze stronami do dołu, jakby próbowała gdzieś odpełznąć. Nie miałem do niej pretensji. Spojrzałem na zegarek – długo spałem.

Przeciągnąłem się i podszedłem do okna z widokiem na las. Czekałem na

powrót czteroosobowej ekspedycji. Robiło się późno – może przegapiłem? Przed 14.30 mieliśmy wszyscy być przebrani na wuef – tutaj dość ironicznie nazywany zajęciami zdrowotnymi. Tylko że ja jeszcze nie miałem pozwolenia na uczestnictwo. Musiałem się teraz wybrać do budynku medycznego.

Już miałem się zbierać, kiedy zobaczyłem, jak wynurzają się spomiędzy drzew. Sadie szła na przedzie, a na jej ramieniu kołysał się drogi aparat fotograficzny. Za nią pojawił się Nick. Rogowe oprawki jego okularów lśniły w słońcu. Pochód zamykali jakiś punk w obcisłych czarnych dżinsach i martensach, który wyglądał, jakby grał w zespole, i wysoka czarna dziewczyna, strząsająca liście z falbaniastej koronkowej sukienki, jakby dopiero co zeszła ze sceny po występie w szkolnym przedstawieniu. Szli do swoich domów i wydawało się, że mają całe to miejsce na własność – w tamtej chwili chyba rzeczywiście tak było.

Patrzyłem, jak Sadie zatrzymuje się, żeby zrobić grupce zdjęcie. Z powagą uniosła aparat i zaczęła regulować obiektyw. Nie pozwali – zamiast tego po prostu zamarli w pół kroku, pozwalając, by Sadie na zawsze uchwyciła ten moment.

To zapamiętałem: na obozie bez przerwy robiła zdjęcia, wymykała się do lasu i znikła tam na długie godziny. Wtedy była chudzielcem o patykowatych nogach, a ja – jednym z najniższych chłopców w moim domku letniskowym.

Moje wspomnienia z tamtego lata były niewyraźne, a większość koncentrowała się na przerażeniu, jakim przepełniał mnie jeden palant z mojego domku, który odgrażał się, że nasika wszystkim do łóżek, jeśli nie będziemy mu płacić haraczu w postaci naszej codziennej porcji słodyczy. Po wakacjach mieliśmy iść do liceum – wydawało mi się, że w ciągu jednej nocy wszyscy chłopcy przeskoczyli od wskazywania palcami dziewczyn

z widocznymi ramiączkami od stanika do zakładania się, która na sto procent zrobi im laskę po obozowych połówkach przy takiej jednej skale w lesie. Było ich tak wielu, że zacząłem się zastanawiać, czy skała przyjmuje rezerwacje.

Zamieniłem z Sadie może kilka zdań, nie więcej. Przez całe tamto koszmarne lato niewiele się odzywałem. Dwóch mieszkańców mojego domku zostało wyrzuconych z obozu za kradzież, a potem chłopcy zorganizowali obrzydliwą sesję gry w Ciastko z lukrem (kto ostatni spuści się na ciastko, ten musi je zjeść) – zabawa skończyła się tak dramatycznie, że mój jedyny prawdziwy kolega musiał jechać do domu dwa tygodnie przed końcem kolonii, a jego rodzice zagrozili pozwem. Ale mimo to zapamiętałem Sadie, dziewczynkę z fioletowymi gumkami na aparacie ortodontycznym, zawsze w szortach w hippisowski wzorek. Zawsze była sama i bez przerwy siedziała schylona nad jakimś kwiatkiem albo listkiem, któremu akurat musiała zrobić zdjęcie.

Wydawało mi się niemożliwe, że rozpoznam kogoś w Latham, że w głuszy gór Santa Cruz setki kilometrów od domu zobaczę znajomą twarz. Ale im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej miało to sens – choć bardzo ciążyła mi ta świadomość.

W Latham House oczekiwano od nas wiary w cuda. W drugą szansę. Każdego poranka budziliśmy się z nadzieją, że los w magiczny sposób się odmienił.

Ale powiem wam coś o losie. Jeśli rzucimy kostkami dwa razy, spodziewamy się dwóch różnych wyników. Tylko że to tak nie działa. Możemy w nieskończoność wyrzucać ten sam wynik, a przy każdym rzucie wszystkie prawa wszechświata pozostaną niewzruszone. Rachunek prawdopodobieństwa nie ma nic wspólnego z przyszłością – jedynie przeszłość ma na niego jakiś wpływ. Dopiero z tej perspektywy pewne

rzeczy stają się coraz mniej prawdopodobne.

I jeszcze coś, o czym wiem, bo jestem nerdem: do połowy dwudziestego wieku kości do gry wytwarzano z nitrocelulozy. To materiał, który potrafi przetrwać przez dekady, ale jest w stanie rozpaść się w mgnieniu oka. Związek chemiczny ulega wtedy rozkładowi, uwalniając kwas azotowy. Za każdym więc razem, kiedy rzucasz kostką, istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że nie zobaczysz żadnego wyniku, bo zamiast tego kostka się rozszczepi, skruszy i wybuchnie.

ROZDZIAŁ 2

SADIE

Siedzieliśmy w lesie za domami, kiedy Nick napomknął o tym, co wydarzyło się rano w kolejce do śniadania. Był cudownie rześki jesienny dzień, przechodzący łagodnie w ciepłe popołudnie, więc wszyscy zdjęliśmy swetry i rzuciliśmy je na jedną stertę razem z plecakami.

Charlie siedział pod drzewem i szkicował paprocie. Marina pozowała mi do zdjęć w cudownej starej sukience. A Nick porządkował zebrane przez nas liście, układając je w porządku kolorystycznym.

– Jak sądzicie, czy to podchodzi odcieniem jeszcze pod kwasy żółciowe, czy już pod niewydolność wątroby? – zapytał, podnosząc jeden z liści.

– Nie mogę teraz – zbyłam go, bo korzystałam z obiektywu stałoogniskowego i wreszcie udało mi się złapać Marinę w idealny kadr. – Ale proszę, powiedz, że nie segregujesz ich według chorób.

– Dwie ścieżki w żółtym lesie szły w dwie różne strony – odparł Nick tym głosem, którego używał podczas symulacji rozpraw sądowych. – A ja, ja pojechałem tą mniej uczęszczaną ścieżką diagnostyczną.

– Weź, to okropne – przerwała mu Marina. – I przekreśliłeś cały cytat.

– Oczywiście, że nie przekręciłem – upierał się Nick, ale nie brzmiał zbyt pewnie.

– Dwie drogi w żółtym lesie – poprawiła Marina.

– Sprawdzimy w Google – odparł Nick. – Zobaczysz.

Roześmiałam się, bo Nick zawsze się tak zachowywał. Najpierw coś pomieszał, a potem z uporem się bronił, jakby dostatecznie długa dyskusja mogła sprawić, że jego wersja stanie się prawdziwa.

– Przecież ten wiersz ma nawet tytuł *Droga nie wybrana* – poinformowałam. – A teraz mógłbyś dołożyć Marinie jeszcze trzy liście do sukienki? Wybierz takie złotożółte.

– „Ścieżka”, „droga”, co za różnica? – mruknął Nick, wtykając liście w koronkę. – *À propos* ścieżek, poznałem dziś rano w kolejce nowego. Tego, któremu pomogłem wkurzyć Lindę. Nazywa się Lane.

Aparat mało nie ześlizgnął mi się po kamieniu.

– Lane Rosen? – zapytałam.

– Pojęcia nie mam. – Nick dramatycznym gestem dołożył ostatni liść. – Znasz kogoś, kto przedstawia się pełnym imieniem i nazwiskiem?

Miał rację, ale nie zamierzałam dać mu tej satysfakcji.

– Może ja zacznę, tylko po to, żeby cię wkurzyć – mruknęłam.

Zrobiłam zdjęcie na próbę, żeby sprawdzić, czy nie jest zamazane, ale nie mogłam ustawić ostrości na właściwym punkcie. Co gorsza, nie mogłam też skupić myśli. Musiałam się zmusić do koncentracji, bo aż zakręciło mi się w głowie.

„Lane” to niezbyt popularne imię. Przypomniałam sobie, że w pewnym momencie rzeczywiście zrobiło się jakieś małe zamieszanie na przedzie kolejki, ale uznałam, że dietetyczka po prostu znów ma wściek macicy – nic nowego. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że pojawił się tu ktoś, o kim już dawno zdążyłam zapomnieć i kogo już nigdy więcej nie spodziewałam się

zobaczyć – a przede wszystkim nie miałam na to najmniejszej ochoty.

– Halo, Sadie? – Głos Mariny brzmiał tak, jakby od dłuższej chwili próbowała przyciągnąć moją uwagę. – Pytam, jak to wygląda.

– *Sorry* – wymamrotałam, przeglądając fotografie na karcie pamięci. – Podnieś prawą rękę trochę wyżej.

Pstryknęłam kilka zdjęć, po czym kazałam Nickowi dołożyć jeszcze liści, choć Marina narzekała, że w życiu ich potem nie wytrzepie i że już ją boli ramię.

– Sztuka to cierpienie – uciszyłam ją półżartem.

– Życie też – wtrącił Charlie. – Co oznacza, że życie to sztuka, która dotyka nas wszystkich. Aach, ale bym z tego zrobił piosenkę...

Nigdy nie potrafiłam stwierdzić, kiedy Charlie słucha, o czym rozmawiamy. Był takim typem, który doprowadził cierpienie w milczeniu do wirtuozerii – można było się tego po nim spodziewać, bo to właśnie Charlie zajmował pozycję naszego grupowego artysty. Zwykle siedział z boku i zapełniał zeszyt słowami piosenek i szkicami – wszystkie okazywały się mroczne i aż do bólu doskonałe. Aż w pewnej chwili podnosił wzrok i rzucał jakąś absurdalną uwagę w rodzaju: „Czy to możliwe, że dinozaury świeciły w ciemności?”.

– Prawie skończone? – zapytała Marina.

– Prawie skończone – obiecałam. – Wyglądasz wspaniale.

To była prawda. Jej ciemna skóra i kręcone włosy w zestawieniu z pokrytą liśćmi koronkową sukienką z innej epoki dawały niesamowity, prawie nadprzyrodzony efekt. Przed przyjazdem do Latham Marina interesowała się teatrem i sama projektowała kostiumy. Uznałam, że ją lubię, gdy przyłapałam ją na podczytywaniu powieści fantasy pod ławką na lekcji u Finnegana.

W prawdziwej szkole nigdy nie miałabym takich znajomych. W ogóle

byśmy nie istnieli. Charlie byłby jakimś niezrozumianym samotnikiem. Nick bawiłby się w te swoje symulacje rozpraw, udając, że to nie jest tylko kółko teatralne z pretensjami do prestiżu. Marina bujałaby się z ludźmi z prawdziwego kółka teatralnego, którzy oglądają *Doktora Who* i noszą dziwne kapelusze. A ja? No cóż. Nadal spędzałabym czas z tymi trzema dziewczynami, które poznałam na samym początku liceum. Tymi, które zawsze pakowały się w związki z chłopakami bez wysokiej pozycji w szkolnej hierarchii. Musiałabym nadal siedzieć razem z nimi jako ta średnio ciekawa przyjaciółka, którą zawsze przepraszały, gdy wybierały się beze mnie na grupowe randki.

Ale Latham stworzyło nas na nowo. Sprawilo, że staliśmy się bardziej wyjątkowi, ciekawszi, bardziej zauważalni, niż byłoby to możliwe gdziekolwiek indziej. Spodziewałam się, że znienawidzę Latham, ale nie przewidziałam, że znajdę tu przyjaciół, którzy będą nie znosić tych samych rzeczy co ja i wspólnie ze mną wyśmiewać zasady, nauczycieli i doktora Baronsa aż do utraty tchu.

Poszliśmy do lasu, bo kończyłam serię tematyczną, przedstawiającą fantastyczne ucieczki moich przyjaciół. Zamierzałam poddać zdjęcia obróbce graficznej, więc w rezultacie fotografia miała ukazywać miniaturową Marinę niesioną ku niebu przez wielki pęk balonów. Tylko że zamiast balonów na końcach sznurków miały być liście.

Kilka tygodni temu zrobiłam zdjęcie, które po obróbce przedstawiało Charliego odlatującego nad domami Latham na samolocie z papieru nutowego. A wcześniej Nick płynął przez jezioro w łódce ze staromodnego zegarka kieszonkowego i wiosłował gałązką. Myślałam, że nigdy nie skończę tego składać w Photoshopie.

Kiedy udało mi się zrobić parę zdjęć, które uznałam za nadające się do użytku, ruszyliśmy z powrotem na teren szkoły. Chciałam spędzić więcej

czasu na fotografowaniu Mariny, ale musieliśmy się jeszcze przebrać na zdrowotne, a gdybyśmy biegli, lekarze zobaczyliby zwiększoną aktywność fizyczną na raportach z naszych opasek sensorycznych.

Bo Wielki Brat zawsze patrzył. Tyle dobrego, że mogliśmy go czasem nabrać, jeśli byliśmy dostatecznie sprytni i trzymaliśmy się idealnie wymierzonych okienek czasowych.

– To jaki jest ten nowy? – zagadnęłam.

– Co, ciekawa jesteś? – drażnił się ze mną Nick w niezbyt miły sposób.

– Po prostu rozglądałam się za kimś na twoje miejsce – odparłam ze słodkim uśmiechem.

– Drugiego takiego jak ja w życiu nie znajdziesz. – Nick nie stracił rezonu. – Mnie nie da się zastąpić. Jestem jak dziewictwo u dziewczyny.

– O, to u chłopców z dziewictwem jest inaczej? – spytałam.

– Spadaj – wymamrotał zawstydzony Nick przy akompaniamencie naszego śmiechu. – Sama idź gadać z tym nowym, jeśli tak ci zależy.

– Nie zależy mi – odparłam, bo to, że byłam ciekawa, jeszcze nie oznaczało, że to dla mnie ważne.

Gdyby mi zależało, miałabym ochotę się z nim spotkać – a ja czułam coś wręcz przeciwnego na samą myśl, że miałabym na niego wpaść. Natychmiast ogarnęła mnie mieszanina przerażenia i zażenowania. Przeżenowanie.

– Coś jest dzisiaj nie tak – oznajmiła Marina.

Też miałam takie wrażenie, ale nie chciałam się nim wcześniej dzielić z resztą. Nie chodziło tylko o pojawienie się nowego, przeprowadzone dyskretnie, zaledwie kilka tygodni po ostatnim zakazie wstępu. Bez dwóch zdań – coś niepokojącego wisiało w powietrzu. Coś dziwnego – w Latham zwykle mogło to oznaczać tylko jedno.

– Boże, kto umarł? – zapytał Nick z kamienną twarzą.

Żartował... a jednocześnie wcale nie.

– Uważaj, bo któregoś dnia to nie będzie zabawne – ostrzegł Charlie.

Teraz też nie było, ale wszyscy wiedzieliśmy, co Charlie chciał przez to powiedzieć. Zdążyliśmy już wrócić na teren szkoły, jakbyśmy w ogóle nigdzie nie wychodzili. Charlie i Marina ciągnęli się nieco w tyle. Charlie musiał co chwila przystawać, żeby złapać oddech, a Marina próbowała pozbyć się liści z sukienki – miała rację, ostre okruchy wplątane w koronkę okazały się prawie niemożliwe do wytrzepania.

– Czekajcie! – zawołałam, podnosząc aparat do twarzy, żeby uwiecznić tę chwilę.

Światło było doskonałe – przebijało przez drzewa w stronę domów, a dzień robił się wyjątkowo ciepły jak na wczesną jesień. Prawie mogłam sobie wyobrazić, że jesteśmy na koloniach. Że zaraz wytniemy opiekunom jakiś numer, a potem pójdziemy opiekać słodkie pianki nad ogniskiem. Że wrócimy do domu opaleni, nasze ubrania będą pachnieć sprayem na komary. Że wrócimy do domu.

Ale rzeczywistość była taka, że nie wszyscy mieliśmy na to szanse. Do domu wracało czworo na pięcioro mieszkańców Latham House. Ten fakt, podany w broszurze ośrodka, wstrząsnął mną najmocniej. Bardziej niż to, jak zemdlałam na wuefie podczas treningu interwałowego i wylądowałam na oddziale ratunkowym w dawno niepranym szarym dresie. Bardziej niż chwila, w której doktor Crane odebrał moje wyniki i patrząc mi prosto w oczy, oznajmił: „Aktywny przypadek gruźlicy”. W tym zdaniu najkoszmarniejszy był brak zaimka osobowego. Jakbym kiedyś istniała, ale teraz moja tożsamość stała się kompletnie nieistotna. Od tej pory każdy, kto na mnie patrzył, i tak widział tylko ponurą, nieuleczalną chorobę.

Dawniej takim jak my kazano leżeć w rzędach na werandach. Należało spać pod gwiazdami na kozetkach, głęboko oddychać i myśleć tylko

o powrocie do zdrowia. Ale to było przed wprowadzeniem leków pierwszego i drugiego rzutu. Zanim medycyna znalazła lekarstwo i gruźlica zaczęła być postrzegana jako coś idiotycznego, co znudzone pańce wymyśliły sobie w swoich bawialniach, wzdychając z emfazą przez ściśnięte modnymi gorsetami płuca. Zanim choroba powstała z dawno zapomnianego grobu niczym jakiś zombie, odporny na dotychczasowe osiągnięcia medycyny, i ruszyła ku naszym niczego nieświadomym miastom, by dopaść swoje ofiary jeszcze młode i świeże.

Zanim dopadła mnie.

Przebywałam w Latham już ponad rok. Czas płynął tu wolniej. Nuda wdzierała się we wszystkie zakamarki – zamiast wrażenia, że doba ma zbyt mało godzin, wszystkim tu wydawało się, że jest ich stanowczo zbyt wiele.

Tak teraz wyglądało moje życie: stołówka, po której roznosiły się symfonie kaszlu, nauczyciele otwierający szeroko okna i chwytający się każdej wymówki, żeby tylko nie przebywać z nami w jednym pomieszczeniu. To było życie wypełnione rentgenami, wizytami u pielęgniarki, gorączką przed snem i bólem w piersi po wspinaczce po schodach. Niektóre dni były trochę gorsze od innych, ale w sumie wszystkie zlewały się w jedno, bo w Latham i tak każdy był codziennie na zwolnieniu lekarskim.

Ledwie pamiętałam, jak to jest mieć szatnię w szkole, konto na Twitterze i długie godziny swobody po zakończeniu lekcji, gdy moja siostra nadal była na treningu gimnastycznym, a mama nie zdążyła jeszcze wrócić z pracy. W Latham problemem był nie tylko brak wolności, lecz przede wszystkim brak prywatności. Odbierały nam ją opaski sensoryczne, które bez przerwy nosiliśmy na nadgarstkach. Monitorowały naszą temperaturę ciała, bicie serca i cykle snu, po czym przesyłały wszystkie informacje do systemu – nie tylko ze względu na nasze zdrowie, ale także po to, by można było zbierać dane na

temat choroby.

Doktor Crane miał rację. Przestrzeń należąca dawniej do mnie zajmował teraz aktywny przypadek gruźlicy. Wszystko, kim byłam i kim chciałam być, zostało wysiedlone, by zrobić miejsce chorobie.

ROZDZIAŁ 3

LANE

Jedno, co wiem o nowych miejscach, to że są trochę jak dzinsy. Owszem, może i pasują, ale nie od razu są wygodne. Trzeba czasu, żeby je rozchodzić. Właśnie o tym myślałem, gdy siedziałem w sterylnej poczekalni budynku medycznego i starałem się nie kaszleć od klimatyzacji. W powietrzu unosił się zapach szpitala – środków do dezynfekcji zmieszanych z poczuciem beznadziei. W klasach i domach sypialnych panowała atmosfera szkoły z internatem, tutaj nie było po tym ani śladu. Wszystko w tej poczekalni przypominało mi o tym, co czaiło się tuż za rogiem. Dosłownie.

Plakaty na ścianie, oznaczone krzyżem lotaryńskim – gruźliczy odpowiednik czaszki i skrzyżowanych puszczeli – nawoływały do „zapobiegania rozprzestrzenianiu choroby” albo do „walki o Amerykę wolną od gruźlicy”. Już nawet zdjęcia kotków z cytatami motywacyjnymi byłyby lepsze. Wtedy przynajmniej musiałbym patrzeć na coś w ogólnie złym guście. Zamiast tego gapiłem się na plakaty głoszące, że jestem wrogiem publicznym.

Westchnąłem i zgarbiłem się na krzesło, czekając, aż w końcu wezwie

mnie pielęgniarka. Jeszcze kilka tygodni temu byłem szpitalnym nowicjuszem. Zanim to wszystko się zaczęło, odwiedziłem oddział ratunkowy dokładnie dwa razy. Najpierw z infekcją ucha, a potem w ósmej klasie, kiedy straciłem równowagę na rampie na podjeździe Josha Dowa i złamałem kość w stopie. Ale jak to się mówi: do trzech razy sztuka.

Pielęgniarka zabrała mnie do gabinetu, w którym było jeszcze zimniej niż w poczekalni. Kiedy usiadłem na kozetce, zaszeleścił przede mną cienki papier. Miałem taką teorię, że kozetki są przykrywane takim samym papierem, z jakiego robi się nakładki na deski klozetowe w publicznych toaletach, tylko że tutaj wyciąga się go z o wiele większej, stanowczo bardziej dołującej rolki.

Znów miałem ochotę sięgnąć po telefon. Mama bez przerwy zrządziła, że jestem od niego uzależniony, ale to nie była prawda – po prostu nie lubiłem siedzieć beczynnie i marnować czasu, który mógłbym wykorzystać.

Czekałem na lekarza całą wieczność. Kiedy doktor Barons w końcu wszedł do gabinetu, było widać, że mu się spieszy.

– Przepraszam, że musiałeś tyle czekać – powiedział, siadając na metalowym stołeczku przed komputerem. – No, Lane. Jak się czujemy?

– Dobrze – odparłem automatycznie.

– Świetnie, świetnie. – Przez chwilę przyglądał mi się badawczo. Było oczywiste, że pomimo przyjaznego tonu właśnie mnie ocenia. – Jesteś zmęczony? Coś cię boli?

– Nie, wszystko okej.

Dobra, byłem trochę zmęczony, bo się nie wyspałem, ale nie czułem się medycznie wyczerpany czy coś w tym rodzaju.

– Jak ocenilibyś poziom odczuwanego teraz bólu w skali od jednego do dziesięciu? – podsunął, czekając na precyzyjną informację.

– Eee, dwa?

– Takich pacjentów lubimy najbardziej – oznajmił, po czym wyjął telefon i zaczął przesuwać palcem po ekranie. – Już sprawdzam twoje wyniki z sensora...

Spojrzałem na ciężką, czarną silikonową bransoletkę zwisającą mi z nadgarstka. Nie byłem jeszcze przyzwyczajony do noszenia czegoś takiego – ani do świadomości, że opaska przekazuje lekarzom i pielęgniarce większość potrzebnych informacji na mój temat, dzięki czemu mogli ograniczyć kontakt ze mną do minimum. Dziwnie się czułem z myślą, że jestem pod stałą kontrolą, że wszystkie funkcje i czynności mojego organizmu są zapisywane w jakiejś bazie danych, którą oni mogą sobie sprawdzić na telefonie i tablecie, zarówno przy mnie, jak i bez mojej wiedzy, w innym pomieszczeniu.

– Pięknie – stwierdził Barons, nadal wpatrując się w ekran. – To teraz obejrzymy sobie twoje płuca...

Odwrócił się do komputera i otworzył dwa pliki ze zdjęciami rentgena moich płuc, jeden obok drugiego. Pierwszy wykonano w szpitalu, kiedy zostałem zdiagnozowany, drugi – wczoraj wieczorem.

Doktor Barons chwilę pogadał, wskazując końcówką długopisu na zmienioną tkankę, jakby to była jakaś dziwaczna prezentacja w PowerPoincie, w której byłem jednocześnie odbiorcą i przedmiotem wykładu.

– Na to miejsce musimy uważać, żeby te dwa ubytki w prawym płacie się nie powiększyły – oznajmił. Mówił tak głośno i powoli, że prawie mnie tym obrażał. – Widzisz, o czym mówię? Te czarne plamy?

Skinąłem głową, czekając, aż dokończy. Nie potrzebowałem wykładu „Gruźlica dla początkujących”. To nie była dla mnie żadna nowość. W Świętym Łukaszu spędziłem dwa tygodnie, prawie chodząc po ścianach z nudów na oddziale chorób zakaźnych. Przynajmniej miałem internet do

towarzystwa. Wprawdzie wiedziałem, że googlowanie hipergruźlicy to nie najlepszy pomysł, ale i tak nie mogłem się powstrzymać.

Potrafiłem zidentyfikować małe zmiany gruźlicze na rentgenie. Wiedziałem wszystko o sposobie, w jaki infekcja w moich płucach zmienia czerwone krwinki, które przez nie przepływają – właśnie to sprawiało, że nowa odmiana gruźlicy była o wiele gorsza od innych. Gazety nazwały ją hipergruźlicą, bo nie działały na nią żadne dotychczas znane leki. Jednak w przeciwieństwie do wielu innych nieuleczalnych chorób była też zaraźliwa. Za każdym razem, kiedy kaszlałem, stanowiłem zagrożenie dla innych. Stąd też pomysł wysłania mnie do sanatorium w górach, otoczonego żeliwnym ogrodzeniem i hektarami lasu. Dosłowna izolacja ogniska chorobowego.

Ale mimo że sporo się naczytałem o tym, co ze mną nie tak, pochłonałem jeszcze więcej informacji wyjaśniających, dlaczego lekarze nie są w stanie w żaden sposób mi pomóc, dopóki naukowcy nie wynajdą skutecznego sposobu leczenia. Dlatego też wszystkie wizyty w szpitalu, które odbyłem w ostatnich tygodniach, sprowadzały się do jednego: poczekamy, zobaczymy. Sanatoria takie jak Latham statystycznie dawały większe szanse na powrót do zdrowia i działały skuteczniej niż kwarantanna we własnym domu, jednak tutaj też nikt nie mógł mi niczego obiecać.

– No to jak zajmiemy się twoją gruźlicą? – ciągnął doktor Barons. – Dopóki jesteś w Latham, najlepszym rozwiązaniem jest trzymanie się wyznaczonego grafiku.

– Grafiku?

Niemożliwe, żeby mówił o rozkładzie dnia, który przykleiłem sobie nad biurkiem, rozpoczynającym się od „śniadanie: 8.00” i kończącym na „cisza nocna: 21.00”.

– Znajdziesz go na początku broszury – ciągnął lekarz. – Prędko się przekonasz, że dzięki rutynie będziesz mógł się na czymś skupić. Przerwy na

odpoczynek należy spędzać w swoim pokoju albo w pomieszczeniach socjalnych, jeśli będziesz czuł się na siłach. Zajęcia zdrowotne służą łagodnej aktywności fizycznej, takiej jak spacery na świeżym powietrzu, gry na trawniku albo joga.

– Mhm, brzmi super – mruknąłem bez entuzjazmu.

Leżakowanie i spacery na świeżym powietrzu: Niezawodny Plan Leczenia Latham. Wiedziałem o tym, kiedy się tu zapisywałem, ale nie miałem innego wyjścia. Nie mogłem zostać w domu – moi rodzice byli nauczycielami, więc gdyby ze mną przebywali, szkoła musiałaby ich zwolnić, by nie ryzykować rozprzestrzeniania choroby.

Doktor Barons uśmiechnął się do mnie, jakby sądził, że naprawdę jaram się perspektywą spacerów po lesie.

– Oczywiście przede wszystkim należy słuchać własnego organizmu. Jeśli będziesz zmęczony, powinieneś spędzić zajęcia zdrowotne w łóżku. Jeśli gorzej się poczujesz, idź do gabinetu pielęgniarki w swoim domu. I oczywiście raz w tygodniu będziesz meldować się u mnie, żebyśmy mogli sprawdzić, jakie robisz postępy.

– Raz w tygodniu? – Cotygodniowe wizyty wydawały mi się absurdalnie rozciągnięte w czasie, jakbym miał zostać w Latham na zawsze.

– Nie martw się, pielęgniarki mają dyżur dwadzieścia cztery godziny na dobę – zapewnił z uśmiechem, błędnie interpretując mój niepokój.

– Nie, chodziło mi o... Jak długo mam tu siedzieć?

Dopóki nie zapytałem na głos, nie zdawałem sobie sprawy, że wchodzę na kruchy lód. Doktor Barons uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Dobre pytanie, Lane. Najpierw musimy się postarać o poprawę sytuacji na rentgenie. Pozbyć się tej paskudnej infekcji w prawym płucu. Upewnić się, że poziom hemoglobiny się ustabilizował. A jak długo to zajmie... to już zależy od ciebie, nie ode mnie.

Tak, jasne.

– Dwa miesiące? – nie odpuszczałem. – Trzy?

Nie wyobrażałem sobie dłuższego pobytu poza domem. Trzy miesiące oznaczały, że przegapiłbym cały pierwszy semestr. Nie uratowałyby mnie nawet segregatory z materiałami przesłanymi przez nauczycieli – i tak zostałbym w tyle. Nie było szans, żebym nadążył ze wszystkimi rozszerzonymi przedmiotami. To skończyłoby się niższymi ocenami na egzaminach w drugim semestrze, co z kolei doprowadziłoby do utraty punktów na studia, czyli musiałbym dołożyć sobie zajęcia podstawowe, zamiast przeskoczyć prosto do tych, które rzeczywiście mnie interesowały.

– Do czego tak ci się spieszy? – zapytał doktor Barons.

Na jego twarzy odmalował się pobłażliwy uśmiech – w tej chwili pojąłem, że i tak nie zrozumie.

Byłem na drugim miejscu w swoim roczniku. Prawie się zarznałem, żeby zająć tak wysoko. Przez całą trzecią klasę liceum jeździłem na zajęcia z fizyki do szkoły pomaturalnej, w środy po południu chodziłem na wolontariat do ośrodka zdrowia, większość weekendów poświęcałem na przygotowania do symulacji obrad ONZ i kursy przygotowawcze do egzaminów na studia, a do tego założyłem jeszcze kółko redukcji śladu węglowego po tym, jak mój opiekun naukowy powiedział mi, że powinienem mieć jakieś „oryginalne hobby”, żeby moje podanie na studia czymś się wyróżniało.

Byłem dobry w byciu dobrym. W czytaniu podręczników tak długo, aż miałem je wykute na blachę. Na lekcjach znałem prawidłową odpowiedź tak często, że przestałem się zgłaszać, bo nie musiałem już nic nikomu udowadniać. Rodzice zawsze zachęcali mnie do intensywnej pracy, aż w końcu przestałem potrzebować zachęty.

Jeszcze kilka tygodni temu byłem na prostej drodze na wybrane studia.

Na Uniwersytet Stanforda. Miałem szansę na letnie praktyki zawodowe w banku przed dwudziestką, dyplom wyższej uczelni po trzech latach i zagwarantowaną pracę na Wall Street. W wieku dwudziestu trzech lat miałbym już spłacony kredyt studencki, akurat na czas, żeby zacząć szkołę biznesową. Albo iść na prawo – jeszcze nie byłem pewien. Ale taki był ogólny plan.

I zamierzałem się go trzymać. W każdym razie dotąd zawsze szybko wracałem do zdrowia. Po wyrwaniu zęba mądrości ogarnąłem się przez weekend, żeby nie opuścić omówienia egzaminu z angielskiego. Teraz więc potrzebowałem tylko kilku tygodni, żeby mój organizm wziął się w garść, a potem zamierzałem spadać do domu. Nawet nie czułem się tak źle. Byłem trochę zmęczony i pokasływałem, ale to bardziej przypominało przeziębienie niż ciężką chorobę.

– No, jestem w klasie maturalnej... – zacząłem.

– Lane – przerwał mi doktor Barons – musisz potraktować pobyt w Latham jak wakacje. To spokojne, przyjazne miejsce, w którym możesz się odprężyć, uciec przed stresem i toksynami prawdziwego świata.

– Wakacje. Okej – odparłem, garbiąc się na kozetce.

Nie interesowały mnie wakacje. Wakacje były dla ludzi, którzy mieli czas się zrelaksować, a ja do nich nie należałem. Na Stanford dostawało się pięć osób na sto. Nie mogłem sobie pozwolić na bycie zaledwie lepszym niż dziewięćdziesiąt cztery procent kandydatów. Musiałem być w ścisłej czołówce.

Ale dotarło do mnie, że nie zdołam wytłumaczyć lekarzowi, jakie to ważne, żebym nie został w tyle. Musiałem mu pokazać, że Latham działa. Że wracam do zdrowia. Wtedy odeśle mnie do domu. Należało się tylko upewnić, że do tego czasu nie przestanę robić postępów w nauce.

ROZDZIAŁ 4

SADIE

Podczas obiadu rozglądałam się za Lane'em, ciekawa, czy go rozpoznam. A potem zaczęłam się zastanawiać, czy on pozna mnie. Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że nie. Jako trzynastolatka byłam kompletnym straszysłem: miałam nastroszone włosy, źle dobrane szorty, a na trampkach narysowane długopisem symbole Insygniów Śmierci.

Najgorsze jednak jest to, że wstydu bycia frajerką w podstawówce nigdy nie da się do końca zmyć. Nawet kiedy aparat ortodontyczny w końcu znika z zębów, a włosy wyglądają tak jak u dziewczyn z Tumblra, w środku nadal gryzie cię niepewność, czy twoi znajomi naprawdę cię lubią – a może rozmawiają z tobą tylko po to, żeby potem mieć z czego się pośmiać.

I mimo że takie rzeczy już mi się nie przytrafiały i od lat nie doświadczyłam niczego, co można by uznać za prześladowanie, nadal przerażała mnie myśl, że pewnego dnia się obudzę, a ktoś uzna, że wszystko jest ze mną beznadziejnie, nieodwracalnie „nie tak”. Wiedziałam, że to głupie, ale nie chciałam mieć w swoim otoczeniu chłopaka, który zacznie opowiadać upokarzające historie na mój temat. Nie chciałam, żeby ktoś

widział we mnie Sadie Bennett – małego wyrzutka, który siedzi sam w namiocie do zajęć artystycznych i wypłata bransoletki przyjaźni dla swojej lalki American Girl.

Kolejka do dietetyczki trochę się ruszyła, więc chwyciłam burgera z indykiem i dwie miseczki owoców. Nick prychnął, widząc, że biorę podwójną porcję, więc zbyłam go krótkim: „Przepraszam, że mam apetyt”.

Wtedy go zobaczyłam. To rzeczywiście był on. Wyższy, niż sobie wyobrażałam, z niesforną czupryną brązowych włosów, które wyglądały tak, jakby grawitacja ich nie dotyczyła. Był szczupły i blady jak my wszyscy, z podkrążonymi oczami, ubrany zbyt oficjalnie na Latham, trochę jak manekin z Zary. Tak czy inaczej, stał tu w koszuli wypuszczonej ze spodni, trzymał tacę z burgerem i rozmawiał z – uch – Genevieve Reaser.

Parę dni temu niewinnie myłam zęby we wspólnej łazience, kiedy Genevieve weszła z żelem do mycia twarzy i radośnie powiadomiła mnie, że „Jezus pragnie, abyśmy zasiali dziś ziarno naszego przyszłego szczęścia i myśleli pozytywnie”. Odparłam, że Jezus wolałby, żeby poczekała na swoją kolej do umywalki.

Patrzyłam, jak Genevieve prowadzi Lane’a do swojego kółka różańcowego. Co za smętna zgraja. Ale to właśnie takie osobniki zawsze wyrywały się do oprowadzania nowych.

– Co z tobą? – spytał Nick.

– Nic – mruknęłam. – Znam go, to wszystko.

– O-o, Sadie przywlokła nową zarazę.

– Spadaj. Poznaliśmy się kiedyś na koloniach.

– Jeszcze gorzej – skwitował Nick z uśmiechem, ładując sobie na talerz porcję frytek z batatów.

– Ej, Nick, wiesz, jaką karierę miałbyś przewidzianą w albumie klasowym? – zagadnęłam. – Koleś, którego wszystkie dziewczyny traktują

jak przyjaciółkę.

– Bardzo zabawne – burknął Nick. – Nie bądź taka do przodu, bo ci tyłu zabraknie.

Posłałam mu swój najśłodszy uśmiech.

– Zamierzasz cały wieczór miętosić tę łyżkę?

– Matko, weź sobie – wymamrotał w odpowiedzi, jakby przeze mnie został z pustym talerzem, choć połowę miał zawaloną frytkami.

Prawda była taka, że większość z nas nie pojawiła się w żadnym szkolnym albumie. Byliśmy tymi, którzy rozplynęli się w powietrzu, którzy nie wrócili z wakacji. Którzy może już nigdy nie wrócą. Bo gruźlica nie była jak rak – z tą chorobą nie walczyło się przy wsparciu przyjaciół i rodziny, którzy siedzieliby wokół twojego łóżka i przekonywali, że świetnie sobie radzisz. Nikt nie trzymał nas za rękę... w naszej obecności wstrzymywano oddech. Wysyłano nas jak najdalej, w takie miejsca jak Latham, żeby chronić wszystkich innych – bo tak było lepiej dla nich.

Może należało to przewidzieć. Historia zataczała koło, zapomniane choroby powracały już od jakiegoś czasu. Pierwsza nadeszła hiszpanka w 2009 roku, choć tym razem nazwaliśmy ją świńską grypą. Potem krztusiec. Następnie choroba Heinego–Medina. Jakiś czas później w Princeton wybuchła epidemia zapalenia opon mózgowych – dziwna odmiana, z którą nikt się wcześniej nie spotkał, więc rząd musiał w trybie alarmowym importować szczepionkę z Europy. Potem ebola. A w samym środku tego zamieszania rozwinął się nowy szczep gruźlicy. Najpierw uodpornił się na leki, potem na szczepionkę, która mogłaby zapobiec rozprzestrzenianiu choroby. A potem złapała nas. Wiem, że powinno się mówić na odwrót – to pacjenci łapią choroby – ale nie widzę w tym żadnego sensu. To brzmi, jakbym czekała na chorobę, a ona równie dobrze mogła mi uciec.

Na stołówce panował dziwny klimat. Marina miała rację – coś było

wyraźnie nie tak i każdy już zaczynał to wyczuwać. Było oczywiste, że wszyscy w pomieszczeniu grają w Zgadnij, kto to.

– Czy mieli dziś kogoś wypisać? – zapytała Marina.

– Nie wydaje mi się. – Nick zmarszczył brwi.

Amit, chłopak Mariny, wrócił do domu dwa miesiące temu. Od tamtego czasu trwała cisza na łączach: Marina wysyłała maile bez odpowiedzi i na próżno czekała na telefon. Pochmurniała za każdym razem, kiedy ktoś świętował swoją ostatnią noc w Latham albo pakował rzeczy do samochodu rodziców. Takie sytuacje przypominały jej o Amicie – nic dziwnego, że nie miała ochoty na to patrzeć.

– Założę się, że dziś wieczorem będzie zakaz wstępu – stwierdził Charlie, kiedy wreszcie podniósł wzrok znad notesu na dość długo, żeby dostrzec gęstą atmosferę.

– U chłopaków czy u dziewczyn? – spytała Marina.

– Nie jestem wyrocznią śmierci – poinformował ją rzeczowo Charlie. – Nie mogę być aż tak precyzyjny.

– To nie jest jakaś wielka precyzja – zaprotestowałam. – Masz pięćdziesiąt procent szans, że trafisz.

Wtedy Nick przerwał nam opowieścią o tym, jak po południu niechcący puścił bąka podczas zajęć jogi i zwałił winę na Cheryl, która jest okropna. I zanim się zorientowałam, było już po obiedzie.

Tace należało odkładać na wysokie metalowe wózki, które zawsze są zapchane, kiedy człowiek do nich dotrze, więc całą wieczność trzeba szukać wolnego miejsca. Jakimś cudem dostrzegłam jedno na samym środku. Wsunęłam tacę, ale w tym samym momencie zrobił to ktoś stojący z drugiej strony wózka.

Nasze tace zderzyły się gwałtownie. Aż podskoczyłam, kiedy rozległ się głośny brzęk. Moja taca wyleciała z powrotem – ledwie udało mi się ją

złapać, zanim talerz zdążył się z niej zsunąć.

– Przepraszam! – zawołał chłopak zza wózka. – Uderzyłem cię?

– Księżniczka Musztarda, ofiara ataku artylerii gastronomicznej – odparłam. – Proszę mi tak napisać na nagrobku.

– Przekażę rodzinie – obiecał, wysuwając głowę zza metalowych półek.

To był Lane.

– A więc to jest ta śmiertelna broń – stwierdził z kpiącą powagą, wskazując głową na moją tacę. – Daj, odłóżę.

Jego głos był niski i nieco ochrypły, z ledwie słyszalnym kalifornijskim zaśpiewem. Gapił się na mnie jakoś tak dziwnie. Jakby nie mógł oderwać ode mnie wzroku.

Nadal trzymałam się nadziei, że mnie nie pozna. Że makijaż, suchy szampon i obcisłe dżinsy zmieniają mnie w jedną z dziesiątek anonimowych mieszkanki Latham.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, wyjął mi tacę z rąk i wsunął na wózek.

– Dzięki – wymamrotałam.

Ulżyło mi – nie skojarzył, kim jestem. Ale swoją drogą kto spodziewa się zobaczyć znajomą twarz, gdy powoli stacza się ku własnemu kapryśnemu przeznaczeniu?

– Sadie, prawda? – zagadnął z uśmiechem. – Eee, byliśmy razem na koloniach.

Och, szlag by to.

– Tak? – Zmarszczyłam brwi, jakbym nie mogła go rozpoznać. Przynajmniej tej sztuczki zdołałam się nauczyć. Jeśli udajesz, że sobie kogoś nie przypominasz, natychmiast zyskujesz nad nim przewagę.

– Obóz Griffith – podsunął. – Byłem w domku 8B. Nie wiem, czy mnie

pamiętasz.

Jak mogłabym zapomnieć? Wstrętnie mnie wtedy potraktował. Zachował się niewybaczalnie. Miałam święte prawo wywalić mu zawartość najbliższej tacy na głowę. A on chyba jeszcze myślał, że ucieszę się na jego widok.

– Lane? – zapytałam w końcu, jakby dopiero mnie olśniło. – A, rzeczywiście.

Czekałam, aż coś powie. Przeprosi albo chociaż napomknie o tamtej sprawie. Ale on tylko patrzył na mnie wyczekująco, z wielkim uśmiechem jak u małego chłopca. Tak samo uśmiechał się, kiedy mieliśmy trzynaście lat, a on biegał w krótkich spodenkach, z rakieta do badmintona w dłoni.

– Wysoki się zrobiłeś – bąknęłam. Idiotyczne, ale nie mogłam już tego cofnąć.

– I chory, choć rozumiem, dlaczego wolałaś zwrócić uwagę na mój wzrost. – Wzruszył ramionami, nadal się uśmiechając. – Jeszcze raz *sorry* za tę tacę.

– Za tacę? – powtórzyłam. Chyba się przesłyszałam.

– Możesz dać mi karniaka za oblanie testu na zwrot tacy. Słyszałem, że są sporo warte.

– Niby dlaczego? – zapytałam. – Zamierzasz opuścić zajęcia towarzyskie?

– A ty nie?

Szczerzył się, jakby to był jakiś nasz prywatny żart – choć nie widziałam w tym nic śmiesznego. On nie miał prawa żartować sobie z opuszczania imprezy. Nie ze mną.

– Nie wiem – odparłam chłodno. – Może zmienię zdanie.

W jednej chwili ogarnęła mnie wściekłość. Za to, że tu jest – i że ze mną rozmawia, choć kiedy mieliśmy trzynaście lat, jakoś nie mógł się na to zdobyć. Jego miłe zachowanie w jakiś sposób było pięćdziesiąt razy gorsze,

niż gdyby okazał się palantem, tak jak się tego spodziewałam. Nie potrzebowałam jego litości. Nie chciałam, żeby mnie żałował i odkładał za mnie tacę, jakbym była za słaba, żeby ją samodzielnie podnieść.

Odeszłam najszybciej, jak mogłam, zanim zdążył coś powiedzieć. Nie obchodziło mnie, że w raporcie medycznym pojawi się informacja o podwyższonym ciśnieniu.

Tamto lato, kiedy go poznałam, było najgorsze w moim życiu. Lato rozvodu. Lato, kiedy rodzice zawieźli moją młodszą siostrę do cioci Ruth, a mnie w ostatniej chwili wysłali na obóz, żeby móc się kłócić o sprzedaż domu bez konieczności zniżania głosu.

Pozbyli się mnie na osiem tygodni. Nie byłoby tak źle, gdyby nie to, że dziewczyny z mojego domku znały się od lat i przez ten czas zdążyły stworzyć wredną klikę.

Przewodziła im Bethie.

Miałam różową bluzę z Disneylandu. Podczas pierwszego tygodnia obozu Bethie zapytała, czy mogłaby ją pożyczyć. Siedziałam na ganku i czytałam powieść Diany Wynne Jones. Byłam tak pochłonięta lekturą, że za pierwszym razem nawet nie usłyszałam pytania.

– To jak, mogę ją wziąć? – powtórzyła niecierpliwie, jakbym to ja jej zwracała głowę.

„Wziąć” zabrzmiało mi trochę podejrzanie, więc odmówiłam. Zabawne, jak jedna chwila może wszystko zniszczyć.

Po południu leżałam z książką na łóżku, kiedy Bethie postanowiła zabawić się w sędzię. Wyciągnęła od higienistki pudełko tamponów i rozdała koleżankom, które moczyły je w zlewie, a potem ze śmiechem rzucały do góry. Tampony przyklejały się do sufitu. Ich sznureczki dyndały jak mysie ogonki.

Kiedy do domku weszła nasza wychowawczyni, wystarczyła chwila,

żeby zauważyła nowe dekoracje na suficie. Kazała się przyznać, kto to zrobił. Bethie zwała winę na mnie, a jej przyjaciółki potwierdziły tę wersję. Dostałam zakaz uczestniczenia w weekendowym spływie tratwami.

Szlaban w samotności podczas jednej z niewielu wypraw poza teren obozu byłby dostatecznie okropny, ale na tym się nie skończyło. Jeden z chłopców zapytał, gdzie jestem. Bethie powiedziała mu, że nie mogłam dołączyć, bo mam okres. Twierdziła, że mam potworne okresy. Strasznie obfite, „normalnie cały garnek pomidorówki”.

Oczywiście nikt nie zainteresował się, jakim cudem Bethie, którą poznałam w zeszłą niedzielę, zna tak intymne szczegóły mojego cyklu menstruacyjnego. Kiedy autokar wrócił ze spływu, wszyscy, którzy w nim byli, mówili na mnie „Pomidorówka”. Nawet chłopcy. Zwłaszcza chłopcy.

Żadna z dziewczyn z mojego domku nie chciała obok mnie siedzieć, pływać ani korzystać po mnie z toalety. Wyrzuciły mi szampon i zapchały moją półkę w łazience podpaskami. Gdy tylko wkładałam strój kąpielowy, rozmawiały bardzo głośno o tym, że rekiny potrafią wyczuć krew. Za każdym razem, kiedy to robiły, mocno zaciskałam powieki i pisałam sobie na nodze „nie płacz” palcem wskazującym, jakbym rzucała niewidzialne zaklęcie chroniące przed łzami.

Miałam ze sobą aparat, więc cały wolny czas zaczęłam poświęcać fotografii. Rano przesiadywałam w namiocie do zajęć artystycznych, bo moje współlokatorki nigdy tam nie zaglądały, a potem wymykałam się do lasu. Robiłam zdjęcia ptakom, czasem układałam słowa z kamieni i je fotografowałam. Wprawdzie w domku miałam piekło, ale przynajmniej udało mi się znaleźć jakiś azyl.

Aż pewnego dnia poczułam, że ktoś mi się przygląda. To był chłopak z 8B. Miał rozczochrane brązowe włosy i taki fajny aparat na zęby, na który mówiło się „niewidzialny”, choć tak naprawdę był po prostu przezroczysty.

Trzymał w dłoni rakieta i plastikową lotkę, która wyglądała trochę jak znicz do quidditcha – domyśliłam się, że właśnie po nią wszedł do lasu.

Stał tak może przez minutę, myśląc, że nie widzę go zza drzew, a potem zniknął.

Kilka dni później znów go zobaczyłam, w tym samym miejscu. A potem jeszcze raz. Zawsze przystawał tylko na moment, jak jelen, który robi sobie chwilę przerwy. Nigdy nie podszedł bliżej. Ani razu się nie przywitał.

Miałam nadzieję, że nikomu nie powie, gdzie jestem. Bałam się, że dziewczyny z mojego domku przyjdą i wszystko zepsują. Albo że ci okropni chłopcy tu trafią i będą mi dokuczać. Zawsze pytali bardzo wulgarnie, czy któraś z dziewczyn chce iść z nimi „na skałę” – to była taka obozowa legenda, miejsce schadzek na seks.

Trochę mnie niepokoiło, że ten chłopak wie, gdzie spędzam całe dni, więc któregoś wieczora po kolacji zapytałam o niego jedną z miłszych dziewczyn ze swojego domku.

– Lane Rosen – powiedziała. – Taki trochę nerd. A co, podoba ci się?

– Nie – odparłam. – Tak tylko się zastanawiałam.

Jej pytanie zabrzmiało jak groźba, jakbym nie miała prawa go lubić. Zresztą nie o to chodziło. Chciałam tylko wiedzieć, jak się nazywa.

Kilka dni później wszyscy kąpali się w jeziorze. Żar lał się z nieba, było dobrze ponad trzydzieści osiem stopni, więc weszłam do wody, żeby się ochłodzić, choć zwykle tylko przyglądałam się, leżąc na ręczniku.

– Odsuń się! – wrzasnęła jedna z dziewczyn, kiedy podpłynęłam blisko niej. – Rekiny wywęszą krew!

– Wszyscy zginiemy! – zawtórowała jej przyjaciółka, udając przerażenie.

To było takie niesprawiedliwe. Nawet jeszcze nie miałam pierwszej miesiączki.

Nagle Lane, który unosił się niedaleko na dmuchanym materacu, odsunął

okulary przeciwsłoneczne na włosy i głośno westchnął.

– To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem – oznajmił. – To jest jezioro. W jeziorach nie ma rekinów.

Po tym, jak to powiedział, pomyślałam, że nie wygada nikomu o moich wycieczkach do lasu. Stwierdziłam, że może jest w porządku, choć zawsze widziałam go w towarzystwie tych koszmarnych chłopaków. Wydawało mi się, że on jest inny.

W życiu się tak nie pomyliłam.

W następny weekend miała się odbyć impreza dla starszych obozowiczów. Dziewczyny z mojego domku nie mogły przestać o tym gadać. Całymi dniami ćwiczyły w łazience makijaż i układanie fryzur. Zachowywały się tak, jakby to był prawdziwy bal, a nie jakaś głupia potańcówka z oranżadą i beznadziejnymi typami z 7B i 8B.

– Zaprosił cię już ktoś? – Chichotały, a potem zaczynały dyskutować, z którymi chłopakami chciałyby się lizać w krzakach.

Rodzice wysłali mnie do ośmioletniej podstawówki na tej samej ulicy, na której mieszkaliśmy, żebym mogła odprowadzać młodszą siostrę. Dzieciaki z sąsiedztwa, które były zapisane do normalnego gimnazjum, śmiały się ze mnie i mówiły, że chodzę do przedszkola. Nie rozumiałam, co mają na myśli, aż do wyjazdu na obóz. Nagle poczułam się całe lata młodszą od wszystkich dziewczyn ze swojego rocznika. Ja przywiozłam balsam do ust i bawełniane majtki. One – stringi i eyelinery.

W wieczór przed imprezą jedna z dziewczyn z mojego domku dogoniła mnie w drodze do stołówki.

– Mam ci to przekazać – poinformowała.

Wręczyła mi złożoną karteczkę. Z przodu widniało moje imię, nabazgrane koślawym chłopięcym pismem. Rozłożyłam. Pytał, czy pójdę z nim na imprezę, i dodał, że jeśli tak, to przyjdzie po mnie jutro do mojego

domku. Podpisano: Lane Rosen z 8B.

Nie mogłam w to uwierzyć.

– No i? – zapytała Meghan.

– Czytałaś to?

– Błagam cię, nie musiałam. Podobasz mu się. Albo po prostu za długo zwlekał i już prawie żadna dziewczyna mu nie została.

Schowałam liścik do kieszeni, próbując powstrzymać uśmiech.

– A, i powiedział, żeby to też ci dać – oznajmiła Meghan, wyjmując z kieszeni bluzy okulary przeciwsłoneczne. Ray-bany Lane’a, te czerwone, które miał, gdy pływał na materacu. Nie mieściło mi się w głowie, że pamiętał. Nad jeziorem Bethie „przypadkiem” nadepnęła na moje okulary i je połamala.

Lane to widział. Wszyscy widzieli. A teraz dał mi własne okulary. Przyglądał mi się w lesie, bo mu się podobałam. Może skoro uważa, że jestem fajna, dziewczyny z domku wreszcie zostawią mnie w spokoju.

Wieczorem przed imprezą wyszykowałam się wcześniej i siedziałam na łóżku z książką, podczas gdy dziewczyny przepychały się przed lustrem. W końcu pojawił się pierwszy chłopak: ścięty na jeża Zach, który zaprosił Bethie. Odeszła z nim, kołysząc biodrami, a pozostałe dziewczyny rzuciły się do łazienki, żeby jeszcze ostatecznie poprawić makijaż przed pojawieniem się ich chłopaków.

Przychodzili po nie jeden po drugim, w koszulkach z krótkimi rękawami i spodniach khaki. W porównaniu z dziewczynami w sukienkach bez ramiączek wyglądali na ubranych nieodpowiednio do okazji. W końcu zostałam sama, więc wzięłam książkę i wyszłam na ganek.

Czekałam bardzo długo, ale Lane się nie pojawił.

Już zamierzałam wrócić do środka, kiedy do domku przybiegła Sarah.

– Do ciebie – oznajmiła, wręczając mi złożoną karteczkę z moim

imieniem nabazgranym na odwrocie.

Rozłożyłam ją gwałtownie. „Przepraszam, zmieniłem zdanie. Lane”. Moja twarz musiała zdradzić, jak się poczułam. To od początku była kpina. Okrutny żart, żeby pokazać wszystkim, że nie jest zainteresowany dziwną, nerdową dziewczyną, która o niego wypytuje.

– Boże, jaka jestem głupia – wyszeptałam, na wpół zapomniawszy, że Sarah stoi przede mną.

Tylko westchnęła.

– Ej, pobudka. Chłopaki są beznadziejne. Dlatego my w domku trzymamy się razem. Znamy ich od lat, to wszystko świnię. Większość ma w domu dziewczyny.

Czułam łzy wzbierające pod powiekami. Tak mocno ścisnęło mnie w piersi, że ledwie mogłam oddychać. Odwróciłam się bez słowa, wbiegłam do domku i po raz pierwszy tamtego lata pozwoliłam sobie na płacz.

A teraz stałam z nim na stołówce w Latham – niby cztery lata później, ale przez to spotkanie czas natychmiast zawrócił. Znów miałam trzynaście lat i szlochałam w najlepszej sukience, sama na piętrowym łóżku, ściskając w dłoni najwstrętniejszą wiadomość, jaką mógł napisać jakikolwiek chłopak.

Nie chciałam, żeby tak było. Wiele czasu zajęło mi stłumienie wspomnień tamtego lata, tamtej samotności, tamtej wersji siebie. A mimo to Lane Rosen znalazł mnie przy wózku na tacy i okazało się, że przez cały ten czas tylko dreptałam w kółko.

ROZDZIAŁ 5

LANE

Kiedy po obiedzie szedłem przez teren szkoły z powrotem do swojego domu, musiałem przyznać: w Latham było pięknie. Nasze internaty wyglądały jak bajkowe górskie domki, jezioro migotało w popołudniowym słońcu, a szkolne budynki w neoklasycznym stylu nadawały całości egzotycznie akademicki charakter. Nawet kamienne ławki wzdłuż ścieżek były urocze. Mogliśmy się znajdować wszędzie. W miejscu, gdzie oceny mają znaczenie, a przed studentami rozpościera się wspaniała przyszłość, zamiast... cóż.

Myślałem, że Sadie ucieszy się na widok znajomej twarzy, ale zareagowała, jakby zobaczyła ducha. No i na pewno nie pomogło, że prawie przeciąłem ją wpół tacą na stołówce. Chciałem tylko powiedzieć... Właściwie to sam nie byłem pewien, co chciałem powiedzieć. Przecież właściwie jej nie znałem. Ale chciałem ją poznać. Sadie i jej przyjaciele wydawali się interesujący, a poza tym każda opcja była atrakcyjniejsza niż siedzenie przy stoliku Genevieve – zaczynałem podejrzewać, że trafiłem do nadpobudliwego kółka różańcowego, i bardzo nie chciałem pogłębiać tej

znajomości. Przecież nie wymodlisz sobie, żeby coś się odstało.

Przyłożyłem sensor do skanera przed wejściem do domu, ale urządzenie tylko zapikało i zamrugało na czerwono, odmawiając dostępu.

– No bez jaj – mruknąłem, ponownie skanując opaskę.

Dalej zamknięte.

Spróbowałem jeszcze raz, i jeszcze. Nic z tego.

– To chyba jakiś żart! – Zakląłem i przywaliłem pięścią w skaner.

Nie wiem dlaczego, ale to głupie czerwone światełko wytrąciło mnie z równowagi. Niczego nie byłem w stanie zrobić dobrze. Mój przewodnik mnie olał, Sadie nawet nie chciała na mnie patrzeć. Zawaliłem śniadanie, a teraz nie potrafiłem nawet otworzyć sobie drzwi do własnego domu.

Nagle wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, zważyło się na mnie jedną koszmarną falą. Sfrustrowany pociągnąłem jeszcze za klamkę, ale oczywiście nic to nie dało.

– Chłopie, weź się uspokój. Jest zakaz wstępu – usłyszałem za sobą.

Na ganku siedział punk z lasu. Oparł się plecami o barierkę, a na kolanie miał rozłożony notes Moleskine. Z bliska wyglądał po prostu jak wyczerpany gruźlik, nie żaden kozak.

– Co takiego?

– Zakaz wstępu – powtórzył, wskazując na tłumek zgromadzony wokół.

Byłem tak pochłonięty własnym nieszczęściem, że nawet się nie zorientowałem. Nikt nie wszedł do środka. Chyba pół naszego domku zebrało się na ganku – na wszystkich twarzach malowały się rezygnacja i zdenerwowanie w różnych stadiach rozwoju.

– Jaki zakaz wstępu? Mamy w domu myszy? Pożar?

Punk prychnął.

– Ktoś się wypisał. Teraz po nim sprzątają.

Powiedział to tak mrocznym tonem, jakby specjalnie dobierał niewłaściwe słowa. Kiedy zobaczył, że nie chwytam, ciężko westchnął.

– No wiesz, sprzątają jego pokój dla następnego szczęśliwego mieszkańca.

– Ktoś umarł?

– Oj, przyzwyczajasz się. Poczekaj, aż wyniosą ciało. – Wskazał głową na drzwi.

Chyba wyglądałem na przerażonego, bo wybuchnął śmiechem, punktowanym lekkim kaszlem.

– E, żartuję. Mają do tego tunele.

Nie wiedziałem już, czy mu wierzyć, czy nie.

– Czyli teraz wszyscy musimy tu sterczeć, dopóki nie zabiorą jego rzeczy? – zapytałem.

– Owszem.

Wrócił do bazgrania w notesie, a ja zszokowany gapiłem się na drzwi. Ktoś umarł. Okej, wiedziałem, że w Latham to się zdarza, ale nie spodziewałem się czegoś takiego już pierwszego dnia pobytu. To wydawało się takie... nagle. Jakbym został rzucony głową w dół na głębiny gruzliczego jeziora, zanim w ogóle przyzwyczaję się do wody.

– Wiadomo, kto to był? – zagadnąłem.

– Grant Harden – odparł żyłasty chłopak z wąsikami. – Nie było go na śniadaniu. Poszedł do medycznego i już nie wyszedł.

Nie mogłem w to uwierzyć. Grant. Miał mnie oprowadzić po szkole.

Mój przewodnik mnie nie olał. On po prostu umarł.

Kiedy pielęgniarki wpuściły nas do domu, przyglądałem się z niedowierzaniem, jak ludzie zajmują miejsca w salonie, włączają telewizję i grają w planszówki, jak gdyby nigdy nic.

Poszedłem do swojego pokoju, opadłem na łóżko i wsłuchiwałem się w dźwięki dobiegające z korytarza. Czułem się klaustrofobicznie. Ściany były za blisko. I miałem wrażenie, że są strasznie cienkie, jakby od korytarza nie dzieliło mnie nic z wyjątkiem wątego kawałka kartonu, który nie zostawia ani odrobiny prywatności.

Nie mogłem uwierzyć, że wszyscy tak prędko się otrząsnęli – że śmierć Granta została sprzątnięta z pola widzenia równie sprawnie jak jego rzeczy. Nie rozumiałem Latham i nie wiedziałem, czy kiedykolwiek zrozumiem.

„Zawsze zaczynaj na całego”, mawiał mój ojciec, ale ja zdecydowanie nie miałem ochoty wchodzić w życie w Latham z aż takim rozmachem.

Nie, nie w życie. To tylko kilka tygodni. Latham było chwilowym rozwiązaniem. Wyjazdem na wakacje. Miejscem, w którym musiałem przesiedzieć, aż przestanę zarażać, żeby rodzice nie stracili pracy, a mama nie musiała panikować przy każdym moim kaszlnięciu.

Cała ta sprawa z Grantem była jakąś anomalią. Takim wybrykiem wszechświata. Ale w sumie to samo mógłbym powiedzieć o swojej chorobie. Gdzieś złapałem gruźlicę. To było przypadkowe i niesprawiedliwe. Gdybym tylko zapisał się na hiszpański zamiast na chemię, chodził na wolontariat do kliniki we wtorki zamiast w środy, wybrał się do kina na inny film, usiadł na innym miejscu – byłbym teraz w domu, jadłbym na obiad pizzę i pracował nad podaniem na Stanford.

Takie myślenie pomagało. Miałem plan: dopóki tu jestem, nic mnie nie obchodzi. Nie będę się wychylać, skupię się na pracy i jakoś przez to przejdę.

Nie musiałem się przymilać ani z nikim zaprzyjaźniać. Należało skoncentrować się na nauce, wyzdrowieć i wrócić do domu. Wziąłem kilka głębokich oddechów, przez co trochę zabolalo mnie w płucach, zapuściłem odpowiednio ponurą muzykę i zacząłem porządkować swoje rzeczy.

Ponieważ do Latham przyjechałem prosto ze szpitala, to mama spakowała

mi walizkę. Mimo że poprosiłem o bardzo konkretne rzeczy, i tak wybrała nie te dżinsy, co trzeba, i z pięć koszul polo, których nigdy nie nosiłem. Zamiast ulubionych T-shirtów miałem ze sobą stertę niechcianych chanukowych prezentów, ze swoim imieniem świeżo wypisanym na każdej metce, żeby nie pogubiły się w pralni. Fantastycznie. Schowałem wszystko do szafy, a następnie ułożyłem na biurku materiały od nauczycieli na ten semestr, opracowania naukowe i podręczniki do egzaminów wstępnych.

Starąłem się rozpakowywać jak najwolniej, żeby odwlec nieuniknioną chwilę, gdy będę musiał zadzwonić do domu, ale telefonu do rodziców nie da się odkładać w nieskończoność.

Była 19.30. Pewnie siedzieli na kanapie i oceniali wypracowania, a w tle leciały wiadomości. Miałem przed oczami ojca z ziołową herbatą, w bluzie z Uniwersytetu Chapmana, mamę w fioletowych kapciach i w okularach do czytania na nosie, ostrożnie stawiających kubki na podkładkach – jakby byli gośćmi w cudzym domu i nie chcieli popełnić gafy. Mocno wierzyli w rutynę i obowiązkowość. „Jeśli masz ochotę sobie odpuścić, to zrób jeszcze pięć powtórzeń”, mawiał tata. Większość jego powiedzonek stanowiły motywacyjne obelgi.

Przez chwilę patrzyłem nieufnie na starożytny telefon stacjonarny na biurku, wiedząc, że opór na nic się nie zda. W końcu podniosłem słuchawkę i wybrałem numer.

Mama oczywiście odebrała po drugim sygnale. W jej głosie pobrzmiwała stanowczo zbyt głęboka nuta zatroskanego niepokoju.

– Lane, kotku, jak się czujesz? – zagruchała.

Powiedziałem, że w porządku, a ona z miejsca zaczęła opowiadać, że doktor Barons wrzucił mój nowy rentgen online, żeby mogli go zobaczyć, i że wygląda dużo lepiej niż poprzedni, że tata też tak uważa.

Nie czułem się zbyt komfortowo z myślą, że rodzice oglądają zdjęcia

moich wnętrzności na iPadach. Staralem się nie wyobrazić sobie, że rozmawiają o tym przy obiedzie, tak jak o moich wynikach z próbnych egzaminów na studia.

Zapadła niezręczna cisza. Domyślałem się, że mama czeka, aż zdam relację z wizyty u lekarza, ale nie miałem pojęcia, co mógłbym jej powiedzieć.

– Wróciliście bez problemów? – zapytałem zamiast tego, próbując zmienić temat.

– Och, tak. Nie było korków.

Kolejna krępująca pauza.

– Poczekaj chwilkę, zawołam ojca. Przełączę cię na głośnomówiący.

Następnie na zmianę zadawali mi Ztroskane Pytania o to, co jem i czy mam dość dużo poduszek do spania, bo zawsze mogą dostać mi więcej, i czy mam gorączkę, jak śpię, czy pielęgniarki są w porządku, czy lekarz powiedział, jak ocenia mój stan. To ciągnęło się w nieskończoność.

– Pytałeś nauczycieli, czy możesz robić swoje rozszerzone zadania zamiast ich lekcji? – chciał wiedzieć tata.

– Eee – bąknąłem, zerkając na stertę podręczników i kserówek na biurku. W sumie bardziej przypominały wieżowiec.

Zamierzałem poprosić nauczycieli o pozwolenie, ale byłem tak oszołomiony wszystkim, co się wydarzyło, że nie miałem okazji tego zrobić.

– Nieważne – wtrąciła mama kojącym tonem, a tata odchrząknął, jakby nie do końca się z nią zgadzał. – Naprawdę, skarbie. Nie chciałabym, żebyś się przemęczał.

– Nie, na pewno nie będą mieli nic przeciwko temu – przerwałem jej. – Jutro zapytam.

Potem tata powiedział: „Trzymaj się, młody”, a ja odruchowo odparłem: „Ja ciebie też”, zupełnie bez sensu. Ale było już za późno. Rozbrzmiał

niezręczny chór deklaracji „kocham cię”, aż w końcu, dzięki Bogu, się rozłączyliśmy.

W tamtej chwili czułem się tak drastycznie odcięty od swojego dawnego życia, jakbym znalazł się milion kilometrów od plakatów na ścianach swojego pokoju, od czarnego labradora Lokiego i wszystkich rzeczy, które tak długo mnie określały. Rodzice nigdy wcześniej nie byli ciekawi, jak śpiam ani czy nie potrzebuję więcej poduszek. Kiedy zarywałem noce przed egzaminem z fizyki, nie prosili, żebym się nie przemęczał. Pytali tylko, czy czuję się dostatecznie przygotowany, a gdy dostawałem wyniki, chcieli wiedzieć, co mogę zrobić, żeby następnym razem poszło mi lepiej.

Byłem przyzwyczajony do swoich rodziców. Do takiego tempa, do naszego życia. Po prostu nie spodziewałem się, że moja choroba zmieni nas w nieznajomych, a dotąd przewidywalne rozmowy nagle staną się czymś odległym i obcym.

Jeszcze raz wziąłem do ręki słuchawkę i zadzwoniłem do Hannah. To była moja nagroda za rozmowę z rodzicami. Spotykaliśmy się od pięciu miesięcy, od wyjazdu na symulację obrad ONZ do San Francisco. Nie mogłem uwierzyć, że już tyle czasu jesteśmy razem. To wyglądało bardzo poważnie, choć przecież w rzeczywistości ledwie weszliśmy w ten związek.

– Halo? – usłyszałem jej niepewny głos.

– Gratulacje, wygrała pani romantyczną wycieczkę dla trojga do SeaWorld – oznajmiłem, starając się zmienić głos.

– Lane?

– No, to ja. *Sorry*, że z dziwnego numeru.

– Nie szkodzi. Przykro mi, że nie będę mogła zabrać swoich dwóch ulubionych kochanków do SeaWorld.

– Zaraz, to masz ich więcej?

– Nic o mnie nie wiesz. – Hannah zachichotała.

Tak dobrze było ją słyszeć, wspólnie żartować z rzeczy bez znaczenia. Oparłem się na krzesło i zamknąłem oczy, na moment pozwalając sobie udawać, że jestem gdzie indziej, gdziekolwiek.

– Co nowego w Harborlandzie?

– Boże, wszystko.

Hannah miała cudownie energiczny głos, który zawsze kojarzył mi się z lokomotywą parową, pędzącą z całym impetem naprzód. Wsłuchałem się w jej opowieść o cotygodniowych sprawdzianach z rozszerzonej biologii i jakie to cholernie niesprawiedliwe, że na koniec nauczyciel wylosuje sześć z nich, a ocena z przedmiotu zostanie wystawiona na podstawie średniej.

– Jeśli zawałę jeden, a resztę rozwiążę na sto procent, to i tak mogę na koniec dostać dziewięćdziesiąt. Do końca nie będę wiedziała, na czym stoję. W każdy czwartek wieczorem będę chodzić po ścianach i zajadać stres pizzą, bez dwóch zdań.

– Poradzisz sobie – zapewniłem.

– Może. – Westchnęła. – Ale dobrze wiesz, że piątki są zarezerwowane tylko dla dwudziestu procent najlepszych wyników, a teraz każdy walczy o drugie miejsce, odkąd... – Przerwała zawstydzona.

– Odkąd zniknąłem z pola widzenia? – podsunąłem.

Hannah nie odpowiedziała. Nie było takiej potrzeby.

– Wiesz, że wrócę – powiedziałem.

– Wiem – odparła prędko. – Zapomnij, że cokolwiek mówiłam.

Na chwilę zapadła cisza. Nie byłem przyzwyczajony do rozmów przez telefon. Nie z Hannah. Jasne, pisaliśmy do siebie. Zdarzało się, że godzinami siedzieliśmy na Skypie – zostawialiśmy go włączonego, podczas gdy uczyliśmy się do egzaminów. Ale to było co innego. Teraz nie dotrzymywaliśmy sobie towarzystwa, tylko próbowaliśmy pozostać w kontakcie. Na odległość, odwrotnie niż kiedyś.

– Jak tam jest? – zapytała w końcu. – Tak naprawdę.

– W porządku.

– I dobrze się czujesz? – Powiedziała to takim macierzyńskim tonem, że aż na chwilę zamknąłem oczy, jakbym dzięki temu mógł wymazać jej pytanie z pamięci.

– Tak, świetnie. Mamy tylko cztery lekcje dziennie. Głównie leżymy w łózkach i oglądamy filmy.

– Brzmi fajnie.

– Cóż, powiedziałbym: „Szkoda, że cię tu nie ma”, ale sama rozumiesz – zażartowałem.

– Lane? – zagadnęła ostrożnie. – Mogłabym cię o coś poprosić?

– Jasne, możesz prosić o cokolwiek.

Chociaż ostatnio nie prosiła o zbyt wiele.

Jakby się obawiała. Jakby próbowała uniknąć odpowiedzi, których nie chciała słyszeć. To dlatego była taka wesoła i nawijała o lekcjach, na które powinienem chodzić razem z nią. Nie było innego wytłumaczenia.

– Wiesz, że składam podanie na Stanford we wczesnym trybie, prawda?

Prawie wszyscy w naszej grupie składali podanie na Stanford we wczesnym trybie, więc odparłem, że tak.

– Może mógłbyś przeczytać mój list motywacyjny?

Nic nie powiedziałem. Nie byłem w stanie się odezwać.

– Tylko żeby sprawdzić, czy za bardzo nie widać, że korzystałam ze słownika. Tylko tyle. Zawsze byłeś lepszy ode mnie z angielskiego, więc... – Urwała, czekając na odpowiedź.

Wiedziałem, że powinienem bez problemu się zgodzić. Bo zawsze tak robiliśmy z Hannah. W trzeciej klasie miałem lepszy wynik od niej z każdego sprawdzianu z angielskiego, a ona lepiej radziła sobie z przygotowania do

całek i rachunku różniczkowego, więc sensowne było tylko współdziałanie w dziedzinie chemii. A potem zaczęliśmy współpracować też w ramach innych przedmiotów. Żartowałem, że jesteśmy „wspólnikami sukcesu”, bo zamiast ze sobą konkurować i ścigać się o lepsze miejsce w szkolnym rankingu, stworzyliśmy drużynę i razem dążyliśmy do tego samego celu.

– Dopiero zaczęłam, ale w weekend mogłabym wysłać ci pierwszą wersję.

– Jasne – odparłem głucho. – Wyślij mailem, kiedy będziesz gotowa.

Głos ugrzązł mi w gardle i zaniósłem się kaszlem. Przycisnąłem słuchawkę do dzinsów, żeby Hannah nie usłyszała, jak źle jest ze mną w rzeczywistości.

– Wszystko okej?

– Tak – wychrypiałem.

– Na pewno?

– Wszystko w porządku – uciąłem.

– Niedługo ci się poprawi – zapewniła Hannah, jakby miała w tej kwestii coś do powiedzenia. – A potem wszystko wróci do normy.

– Jasne. Do normy.

Tylko że teraz moją normą było Latham. Wiedziałem, że kiedy wyzdrowieję, to wcale nie będzie normalne. To będzie wspaniałe.

ROZDZIAŁ 6

SADIE

Francuski był jednym z przyjemniejszych przedmiotów, choć to i tak niewiele znaczyło. Zajęcia prowadził pan Finnegan, który miał jakieś trzydzieści pięć lat i był mężem jednej z pielęgniarek. Kiedy przyjechałam do Latham, Finnegan był nowy, zaangażowany i w sumie całkiem niezły. Pozwalał nam czytać poezję i słuchać francuskiej muzyki, zamiast zmuszać do odwalania mdłych zadań o tym, jak Janine i Paul idą do sklepu po bagietkę. Ale w Latham szybko się wypalił. Za dużo wykreślenia i dopisywania nazwisk w dzienniku. Za dużo dzieciaków dostawało napadów kaszlu, kiedy wywoływał nas do tablicy, choć w połowie przypadków to była ściema, żeby wykręcić się od odpowiedzi. Ostatnimi czasy Finnegan zaczął się trzymać podręcznika i prawie zrezygnował z piosenek.

Chodziłam na francuski ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi – właśnie tak się poznaliśmy. Kiedy wszedł Lane, siedzieliśmy na naszych stałych miejscach przy oknach. Nick właśnie opowiadał jakąś historię o paczce, którą miała mu wysłać matka. Zapowiadało się, że to będzie najbardziej beznadziejna paczka świata.

– Bielizna i bezkofeinowa herbata – zgadywał Nick. – I wycinki z gazet z artykułami o moich kuzynach.

A teraz nagle był tu Lane. Stał skrepowany w drzwiach, znowu w koszuli i kardiganie. Wiedziałam, że to nie powinno mnie irytować, ale nie mogłam nic na to poradzić. To był nasz zwyczaj, mój i moich znajomych. Właściwie wszyscy łązili po szkole w dresach, ale my nadal ubieraliśmy się rano normalnie i nosiliśmy ze sobą torby i plecaki. Zdawałam sobie sprawę, że to tylko iluzja normalności – ale to była nasza iluzja, nie Lane’a.

Wtedy wszedł Finnegan z kubkiem podróżnym wypełnionym kawą. Patrzenie, jak pociąga łyk, stanowiło prawdziwą torturę. Nam dawali tylko najzwyklejszą słabą herbatę.

– *Un nouvel étudiant!* – powiedział, dostrzegając Lane’a.

Zauważyłam, że nie skomentował nieobecności Sheili Valdez, która tego ranka postanowiła wziąć zwolnienie lekarskie i rozłożyła się w gabinecie pielęgniarki, uprzyjemniając sobie dzień kolorowymi pisemkami i dawką vicodinu.

Lane zapytał, gdzie ma usiąść, ale Finnegan potrząsnął głową i kazał mu wyjść na środek i porozmawiać z nim po francusku przed wszystkimi. Pierwszodniowa tortura. Miałam nadzieję, że Lane straci rezon, ale on nie wyglądał, jakby zrobiło to na nim wrażenie, i zaczął dyskutować z Finneganem płynną francuszczyzną.

Z każdą chwilą coraz bardziej go nie znosiłam. Nie mogłam patrzeć na jego pretensjonalną koszulę i na ten uśmieszek po każdym pytaniu, kiedy Finnegan mówił tylko „*bien*”, bo nie było co poprawiać.

Mój francuski nigdy tak nie brzmiał. Musiałam się zatrzymywać i odmieniać w myślach każdy czasownik, zaczynając od „*je*”. Oczywiście Angela Hunter i jej paczka bezmózgich frankofilek gapiły się na niego z ciętym zachwytem. Nie wiedziały, że to dupek. Interesowało je tylko to,

że do naszej stu pięćdziesięcioosobowej ekipy w Latham dołączył jakimś cudem nowy chłopak. Urocze świeże mięsko, które jeszcze nie miało okazji wyjąć chusteczki i głośno wycharczeć na nią świeżej porcji krwi.

Tego dnia trafił nam się rozdział, z którego mieliśmy się nauczyć, co robić, jeśli rozchorujemy się we Francji. Wiedziałam, że tylko przerabiamy podręcznik, ale i tak mnie to denerwowało.

W ćwiczeniach nikt nigdy nie miał niczego poważniejszego niż grypa. Zawsze jakieś przeziębienie, kaszelek, ból głowy. Coś, co da się łatwo załatwić syropem albo bandażem. Co nie wymaga wizyty w szpitalu, zwłaszcza w samym środku wakacji w Europie.

– Dobiorę was w pary – oznajmił Finnegan. – Każda para po kolei wyjdzie na środek i przedstawi krótką scenkę o wizycie w szpitalu. Jedna osoba będzie pacjentem, a druga lekarzem. Zaczniemy od... Genevieve i Nikhila. Zapraszam, Genevieve będzie lekarką.

Nick posłał mi spojrzenie pełne czystej rozpacz. *Genevieve* nas nie znosiła. Twierdziła, że Nick i ja słuchamy diabelskich podszeptów, bo trzęśliśmy czarnym rynkiem w Latham. Dostarczaliśmy wszystkim szczodrych zapasów alkoholu, śmieciowego jedzenia i kondomów. Dwa razy w miesiącu zostawialiśmy w specjalnym miejscu w lesie listę z zamówieniem, a nasz zaopatrzeniowiec nam to przynosił, choć kasował fortunę. Nick i ja prawie nic z tego nie mieliśmy. Chodziło bardziej o dreszczyk emocji, o robienie czegoś nielegalnego, co podkopywało cały system Latham. Genevieve święcie wierzyła, że potrzebujemy sporej dawki Jezusa, mimo że miesiąc temu dopadła mnie przy zsypie na pranie, żeby zamówić pięć opakowań m&m'sów.

Nick poczłapał na przód klasy i melodramatycznie poinformował Genevieve, że, *zut alors!*, cierpi na okropny ból brzucha.

Genevieve, która koszmarnie mówiła po francusku, zapytała go, czy boli.

– Tak, ból brzucha ma to do siebie, że boli – odparł Nick z niedowierzaniem, a cała grupa zaniósła się chichotem.

– Cisza! – ostrzegł Finnegan.

– Czy coś jesz? – dociekała Genevieve łamaną francuszczyzną.

– *Qu'est-ce que vous avez mangé?* – poprawił Finnegan, a Genevieve powtórzyła, stosując tym razem prawidłowy czas.

– Dwadzieścia hamburgerów, które znalazłem na śmietniku – oznajmił Nick, ściskając się za brzuch w udawanej agonii. – Ratunku, pani doktor!

Następnie zaczął bardzo głośno udawać, że wymiotuje na podłogę.

– Fuuuu! – zapiszczała Genevieve, odwracając się do Finnegana.

– *Continuez* – nakazał.

– Jesteś w ciąży – poinformowała Nicka Genevieve.

Finnegan westchnął i powiedział, że mogą usiąść.

Kilka następnych par nie było nawet w połowie tak złych. Marina i Charlie wywołali salwę śmiechu, gdy Charlie zaprezentował doskonałą parodię doktora Baronsa i poprosił ją, żeby oceniła swój poziom bólu w skali od jednego do dziesięciu.

Chyba wyczułam, co się święci, bo nawet mi powieka nie drgnęła, gdy Finnegan oznajmił:

– Lane i Sadie.

– Ja będę lekarzem – oznajmiłam, bo nie było mowy, żebym pozwoliła Lane'owi zdiagnozować u siebie Bóg wie co przed całą grupą.

On tylko wzruszył ramionami, jakby nie robiło mu to różnicy. Ręce trzymał w kieszeniach džinsów. Pod koszulą miał skórzany pasek. Serio. Pasek. W Latham.

– *Où est-ce que vous avez mal, monsieur?* – zaczęłam.

– *Alors, j'ai toussé pendant une semaine* – odparł Lane.

Uch, oczywiście odpowiedział tak kwieście, jak tylko się dało. Koniecznie chciał się popisać. Mogliśmy całą rozmowę przeprowadzić w czasie terażniejszym, ale nie, on musiał przejść do *passé composé*.

– *Et vous avez de la fièvre aussi?* – W mojej głowie zaczął kiełkować plan.

Lane potwierdził, że tak, kaszlał i miał temperaturę.

– A czy odkasływał pan krew? – upewniłam się po francusku.

Lane na chwilę się zawahał i posłał mi spanikowane spojrzenie.

– *Et voilà* – stwierdziłam, wskazując palcem na jego koszulę. – Jest i krew!

– Nie, nie, to... to keczup – zaprotestował Lane, próbując się wykręcić. – Chyba mam grypę.

– *L'infirmière a déjà fait une radiographie, n'est-ce pas?* – nie odpuszczałam.

Na twarzy Lane'a pojawił się wyraz rezygnacji. Nie miał wyboru – przyznał, że pielęgniarka zrobiła mu prześwietlenie.

Wyciągnęłam z zeszytu niewidzialne zdjęcie rentgena płuc i udałam, że podnoszę je pod światło. Doskonale się bawiłam. W klasie zapadła cisza. Wszyscy czekali.

– To tylko lekka gruźlica – oceniłam, jakimś cudem zachowując kamienną twarz.

– *Un peu de tuberculose?* – powtórzył Lane, posyłając mi wściekle spojrzenie.

I wtedy odpaliłam swoją tajną broń.

– Na szczęście, *monsieur*, można to łatwo wyleczyć naszymi wspaniałymi lekami. Ma pan dużo szczęścia, że trafił pan do Francji.

Wtedy Finnegan nam przerwał i kazał wrócić na miejsca. Nie wyglądał

na zadowolonego. Widziałam, że jest wykończony na samą myśl, że będzie musiał się ze mną użerać. No i dobrze. Lane już wiedział, żeby ze mną nie zadzierać, a przy okazji odstawiłam przed klasą małe przedstawienie, więc nieważne, co Finnegan zamierzał teraz ze mną zrobić – warto było.

– Sadie, co to miało znaczyć? – zapytał.

– Czytałam, że we Francji gruźlicę leczy się lekami, które działały na starsze szczepy – wyjaśniłam.

– To prawda? – zainteresował się ktoś.

Finnegan zdjął okulary i wytarł je rękawem koszuli. Dyskomfort aż od niego promieniował.

– Nie – oznajmił stanowczo. – Nie przez ostatnie dwa lata. – Zawahał się, przez chwilę się nad czymś zastanawiał. – No, tylko w sytuacjach ostatecznych, kiedy pacjent się tego domaga – przyznał. – Ale uważa się to za wyjątkowe okoliczności służące zachowaniu życia.

– Co to znaczy? – zapytała Angela.

Finnegan westchnął ciężko. Zrozumiał, że tak łatwo się nie wymiga.

– Sposoby działające na inne szczepy nie sprawdzały się przy hipergruźlicy – wyjaśnił. – Lekarze nie mogli znaleźć przyczyny, ale zbyt wielu pacjentów umierało po przyjęciu leków. Wielu tych ludzi miałoby szansę na powrót do zdrowia bez leczenia albo podczas pobytu w sanatorium.

Nauczyciel posłał mi niechętne spojrzenie, ale nie odwróciłam wzroku i dalej siedziałam z hardą miną. W klasie zrobiło się tak cicho, że dało się usłyszeć liście klonów szeleszczące na lekkim wietrze za oknem.

– Ale niektórym pomogło, prawda? – naciskała Angela.

– Ryzyko śmierci wskutek przyjęcia leków było większe niż szanse na powrót do zdrowia – wyjaśnił Finnegan. – A w przypadkach gdy leczenie jest bardziej niebezpieczne od choroby, lekarze przestają je stosować.

– Jak przy odmie opłucnowej – wtrącił Charlie. – Kiedy lekarze usuwali

powietrze z płuc, żeby się zapadły.

– Coś w tym rodzaju – potwierdził Finnegan.

– Lekarze zasysali ludziom płuca? – zapytała Genevieve ze zgrozą. – Ale że tak wewnątrz ciała?

Finnegan znów włożył okulary.

– Jesteśmy na francuskim – przypomniał.

– Wewnątrz ciała? – powtórzyła Genevieve, nadal oburzona.

– Koniec dyskusji! – przerwał ostro Finnegan. – Proszę wyjąć podręczniki! Strona czterdziesta trzecia, ćwiczenie A i B.

A potem wyszedł z klasy. Ostatnio zdarzało mu się to coraz częściej.

Po zajęciach zauważyłam, jak Lane podchodzi do biurka nauczyciela.

– Przepraszam – zagadnął ostrożnie. – *Monsieur* Finnegan?

– Nie teraz – odparł ostro nauczyciel. Lekko się wzdrygnął i odsunął.

Nauczycielom czasem się to zdarzało, gdy niespodziewanie znajdowaliśmy się zbyt blisko. Byłam ciekawa, czy Lane to zauważył.

– Przepraszam – bąknął i wymknął się z klasy. Wyglądał na przybitego.

– Stara – wyszeptał Nick, wpychając książkę do ćwiczeń z powrotem do torby – fenomenalnie go podpuściłaś z tą uleczalną gruźlicą. Geniusz.

– Dzięki.

– Szkoda, że to nieprawda.

– Szkoda, że nie jesteś w ciąży – odparowałam.

Nick roześmiał się i wyszedł z klasy.

Zostałam ostatnia, a Finnegan nawet nie podniósł głowy, kiedy wymknęłam się na korytarz. Proszę bardzo. Nie musiał nam opowiadać, jak próby przeciwdziałania hipergruźlicy zabijają nosicieli tego szczepu, zamiast im pomagać. Nie musiał wyjaśniać, że to ostatnia deska ratunku, proponowana jedynie w wyjątkowych okolicznościach. Mógł po prostu dać

mi karniaka i wrócić do lekcji. Mógł na mnie nawrzeszczyć, jak zrobiłby to prawdziwy nauczyciel w prawdziwej szkole. Tak jak na początku, kiedy przygotowaliśmy z Nickiem prezentację na temat zwyczajów godowych kaczek. To była jego wina, bo najpierw traktował nas jak normalnych uczniów, a potem zaczął się z tego wycofywać.

Oczywiście Lane czekał na korytarzu. A właściwie to chodził tam i z powrotem, serio. Był wściekły.

– Sadie – powiedział, kiedy tylko otworzyłam drzwi.

– Potrzebujesz czegoś?

– Zawałaś nasze zadanie! – rzucił oskarżycielskim tonem. – Specjalnie!

Tego się nie spodziewałam. A on wyglądał, jakby mówił poważnie. Wydawał się szczerze przejęty faktem, że nie byliśmy najlepsi w klasie.

– Wielka rzecz – prychnęłam.

– Dla mnie owszem! – Aż kipiał ze złości. – Może ciebie nie obchodzą oceny, ale mnie zależy. Nie wierzę, że zrobiłaś mi coś takiego pierwszego dnia szkoły!

– Myślałam, że wczoraj był twój pierwszy dzień.

Lane posłał mi rozjuszony spójrzanie.

– Wiesz, co mam na myśli. Zawałiliśmy zadanie, prawda?

– To bez znaczenia – powiedziałam powoli, nie rozumiejąc, jakim cudem to do niego nie dociera. – Tu nic nie jest prawdziwe. Nauczyciele nie ośmieliliby się dać nam żadnej oceny poniżej piątki. Więc może przestań już tak przeżywać te swoje wyniki, co?

Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę stołówki, oddalając się na tyle szybko, żebyśmy nie musieli stać razem w kolejce do dietetyczki, bo tego chyba już nie zniosła.

ROZDZIAŁ 7

LANE

Jeśli istnieje jakaś skala beznadziejności pierwszego tygodnia szkoły, byłem pewien, że mój początek pobytu w Latham łąpał się na rekord bycia do dupy. Nieważne, co robiłem, i tak wychodziło źle.

Wszyscy wokół doskonale wiedzieli, jak działa system, i potrafili się do niego dostosować. Do perfekcji opanowali sztukę wtapiania się w otoczenie. Z wyjątkiem paczki Sadie i Nicka – oni z kolei wyróżniali się tak ostentacyjnie, jak to tylko możliwe.

Nie miałem z nimi żadnych lekcji poza francuskim, więc zacząłem obserwować ich na stołówce i na kampusie. Nick mieszkał na moim piętrze, Charlie piętro niżej – ale mimo to rzadko widywałem ich w naszym domu. Na to, że Charlie mieszka w szóstce, wskazywały jedynie odgłosy znęcania się nad ukulele i agresywny falset dobiegający czasem z jego okna.

Cała czwórka spędzała dużo czasu w lesie – przemykali po kampusie i znikali między brzoźami, prawie jakby to był jakiś sekret. Torby mieli tak wypchane, że musieli chować w nich coś więcej niż tylko podręczniki. Na stołówce wszczynali aferki z dietetyczką. Któregoś popołudnia, gdy do

obiadu podano świeżo upieczone ciastka, zjedli swoje w kolejce, zanim Linda zdążyła sprawdzić ich tace.

Nie znaczy to jednak, że jakoś szczególnie zaprzętałem sobie nimi głowę. Wcale nie. Głównie pilnowałem własnego nosa. Siedziałem nad lekcjami w swoim pokoju albo w bibliotece, która niespodziewanie okazała się fantastycznym miejscem: reliktem z czasów, kiedy Latham było prawdziwą szkołą z internatem. Zbiory obejmowały głównie literaturę klasyczną, ale znajdowały się tu też wspaniałe wnętrza do nauki, z których nie korzystał nikt poza mną.

Wszyscy inni traktowali pobyt w Latham jak długie wakacje. W salonie z telewizorem zawsze było pełno ludzi, a kolekcja DVD w bibliotece cieszyła się taką popularnością, że z początku sądziłem, że w ogóle ją zlikwidowano, bo półki świeciły pustkami. Powieści graficzne, magazyny i książki, których nie dało się znaleźć w przestarzałej bibliotece, krążyły po domach niczym kontrabanda. Pokój socjalny zajmowały gry planszowe z przerwanymi turniejami i przyklejonymi żółtymi karteczkami ostrzegającymi, żeby nie ruszać kart i pionków. Chłopcy z mojego piętra nawet kąpiel zamienili w swego rodzaju rozrywkę – co wieczór spędzali w łazience tyle czasu, że kiedy wreszcie zwalniała się któraś kabina, zaczynała się już cisza nocna, podłoga była śliska i cała zachlapaną, a ciepła woda dawno zdążyła się skończyć.

Ale wakacje mają to do siebie, że kiedyś muszą dobiec końca. Nie rozumiałem, dlaczego nikt poza mną nie zdaje sobie z tego sprawy. Podczas gdy moi koledzy z piętra grali w Monopol w piżamach, ucinali sobie poobiednie drzemki i oglądali kreskówki w łóżku, ja siedziałem przy biurku i zasuwalem.

Próbowałem porozmawiać z nauczycielami o swoich rozszerzonych zajęciach, ale nie było to łatwe zadanie. Rzadko kiedy w ogóle pojawiali się

w klasie, a gdy już w niej byli, zachowywali się tak, jakby mieli ochotę jak najszybciej z niej uciec. Wreszcie udało mi się dopaść nauczycielkę geologii, ale kiedy zapytałem, czy mógłbym popracować nad własnym podręcznikiem, tylko zamrugła i powiedziała, że powinienem poprosić o zgodę doktora Baronsa przy okazji następnej wizyty. Nie zwierzałem się z tego rodzicom. Skłamałem, że nikt nie robi mi żadnych problemów i że bez trudu nadążam za programem. Nie chciałem, żeby jeszcze o to się martwili – i tak byli wystarczająco przejęci.

Budziłem się wcześnie, żeby wziąć prysznic, i do późna siedziałem nad książkami. Do weekendu moje poświęcenie się opłaciło. Przerobiłem cały tygodniowy materiał z zaawansowanych przedmiotów, a dodatkowo połowę ćwiczeń do egzaminów wstępnych, bo chciałem przy następnym podejściu dostać co najmniej trzydzieści punktów więcej niż ostatnio.

W piątek po południu siedziałem w bibliotece i pracowałem nad próbną częścią matematyczną, choć nie czułem się zbyt dobrze. Byłem wyczerpany, miałem lekką gorączkę, a w skroniach pulsował mi uporczywy ból. Pielęgniarka z mojego piętra dała mi aspirynę, co okazało się mniej więcej równie skuteczne jak poklepanie po plecach.

Westchnąłem i wbiłem wzrok w podręcznik, próbując zebrać w sobie energię do przerobienia kolejnej strony, choć miałem ogromną ochotę po prostu położyć głowę na biurku i spać aż do obiadu.

Dawaj, chłopie, pomyślałem, jeszcze pięć. Rozwiązałem kolejne dwa zadania, kiedy drzwi do biblioteki nagle się otworzyły.

– Na pewno go masz? – wyszeptała dziewczyna.

– Boże kochany, Sadie, po raz dziesiąty mówię, że tak – odparł chłopak, również szeptem.

To była tamta czwórka. Charlie w martensach i ogromnych didżejskich słuchawkach, Marina w dziwacznej staromodnej sukience z bufiastymi

rękawami, a za nimi Nick i Sadie pogrążeni w szeptanej sprzeczce. Mieli ze sobą torby z podręcznikami, choć był piątek, a lekcje skończyły się dobre kilka godzin temu. Biła od nich dziwna energia, jakby coś knuli.

Nigdy dotąd nie widziałem ich w bibliotece. Nick podszedł do biurka bibliotekarki i poprosił o kartę dostępu do internetu. Na tyłach pomieszczenia stał rząd starych komputerów – to był jedyny sposób na połączenie z internetem w Latham. Nie można było tego jednak zrobić tak po prostu – trzeba było mieć pozwolenie. I nawet wtedy można było korzystać z komputera maksymalnie trzydzieści minut, raz w tygodniu. Według naszej broszurki internet był „niepotrzebnym czynnikiem stresogennym”.

Nick zagadywał bibliotekarkę, a jego znajomi zamiast poczekać, rozdzielili się – każde zajęło inny stolik. Już samo to było dziwne. Po co iść ze znajomymi do biblioteki, jeśli zamierza się siedzieć samemu?

Moje biurko znajdowało się niedaleko sekcji informatycznej – nie mogłem nie zauważyć, jak Nick siada przy jednym z komputerów. Otworzył torbę i wyjął małe pudełko, a potem kilka kabli. Prawdopodobnie zewnętrzny dysk twardy. Sprytne. Spróbowałem sobie przypomnieć, czy nadal mam swojego pendrive’a. Ale kiedy Nick podłączył urządzenie, zorientowałem się, że to nie dysk. Nick przyniósł router.

Wtedy zobaczyłem Marinę z laptopem przy jednym z dużych stołów. Logowała się na Facebooka. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Wstałem od biurka i przeszedłem się po bibliotece, udając, że szukam jakiejś książki. Tak jak się spodziewałem, Sadie też siedziała ze swoim laptopem. Na głowie miała wygłuszające słuchawki. Charlie trzymał przed sobą tablet.

Mieli internet. Wszyscy. Bez zużywania wszystkich pozwoleń jednocześnie. Myślałem, że wyjdę z siebie z zazdrości.

Czułem na sobie wzrok bibliotekarki – jakby obawiała się, że wsadzę

sobie w spodnie egzemplarz *Moby Dicka* i ucieknę. W końcu złapałem pierwszą lepszą książkę i wróciłem z nią do stolika, udając, że właśnie tego potrzebowałem.

Spróbowałem znów skoncentrować się na teście – nic z tego. Całą moją uwagę pochłaniała myśl o routerze.

Nigdy dotąd nie chciałem być częścią żadnej grupy tak bardzo jak w tamtej chwili. Oni w ogóle nie byli kompatybilni z Latham, ale w innym sensie niż ja. Zachowywali się tak, jakbyśmy byli w najzwyczajniejszej na świecie szkole z internatem, gdzie można po prostu olewać zasady i wymykać się dorosłym, żeby i tak robić swoje. I nie chodziło tylko o internet. W całej szkole to oni wyglądali na najmniej pokonanych swoją sytuacją. Byli ostatnimi osobami, które spędziłyby cały dzień w łóżku, użalając się nad sobą. Dla nich to nie były wakacje – to była przygoda.

Żałowałem, że nie potrafię się do nich zbliżyć. Za każdym razem, kiedy widziałem ich razem, wyglądali na kompletnie nieprzystępnych. A szczególnie Sadie. Miałem wrażenie, że znienawidziła mnie po tym, jak zaatakowałem ją tacą na stołówce. Mówiłem sobie, że nic mnie to nie obchodzi. Nie szukałem w Latham przyjaciół i nie zamierzałem siedzieć tu na tyle długo, żeby ich potrzebować. A poza tym czekało mnie sporo roboty. Nie miałem czasu na żadne przygody.

Po kilku minutach do biblioteki weszła głośna grupa chłopaków, którzy chcieli oddać filmy. Zrobiło się małe zamieszanie, bo w jednym z pudełek znajdowała się niewłaściwa płyta.

– Już tak było, kiedy ją wypożyczyłem – skarżył się koleś nosowym głosem. – Niech mi pani pozwoli wziąć coś innego.

– Przykro mi – odparła bibliotekarka – ale wykorzystałeś swój limit. Musisz najpierw coś zwrócić, żebym mogła pozwolić ci wziąć kolejny film.

– Przecież zwracam! – upierał się chłopak.

– Należy zwrócić to, co wypożyczyłeś. – Bibliotekarka była nieugięta.

– Właśnie to robię! Czy ja wyglądam na kogoś, kto ma *Legalną blondynkę* na DVD?

Jego koledzy wybuchnęli śmiechem.

– Zamknijcie się! Ktoś pewnie pozamieniał filmy w pudełkach. Chodźcie, sprawdzimy.

– Zaraz! – wrzasnęła piskliwie bibliotekarka. – Nie możecie sami tam grzebać!

Poderwała się z miejsca. Popędziła za chłopakami, a w całej bibliotece rozległ się donośny stukot obcasów na drewnianej podłodze.

Wtedy do mnie dotarło: Sadie siedzi przy regale z filmami. Nie mogła słyszeć bibliotekarki, przecież ma na uszach słuchawki. Zaraz zostanie przyłapana na nielegalnym korzystaniu z internetu. Bibliotekarka odkryje router.

Wysunąłem się zza biurka i pobiegłem w stronę sekcji DVD.

– Halo! – zawołałem. – Eee, proszę pani!

– Chwileczkę – odparła ostro.

– To pilne! – nalegałem z desperacją w głosie.

Bibliotekarka się odwróciła. Miałem pustkę w głowie. Musiałem szybko coś wymyślić.

– To naprawdę bardzo pilne – powtórzyłem głośno.

Wreszcie przyciągnąłem uwagę Sadie. Otworzyła szeroko oczy i prędko zamknęła laptopa.

– Eee... – zająknąłem się. – Widziałem mrówki w dziale ze słownikami. Ktoś rozlał sok.

Słaby wybieg, ale było za późno na jakiś inny. Bibliotekarka wymamrotała coś pod nosem i popędziła w przeciwnym kierunku.

Prędko odmaszerowałem do swojego stolika, żeby się spakować. Nie chciałem nadal tu być, kiedy moje kłamstwo wyjdzie na jaw.

Właśnie chowałem kalkulator do torby, gdy pojawił się nade mną jakiś cień.

To była Sadie. Wyglądała na niezłe wpienioną.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała ostro.

– Opuszczam miejsce zbrodni. – Zrzuciłem plecak na ramię. – Księżniczka Musztarda, biblioteka, mrówki.

– Wcale nie jesteś zabawny – powiedziała Sadie, wychodząc za mną z biblioteki. – Jakbyś chciał wiedzieć.

Otworzyłem jej drzwi, a ona posłała mi niechętne spojrzenie.

– Nie potrzebowałam twojej pomocy – oznajmiła, zakładając ręce na piersi.

– Wyglądało, jakbyś jednak potrzebowała.

– Coś ci się przywidziało.

– Okej. – Wzruszyłem ramionami. – Jak sobie chcesz.

Ruszyłem w stronę swojego domu, ale ona nadal szła za mną.

– Nie powiesz nikomu o routerze, prawda?

– Oczywiście, że nie.

Nawet nie przyszło mi to do głowy. Ale jak widać, Sadie przyszło. Czekałem na podziękowanie albo może na propozycję przyłączenia się do nich następnym razem, kiedy będą robić skok na internet, ale nic takiego nie nastąpiło. A ja miałem już dosyć takiego traktowania – zachowywała się, jakbym był okropnym człowiekiem, któremu należy się porządna nauczka.

– O co ci chodzi? Dlaczego tak mnie nie lubisz?

Sadie roześmiała się lekko, jakby to było tak oczywiste, że nie powinienem w ogóle pytać.

– Pomyśl, co się wydarzyło na obozie – podsunęła.

– Nawet cię nie znałem.

– To po jaką cholere zapraszałeś mnie na dyskotekę?

Powiedziała to z taką wściekłością, że aż cofnąłem się o krok. Oczy jej pociemniały, szczękę hardo wysunęła do przodu. Pojąłem, że to prawdziwy powód, dla którego od naszego pierwszego spotkania na stołówce była dla mnie taka wredna – choć nadal nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– Nie zapraszałem cię na żadną dyskotekę.

– Owszem, zapraszałeś! – upierała się Sadie. – Napisałeś mi liścik i dałeś swoje okulary przeciwsłoneczne!

– Okulary? – Próbowałem to sobie przypomnieć, aż nagle mnie olśniło: ktoś ukradł mi okulary razem ze słuchawkami.

Właśnie za to dwóch chłopaków z mojego domku zostało wykopanych z kolonii. Zabrali nam iPody, zegarki, nawet pieniądze.

– Cały wieczór na ciebie czekałam – ciągnęła Sadie. – Aż w końcu któraś z dziewczyn przyniosła mi drugi liścik od ciebie. Napisałeś, że zmieniłeś zdanie.

– Nigdy w życiu nie napisałem do nikogo liściku! – zaprotestowałem, bo taka była prawda. – Ktoś ci zrobił wstrętny żart, ale to nie byłem ja!

Sadie zmrużyła oczy, jakby nie była pewna, czy mówię prawdę, po czym potrząsnęła głową.

– Nie wierzę ci.

– Pamiętasz ten liścik? Charakter pisma? – zapytałem.

Sadie przytaknęła.

Zamaszystym gestem wyjąłem z plecaka zeszyt.

– No i? – zapytałem.

Ponieważ moja mama uczyła w podstawówce, nie miałem szans wykręcić

się z domowych lekcji kaligrafii: od dzieciństwa torturowała mnie nauką ładnego pisania. Po szkole kazała mi przepisywać litery w książce do ćwiczeń, a sama siedziała obok i oceniała prace domowe. Nienawidziłem tego, ale w rezultacie rozwinąłem charakter pisma, na który Hannah mówiła „Times New Lane”.

Sadie wlepiała wzrok w mój zeszyt. Oblała się rumieńcem.

– Muszę iść – wymamrotała. – I dzięki za... eee... akcję dywersyjną.

Naprawdę nie czułem się zbyt dobrze, więc pozostałą część wieczora spędziłem w łóżku. Wmawiałem sobie, że to tylko migrena, ale chyba w głębi duszy znałem prawdę. Przepracowywałem się. Za dużo nauki, nie dość jedzenia, za mało snu.

W domu sobie z tym radziłem, ale to było kiedyś. Zanim zdradziły mnie własne płuca, zanim padałem twarzą w dół na materac po przemaszerowaniu kilku kółek wokół boiska na zajęciach zdrowotnych.

Kiedy obudziłem się następnego dnia rano, czułem się koszmarnie. Miałem gorączkę – nie na tyle wysoką, żeby zawracać głowę pielęgniarce, ale dostatecznie dotkliwą, by zwleczenie się z łóżka było męczarnią. Leżałem pod kołdrą i użalałem się nad własnym losem, aż zrobiło się tak późno, że ledwie zdążyłem naciągnąć szorty i zejść na czas na śniadanie. Genevieve, John i ich koleżanka Angela znów próbowali zwerbować mnie do swojego kółka różańcowego, ale nie mogłem się skupić na ich gdakaniu.

Czułem pulsowanie w głowie, a ręce miałem jak z gumy, więc tylko cudem nie upuściłem tacy z jedzeniem w kolejce do dietetyczki. Miałem wrażenie, że zarwałem całą noc, choć przecież położyłem się koło pierwszej.

– No, to jak? – zapytała Genevieve, nachylając się w moją stronę.

Nie słuchałem. W ogóle. Zamiast tego przyglądałem się, jak Tim kroi swój naleśnik na maleńkie kawałeczki i wrzuca je do miski z płatkami. To

wyglądało tak dziwacznie, że w pierwszej chwili nie byłem pewien, czy mi się nie przywidziało.

– Z czym? – zapytałem jak w amoku.

Angela westchnęła.

Wtedy zaniósłem się kaszlem. Gorączkowo zacząłem szukać chusteczki, ale nie miałem żadnej przy sobie. Zapomniałem też o tej głupiej torebce na odpady biologiczne, w której należało je trzymać, więc zamiast tego chwyciłem za serwetkę.

Kiedy odsunąłem ją od ust, była cała zaplamiona krwią.

W ustach miałem obrzydliwy smak, a wszyscy przy stoliku przyglądali mi się w niezręcznej ciszy.

Ta krew mnie przeraziła. Dotąd przytrafiło mi się to tylko dwa razy, zaraz przed tym, jak się rozchorowałem, ale od tygodni nie miałem takiej sytuacji.

– Kurde – wycharczałem, mnąc serwetkę w dłoni. – *Sorry*.

Napiłem się herbaty, próbując uspokoić oddech.

– Daj spokój, każdy ma gorsze dni – pocieszył mnie John. – Nikt się nie obrazi, jeśli nie dasz rady przyjść na spotkanie kółka modlitewnego.

– Rany, dzięki, naprawdę się o to martwiłem – odparłem.

Wiedziałem, że zachowuję się jak dupek, ale nic mnie to nie obchodziło. Nie mogłem tak sobie siedzieć i jeść śniadania, podczas gdy oni gapili się na mnie z zatroskanym wyrazem twarzy, jakby mój sensor medyczny miał zaraz wszcząć alarm.

– Nie jestem głodny – oznajmiłem, podnosząc tacę.

Wróciłem do swojego domu, gdzie po raz pierwszy oba prysznicze były wolne po szóstej rano.

Bardzo długo stałem pod strumieniem letniej wody w nadziei, że uda mi się zbić gorączkę, i próbowałem nie panikować w obliczu niepodważalnego

dowodu, że wcale nie wracam do zdrowia. Jeśli już, to jeszcze mi się pogorszyło.

Wieczorem zadzwoniła do mnie Hannah. Zapytała podekscytowana, czy dostałem jej maila. Powiedziałem, że jeszcze nie miałem okazji sprawdzić poczty.

– Dlaczego? – Nie rozumiała.

– Bo bibliotekarka mnie nienawidzi.

– A co jej zrobiłeś? Za głośno się uczyłeś? – Zachichotała, jakby nie mieściło jej się w głowie, że mógłbym zrobić cokolwiek, co zachwiałoby moim żelaznym statusem ulubieńca nauczycieli.

Tylko westchnąłem w odpowiedzi. Nie miałem ochoty o tym rozmawiać.

– Nie mogę tam teraz wrócić – tłumaczyłem. – Po prostu zrobię sobie przerwę od internetu. Wyjdę na dwór albo coś. Słyszałem, że mają tam coś takiego, co się nazywa słońce.

– Przerzekłomane – odparła Hannah. – A teraz leć przeczytać mój list motywacyjny i oddzwoń, jak skończysz, proszę.

Poszedłem więc. Na szczęście bibliotekarka wręczyła mi pozwolenie, nawet nie podnosząc wzroku.

Zalogowałem się, nie wiedząc, od czego zacząć. Bo okazuje się, że kiedy każda minuta jest odliczana, nie ma sensu przeglądać pasków komiksowych i stron ze śmiesznymi memami. Nie dostałem żadnych ważnych maili oprócz wiadomości od Hannah, więc ściągnąłem jej list motywacyjny na pendrive'a, żeby przeczytać go później w pokoju.

Na Facebooku czekało kilka wiadomości, głównie w rodzaju: „Jak leci?” i „Wracaj do zdrowia” od znajomych z klasy, z którymi prawie nie rozmawiałem. Jeden rzut oka na moją stronę profilową wystarczył, żeby mnie

kompletnie zdołować. Wszyscy chcieli dać mi znać, że jestem obecny w ich myślach i modlitwach, z wyjątkiem jednego chłopaka, z którym miałem matematykę – wrzucił mi na ścianę nowy kawałek swojego zespołu. Byłem zachwycony, że jest jakiś koleś, który po prostu chce, żebym kupił jego muzykę – i albo nie wie, co się dzieje w moim życiu, albo w ogóle go to nie obchodzi.

Resztę przydzielonego czasu spędziłem, przewijając swoje zdjęcia na Facebooku, próbując zobaczyć, jak moje życie wyglądałoby z perspektywy zupełnie obcej osoby. Fotografie w większości były zrobione telefonem – ziarniste i kiepskiej jakości, oprócz tego trochę zdjęć z symulacji obrad ONZ, na których ktoś mnie oznaczył: cała grupa w autokarze, potem wszyscy w garniturach przy stole konferencyjnym, następnie w bluzach, jak siedzimy w Applebee's gdzieś pod San Diego o pierwszej w nocy. Na większości fotografii obejmowałem Hannah ramieniem. Były też zdjęcia z połowinek. Hannah i ja w eleganckich strojach, z absurdalnie fałszywymi uśmiechami przyklejonymi do twarzy, na tle fotografii panoramy Paryża. Oglądając moją galerię, można było niemal pomyśleć, że mam jakieś życie poza zasuwaniami na najlepsze wyniki w całej szkole.

Kiedy moja sesja dobiegła końca, poszedłem z powrotem do domu. Było około dwudziestej, na sali gimnastycznej wyświetlali film z Indianą Jonesem. Genevieve i Angela nawijały o tym bez przerwy przez całą kolację. Ponoć wszyscy mieli przyjść w piżamach, z kołdrami i poduszkami. Ale takie rzeczy są fajne, tylko jeśli idzie się w odpowiednim towarzystwie.

Na dworze panowała niesamowita cisza. Brzozy za stołówką majaczyły w ciemności niewyraźną bielą. Nie spędzałem ostatnio zbyt wiele czasu na zewnątrz. Zdążyłem zapomnieć, jaki spokój można znaleźć, gdy jest się samemu na dworze po zmroku. Szedłem powoli, wdychając chłodne powietrze, aż ból w piersi nieco zelżał.

Czułem w kieszeni kształt pendrive'a. Zastanawiałem się, o czym Hannah postanowiła opowiedzieć w liście motywacyjnym. Może o tym, że chciałyby pracować na etacie w Białym Domu? A może o przewodniczce z Kanady w wieku piętnastu lat? Ja nie miałem pojęcia, o czym napisać w swoim.

Kiedy wróciłem do szóstki, poszedłem prosto do swojego pokoju i wetknąłem pendrive do laptopa. Przez jedną okropną chwilę obawiałem się, że plik się nie skopiował, ale wtedy dokument się otworzył.

„L, dzięki za pomoc! – napisała na samej górze. – Jesteś najlepszy:)”.

Przez tę uśmiechniętą buźkę kompletnie nie przygotowałem się na to, co czekało na mnie poniżej.

Z początku sądziłem, że to jakiś żart. Potem poczułem konsternację. A potem się wściekłem.

Wypracowanie było o mnie. O tym, jak zamierzaliśmy iść razem na studia, ale kiedy zapadłem na „śmiertelną chorobę”, Hannah zrozumiała, że musi żyć za nas oboje. Poważnie, właśnie tak napisała. „Żyć za nas oboje”, jakbym był już zbyt strupiały, żeby jeszcze trochę sobie pożyczyć na własną rękę. Jakby gruźlica stanowiła wyrok i już zdjęto mi wymiary do trumny.

To nie było podanie na studia. To był nekrolog. Mój nekrolog.

Kiedy zadzwonił telefon, aż podskoczyłem. Wiedziałem, że to Hannah. Wiedziałem też, że cokolwiek teraz powiem, to będzie coś niewybaczalnego. Ale gównu mnie to obchodziło.

– Hej – przywitałem się sucho.

– Przeczytałeś? – zapytała.

– No.

– I?

– Szczerze? Jestem w szoku.

– Cóż, trochę podkolorowałam dla większego dramatyizmu – przyznała

Hannah.

– Wow, serio? – Poczułem, jak wzbiera we mnie gniew. – A co, miałaś we wskazówkach, żeby napisać laudację pogrzebową dla znajomego?

– Myślałam, że uznasz to za komplement.

– Komplement? Że... czekaj, jak ty to napisałaś... że jesteś wdzięczna za te dni, które mogłaś spędzić przy moim szpitalnym łóżku, pomagając mi przetrwać chwile cierpienia?

Po drugiej stronie linii zapadła cisza, ale nadal ją słyszałem. W tle cicho grała muzyka pop.

– Nie próbowałam cię wykorzystać.

– Ty to powiedziałaś, nie ja.

– Lane...

– Nie – przerwałem. – Nie obchodzi mnie, co masz do powiedzenia, i nie chcę tego słuchać. Bo wiesz co? Ja nie jestem martwy. Nie jestem na łożu śmierci. A przy okazji, nie jestem też już twoim chłopakiem.

Trzasnąłem słuchawką, co okazało się dziwnie satysfakcjonujące. O wiele bardziej niż wściekłe stukanie w klawiaturę iPhone'a.

W kółko powtarzałem w głowie wszystko, co jej wygarnąłem. Że nie jestem martwy. Że nie umieram. Nieważne, co napisała w swoim wypracowaniu. Według statystyk miałem szanse na wyjście z Latham przed końcem roku z zaleczoną gruźlicą i dożywotnim zwolnieniem z wuefu. Sądziłem, że Hannah zdaje sobie z tego sprawę albo że chociaż rozumie, na czym polega różnica między śmiertelną a nieuleczalną chorobą. Myślałem, że Hannah wiele rzeczy rozumie. I ja też.

Byłem strasznie głupi. Ja i Hannah nie mieliśmy szans. Utrzymywanie związku po moim wyjeździe do Latham było jakimś żartem. Robiliśmy to z wzajemnej życzliwości, ale cała ta szopka przestała być zabawna. Nie wiedziałem, czy wysłała mi to wypracowanie, bo napisała w nim to, czego

bała się powiedzieć mi w twarz – że chce się zająć własnym życiem. A może szczerze pragnęła się tym ze mną podzielić jak jakimś porąbanym hołdem.

Przynajmniej miałem tę odrobinę satysfakcji na myśl, jak głupio jej się zrobi, kiedy wrócę do Harbor i znów będzie musiała mnie widywać na zajęciach. I kiedy zobaczy mnie na kampusie – o ile w ogóle dostanie się na Stanford. Miałem nadzieję, że ten żalosny wyciskacz łez pogrzebie jej szanse.

Odwałem za nią lwią część prac domowych z angielskiego. Wymyślałem jej tematy wypracowań, pomagałem pisać konspekty, sprawdzałem każdą rozprawkę, nawet cotygodniowe raporty na dwie strony. Przeciągnąłem nas oboje przez całą termodynamikę na fizyce, bo ona za bardzo stresowała się egzaminami wstępnymi, żeby przygotowywać się na zajęcia. I wcale mi to nie przeszkadzało. Chętnie jej pomagałem, bo to oznaczało, że mam z kim spędzać czas, zamiast zakuwać samemu w swoim pokoju. Nie musiałem już być tym gościem, którego z wielkim wahaniem zapraszano na cokolwiek, bo tak naprawdę nikt nie miał ochoty spotykać się z synem tego rzeźnika od historii.

Przeczytałem wypracowanie jeszcze raz, by upewnić się, że nie przesadzam. Może nie było aż tak źle?

Nie. Było jeszcze gorzej niż za pierwszym razem.

Zszedłem po schodach do pokoju socjalnego i wyszedłem z domu. Na zewnątrz było chłodno, cały świat wibrował od niskiego brzęczenia świerszczy, a może cykad. Nigdy nie potrafiłem odróżnić jednego dźwięku od drugiego. Stałem tak przez chwilę, nie wiedząc, co zrobić i dokąd pójść. Latham nadal nie miało sensu, jakbym żył cudzym życiem, bo ono przecież nie mogło należeć do mnie.

W oddali zobaczyłem altanę, więc ruszyłem w tamtą stronę przez mokrą trawę i usiadłem na schodkach. Miałem wrażenie, że jestem zupełnie niezgrany ze wszechświatem. Gapiłem się w gwiazdy, które są martwe, i na

drzewa, które są ciche i trochę nawiedzone, ale żywe, i starałem się nie myśleć o tym, co Hannah napisała w swoim wypracowaniu.

Nie płakałem, bo obawiałem się, że jeśli zacznę, to już nigdy nie przestanę. Czułem, jak wszystko się we mnie napina niczym struny – naciągnięte tak mocno, że może to nie świerszcze brzęczały. Może to byłem ja.

Po jakimś czasie usłyszałem szelest w lesie. Odgłos kroków. Podniosłem głowę, ciekaw, kto jeszcze kręci się na zewnątrz o tej porze.

Ledwie udało mi się dostrzec cień dziewczyny. Przekradała się po trawie z ciężkim plecakiem, na głowie miała wełnianą czapkę.

Nagle postać zamarła i popatrzyła prosto na mnie.

– Lane? – zapytała Sadie.

ROZDZIAŁ 8

SADIE

Nie znośłam chodzić do lasu bez Nicka, tak jak dzisiaj. Wykręcił się w ostatniej chwili, twierdził, że jest zmęczony, więc na spotkanie z Michaeliem musiałam iść sama.

Zawsze trochę się bałam przebywać w lesie samotnie po ciemku. Nie chodziło o to, że za drzewami mogą się kryć jakieś zwierzęta. Obawiałam się, że się zgubię. Że wyjdę po złej stronie, przerażona i drżąca z zimna dotrę do miasteczka, a wszyscy w Whitley będą się zachowywać, jakbym była potworem Frankenstein.

Na szczęście tak się nie stało. Michael czekał na naszym stałym miejscu tak, jak obiecał, z ust zwisał mu zapalony papieros.

– To kiedyś cię zabije – ostrzegłam, wręczając mu kopertę.

Zgniół niedopałek butem i wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałem, że przyszłaś tu prawić mi kazania.

– Niedawno odebrałam święcenia, mogę ci przy okazji wyprawić pogrzeb. – Wskazałam brodą na reklamówki. – Wszystko?

– Wiadomo – potwierdził Michael, licząc pieniądze. Zgrywał twardziela,

jakby był dealerem narkotyków, a nie baristą ze Starbucksa. – A gdzie twój ochroniarz?

– Wziął dziś zwolnienie lekarskie.

Miałam ochotę urwać Nickowi łeb. Siaty wyglądały na ciężkie. Nie wiedziałam, jak mam zmieścić to wszystko do plecaka.

Komórka Michaela zawibrowała. Wyciągnął ją i przeczytał wiadomość. Skrzywił się.

– Muszę lecieć, ale miło było robić z tobą interesy, słonko.

Nie znosiłam, kiedy mnie tak nazywał.

– Cała przyjemność po twojej stronie – odparłam. Jakimś cudem zdołałam upchnąć wszystko w plecaku.

– Wielka szkoda.

Posłał mi uśmiezek i odszedł, chrzęszcząc suchymi liśćmi. Włączyłam latarkę na najmocniejsze światło i ruszyłam w przeciwną stronę.

Byłam w połowie drogi przez trawnik, kiedy zobaczyłam Lane'a w altanie. Wyglądał żałośnie. W pierwszej chwili pomyślałam, że chyba mi się przywidziało i że to tylko jakaś wyjątkowo zmyślna gra cieni, która sprawia, że zaczynam widzieć chłopców w ciemności. Ale kiedy podeszłam bliżej, przekonałam się, że to naprawdę on. Siedział na schodkach, zgarbiony i przybity.

– Lane? – bąknęłam.

Na dworze nie było nikogo poza nami. Wszyscy poszli na film, siedzieli w socjalnym albo spali w swoich pokojach. Byłam ciekawa, dlaczego on nie robi żadnej z tych rzeczy. Dlaczego siedzi oparty o poręcz altany, pokrytą łuszczącą się farbą, i wygląda, jakby wszechświat właśnie przywalił mu w splot słoneczny.

– Hej – powiedział.

– Zły wieczór?

– To mało powiedziane.

Plecak mi ciążył, miałam za sobą dość długą drogę przez las. Byłam wykończona, chciałam tylko wrócić do pokoju, zdjąć buty i iść pod prysznic. Ale nie mogłam go tak zostawić.

Od samego początku był dla mnie miły, a ja deptałam po nim, jakbym chciała zgasić żar ogniska, którego w ogóle nie było. Wczoraj w bibliotece miał święte prawo po prostu zostać na swoim miejscu i nie kiwnąć palcem, kiedy pani Hogan prawie przyłapała nas na kradzieży internetu. Zamiast tego odwrócił jej uwagę i wymyślił jakąś głupią historyjkę, żeby uratować mi tyłek.

Mimo że tak okropnie go potraktowałam. Przecież wcale nie musiał mi pomagać.

– Posuń się – powiedziałam.

Zsunęłam plecak z ramion i usiadłam obok niego na schodkach. Wlepiliśmy wzrok w las. Drzewa. Niebo. Wszystkie te rzeczy, które nie należały do Latham, których nie otoczono żelaznym ogrodzeniem po to, żebyśmy mogli na nie kaszleć.

Siedzieliśmy tuż obok siebie. Nie spodziewałam się, że przebywanie razem po ciemku okaże się tak intymnym doświadczeniem. Wtargnęłam w jego samotność – i czułam, że on zastanawia się, dlaczego to zrobiłam.

– Kiedyś często tu przychodziłam – wyznałam. – Na początku, zaraz po przyjeździe. To było prawie magiczne doświadczenie... Gdyby jakieś miejsce w Latham mogło zabrać cię gdzie indziej, to chyba tylko to.

– Myślałem, że mnie nienawidzisz – wymamrotał Lane.

Chyba sobie na to zasłużyłam.

– Falszywy alarm – odparłam. – Wychodzi na to, że tak naprawdę

nienawidzę gruźlicy.

– No, ja też.

Siedział zgarbiony, a lekki zarost na jego twarzy wyglądał bardziej na przejaw rezygnacji niż celowy zabieg. Z bliska dostrzegłam, że jego dżinsy są za luźne, więc pasek, z którego tak szydziłam, rzeczywiście był mu potrzebny. Wyglądał na wyczerpanego, jakby od tygodnia nie spał. Nie miałam pojęcia, co zrobić albo powiedzieć, jak przeprosić tego dziwnego, smutnego chłopaka, który jest zupełnie inną osobą, niż sobie wyobrażałam.

– Miałam do ciebie pretensje dlatego, że zachowałeś się jak dupek, kiedy mieliśmy trzynaście lat... A właściwie to tylko tak mi się wydawało – wyznałam, wyrzucając z siebie to wszystko chaotycznym strumieniem. – To było idiotyczne. Gdybym tylko poświęciła dwie sekundy, żeby się nad tym zastanowić, dotarłoby do mnie, że dziewczyny z mojego domku wszystko zmyśliły. Więc przepraszam. Potraktowałam cię okropnie, a ty wcale na to nie zasługiwałeś. I mimo to uratowałeś mnie przed panią Hogan.

– Kto to jest pani Hogan? – zapytał, kaszląc lekko.

– Bibliotekarka – wyjaśniłam.

Pokiwał głową, zapisując w myślach nową informację.

– Jak długo tu jesteś?

– Piętnaście miesięcy. Może szesnaście. To zależy, czy jest już październik, czy tylko mi się wydaje.

– Czwarty października – odparł automatycznie.

– Prognozę pogody też masz zainstalowaną?

– *Sorry*. – Wzruszył ramionami. – Ej, mógłbym ci coś powiedzieć?

Zgodziłam się, bo byłam pewna, że Lane przechodzi przez taki sam atak paniki jak każdy w pierwszych tygodniach pobytu w Latham, z gatunku „nie chcę tu umrzeć”. Przygotowałam się na rozmowę tak przewidywalną, że można by ją uznać za podręcznikowy objaw gruźlicy.

Ale on zamiast tego zaczął opowiadać, jak jego dziewczyna zrobiła ze swojego listu motywacyjnego na studia jego nekrolog. Tego się nie spodziewałam – ani trochę. Ale w sumie Lane był pod każdym względem inny, niż się spodziewałam. Był jednocześnie obcy i znajomy, jak piosenka, którą słyszałam w innej wersji i nie mogłam sobie przypomnieć wszystkich słów.

Siedziałam i słuchałam, a on wyrzucał z siebie to wszystko: co napisała, że nawet nie było jej głupio i jakie to posrane, że ona go tak postrzega. Nie miałam pojęcia, że tyle się w nim kryje. Czasami zapominałam, że każdy, kto tu przyjeżdża, zostawia za sobą prawdziwe życie – często w pośpiechu, nagle przerwane. A potem przypominałam sobie, że przez cały tydzień zachowywałam się, jakbym uważała, że powinien mnie przeprosić za to, że w ogóle żyje, i poczułam się jeszcze gorzej.

– Ona nie ma pojęcia, o czym mówi – powiedziałam.

– No, ale przez to wcale nie czuję się mniej do dupy. – Lane westchnął. – Wiesz co, po prostu mam już serdecznie dość słuchania w kółko, jaki to jestem strasznie chory i jak wszystkim jest mnie żal. Nie pamiętam nawet, kiedy ostatni raz ktoś ze mną normalnie rozmawiał.

Ja też sobie nie przypominałam. Ale byłam już tak przyzwyczajona, że przestałam w ogóle to zauważać. Gdyby ktoś na ulicy poprosił, żebym oceniła swój poziom bólu w skali od jednego do dziesięciu, pewnie nawet by mi powieka nie drgnęła.

– Wiesz, o czym rozmawia ze mną moja mama? – zagadnęłam. – O kąpielach lodowych i cudownych ziołach. Naprawdę je tak nazywa. „Cudowne zioła”. *Sorry*, mamó, ale gdyby rzeczywiście istniał jakiś cudowny środek, raczej nie sprzedawaliby go w sklepie ze zdrową żywnością.

Lane prychnął, więc zachecona ciągnęłam swój wywód.

– Gadanie z ludźmi? Odpuść sobie, totalna załamka. Powinniśmy już teraz ze sobą skończyć, żeby ludzie przestali się przejmować naszym samopoczuciem.

Przez chwilę Lane myślał, że mówię poważnie. Ale potem dotarło do niego, że plotę farmazony, i się roześmiał.

– Kiedy tak o tym mówisz, to rzeczywiście ma sens – stwierdził.

– Twojej byłej zależało na tobie. W gówniany sposób, ale zależało, dlatego tak długo zwlekała, zanim postanowiła cokolwiek powiedzieć.

Było zimno, zaczęło wiać. Schowałam dłonie w rękawach bluzy, lekko dygocząc.

– Była – mruknął Lane. – Jakie to dziwne. – Przez chwilę milczał, pograżony we własnych myślach.

– Co? – zapytałam.

– Och. Hm. Po prostu pomyślałem sobie, że posiadanie byłej dziewczyny to jedna z tych rzeczy, które nie są prawdziwe, dopóki ktoś nie powie tego głośno. Wiesz, tak samo jak fakt, że wszyscy mieliśmy gruźlicę, zanim nam ją zdiagnozowano. Po prostu o tym nie wiedzieliśmy. Ale rozstanie to co innego. Uświadamiasz sobie, że zostałeś singlem, natychmiast, kiedy to się dzieje.

– Cóż, w moim przypadku bycie singielką to raczej choroba przewlekła, na którą cierpię od urodzenia – powiedziałam lekkim tonem, choć tak naprawdę wcale mnie to nie bawiło.

– Czekaj, to ty i Nick nie... – Urwał zaskoczony.

Wszyscy zakładali, że Nick i ja jesteśmy parą. Wszyscy. Ale mimo że Nick i ja świetnie się bawiliśmy w swoim towarzystwie, nie byłam ani trochę zainteresowana wejściem z nim w cokolwiek poważniejszego.

– Nick? – Skrzywiłam się. – Boże, daj spokój. To praktycznie mój brat. Jesteśmy współnikami zbrodni.

Lane wzdrygnął się, słysząc mój żart, jakbym przypadkiem otarła się o coś bolesnego.

– Hannah i ja mówiliśmy, że jesteśmy „wspólnikami sukcesu” – powiedział. – Zanim postanowiła dla hecy napisać dla mnie mowę pogrzebową.

Nachylił się do przodu i oparł brodę na dłoni. Wyglądał, jakby było mu siebie strasznie żal.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniłam.

– Serio? – wymamrotał, jakby mi nie wierzył.

– Zdradzę ci sekret. Jest różnica między umieraniem a byciem martwym. Wszyscy umieramy. Niektórzy umierają przez dziewięćdziesiąt lat, inni przez dziewięćnaście. Ale każdego ranka każdy człowiek na świecie jest jeden dzień bliżej śmierci. Każdy. Więc życie i umieranie to tak naprawdę tylko różne sposoby nazywania tego samego, jeśli się dobrze nad tym zastanowić.

Długo o tym rozmyślałam, choć nigdy dotąd nie powiedziałam tego głośno. Nick i ja sporo żartowaliśmy na ten temat, ale nigdy nie wyznałam mu niczego tak poważnego. Nie byliśmy takimi przyjaciółmi. Nie miałam takich przyjaciół. Takich, z którymi można rozmawiać bez obaw, że ktoś nagle wtrąci jakąś ironiczną uwagę, próbując rozładować sytuację, i zupełnie zniszczy cały moment. Ale kiedy tak siedziałam po ciemku z Lane'em na schodkach, poczułam, że mogę sobie pozwolić na takie wyznanie.

– Więc ja uważam, że szklanka gruźlicy jest w połowie pusta, a ty, że w połowie pełna? – zapytał.

To było dobre porównanie.

– Mniej więcej – przytaknęłam.

– Super. Szukałem nowej metafory na chorobę. – Na twarzy Lane'a pojawił się blady uśmiech.

– Moją ulubioną jest ta o niewidzialnej ręce gruźlicy, która próbuje nas

wszystkich schwytać.

– Pokaż mi na tej lalce, gdzie dokładnie dotknęła cię niewidzialna ręka – poprosił Lane z powagą.

Roześmialiśmy się. Podobał mi się jego śmiech, brzmiał trochę jak zawstydzony chichot. W przeciwieństwie do mojego, który był kompletnie bezgłośny, jakby ktoś wyłączył mi dźwięk.

Znów zadygotałam i zwinęłam końce rękawów bluzy w dłoniach, ale to nie pomogło.

– Robi się zimno – powiedziałam. – Powinniśmy wracać.

Podnieśliśmy się ze schodków, a ja zarzuciłam swój gigantyczny plecak z powrotem na ramię. Czułam, że Lane się gapi, ale na szczęście nie zapytał, co tam mam.

W milczeniu poszliśmy w stronę domów. Cisza nie była niezręczna – raczej taka przyjemnie zamyślona. Zwykle każda ilość czasu spędzona w towarzystwie dotkliwie przypominała mi, jak bardzo chciałabym zostać sama. Nawet moi przyjaciele czasem mnie drażnili, choć starałam się tego nie okazywać. Ale z Lane'em łatwo się rozmawiało. To było miłe. Jak bycie samemu, ale mniej samotne.

– No – odezwał się Lane, kiedy doszliśmy do mojego domu. – Dzięki za towarzystwo.

Wzruszyłam ramionami, jakby to nie było nic wielkiego.

– Cóż, świeże powietrze ponoć jest bardzo zdrowe – odparłam. – Oddychanie: cudowny lek, którego wszyscy szukali.

Lane uśmiechnął się do mnie. Staliśmy przed schodami na ganek. Wokół lampy nad drzwiami z siatką kotłowały się muszki i komary, stare drewno lekko skrzypiało. Miałam wrażenie, że na coś czekamy, ale nie wiedziałam na co.

Wtem cisza rozprysnęła się w powietrzu – wszyscy zaczęli wracać do

swoich domów, otaczając nas tajfunem śmiechu, rozmów i kaszlu. Film się skończył. Kilka dziewczyn z pierwszego piętra przepchnęło się obok nas bez przeproszenia i nagle poczułam się potwornie niezręcznie, stojąc tak przed drzwiami. Powiedziałam więc Lane'owi, że zobaczymy się jutro, i weszłam do środka.

ROZDZIAŁ 9

LANE

Spodobała mi się teoria Sadie o tym, że życie i umieranie są tym samym, i chciałem w to wierzyć. Kłopot w tym, że może rzeczywiście nie umierałem, ale też niezupełnie żyłem. Robiłem to samo, co zawsze: siedziałem cicho, ciężko pracowałem, snułem plany na przyszłość i starałem się ignorować terażniejszość. Podobnie jak Harbor, Latham stało się po prostu miejscem, z którego miałem się dostać gdzie indziej.

W niedzielę zaplanowano mi wizytę u doktora Baronsa. Kiedy ten sprawdził informacje z mojej opaski sensorycznej na tablecie, od razu zorientowałem się, że jestem w kłopotach. Lekarz długo wpatrywał się w ekran z niepokojem wypisanym na twarzy.

– Lane, kolego, co tu się dzieje?

– Nic.

Starałem się sprawiać wrażenie wcielonej niewinności, jakbym nie miał pojęcia, o czym mówi, ale dobrze zdawałem sobie sprawę z problemu. Nadal nie czułem się zbyt dobrze, choć było już o wiele lepiej niż w sobotę rano. Tak bardzo zależało mi na utrzymaniu tempa nauki, że zignorowałem wyniki

testu, na który nie miałem jak się przygotować. Przepracowałem się, a teraz doktor Barons... No właśnie, co on mógł mi zrobić? Wlepić karniaka za bycie chorym?

– Jak źle się teraz czujesz? W skali od jednego do dziesięciu.

Cztery, pomyślałem.

– Dwa – odparłem.

– Chciałbym w to wierzyć. – Doktor Barons zmarszczył brwi, a ja zacząłem się niespokojnie wiercić na krześle.

Nie podobało mi się, że tak łatwo mnie przejrzał.

– Ale straciłeś na wadze, co chwila masz gorączkę i prawie nie śpisz.

Powiedział to takim tonem, jakbym sprawił mu dojmujący zawód. Jakby gorączka była takim samym powodem do wstydu jak zavalony egzamin albo nieodrobiona praca domowa. Dość nazywałem się o gruźlicy, żeby nauczyć się wszystkich objawów na pamięć: kaszel, gorączka, zmęczenie, ból w piersi, dreszcze, utrata apetytu, odkasływanie krwią, spadek masy ciała.

– Okej, ale to wszystko jest normalne – zaprotestowałem. – Przecież piszą o tym w ulotkach i w ogóle.

Doktor Barons potrząsnął głową.

– Nowe objawy zawsze są czymś niepokojącym. W Latham twój stan powinien się poprawiać, nie pogarszać.

Nie podobało mi się, że ma rację: czułem się gorzej, a wizyty u lekarza nie były dla picu. Nie chciałem siedzieć w Latham, ale jeszcze bardziej nie chciałem tego naprawdę potrzebować.

Milczałem. Doktor Barons westchnął.

– Nie mam ochoty przekazywać twoim rodzicom takich wieści – powiedział. – Zwłaszcza że jeszcze w zeszłym tygodniu wydawało się, że wszystko zmierza ku lepszemu.

– Bo zmierza – upierałem się. – Czuję się lepiej.

W tym momencie zaniósłem się kaszlem – w jego gabinecie, jak ostatni jelen. To przez klimatyzację – była podkreślona tak mocno, że dygotałem z zimna, choć miałem na sobie bluzę Stanfordu. Ledwie zdążyłem chwycić chusteczkę, a doktor Barons przyglądał mi się przeszywającym wzrokiem, ze złowieszczym spokojem na twarzy. Nie wyplułem krwi ani flegmy, ale to i tak nie brzmiało dobrze.

– Bardzo mnie niepokoi ta zmiana na gorsze – oznajmił, wyjmując z kieszeni fartucha rysik do tabletu – więc wprowadzimy kilka zmian prewencyjnych. Dopiszemy cię do listy obserwacyjnej. Pielęgniarka będzie zaglądać do ciebie podczas przerw na odpoczynek i sprawdzać, czy czegoś nie potrzebujesz. Będziesz też dostawać pigułkę nasenną co wieczór o dwudziestej.

Spojrzałem na niego z przerażeniem w oczach.

– Nie może pan tego zrobić!

To chyba mi się śniło. Nie potrzebowałem, żeby wisiała nade mną pielęgniarka, nikt nie musiał pakować mnie do łóżka zaraz po dobranocce. Nie miałbym szans na żadną prywatność, nie wspominając o warunkach do nauki.

– Naprawię to – obiecałem. – Przysięgam. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak źle, inaczej bym złuzował.

– Otóż to. Staraleś się nadążyć za programem, ale to było zbyt wyczerpujące. Dlatego wprowadzimy pewne zmiany i zobaczymy, czy uda się nam zapobiec...

– Nie o to mi chodziło! – przerwałem.

Zrozumiał to wszystko na opak. Sądził, że nie dawałem sobie rady z tempem w Latham, że przemęczałem się kilkoma lekcjami o niczym i spacerami na świeżym powietrzu. Zamierzałem poprosić go o pozwolenie

na naukę do egzaminów wstępnych, ale teraz musiałem wyznaczyć, co się dzieje, i już wiedziałem, że nigdy się na to nie zgodzi.

Przyznałem się więc do wszystkiego. Że uczyłem się podczas przerw na odpoczynek. Że nie walczyłem z bezsennością, po prostu siedziałem do późna nad książkami. Owszem, nie czułem się wspaniale, ale nie uświadamiałem sobie, że aż tak mi się pogorszyło. Po prostu nie chciałem stracić wszystkiego, na co tak ciężko pracowałem. Nie chciałem pozwolić, żeby Latham zrujnowało całą moją przyszłość, którą tak pięknie sobie zaplanowałem.

Kiedy skończyłem mówić, doktor Barons przez chwilę milczał. Dezaprobata unosiła się nad nim jak wielka chmura burzowa. W końcu znów westchnął.

– Lane – powiedział – chyba nie rozumiesz powagi sytuacji. Ja nie sugeruję, żebyś zwolnił. Nalegam, żebyś całkowicie przerwał naukę. Nie jesteś w szkole, jesteś w ośrodku leczenia i musisz zacząć się stosować do programu. Natychmiast.

Nigdy wcześniej nie widziałem dorosłego, który byłby na mnie tak wściekły i tak mną rozczarowany. Dostałem burę – za to, że się uczyłem. Znów zawałem test w Latham – w tym dziwnym miejscu, gdzie łatwiej dostać piątkę z lekcji niż z jedzenia obiadu.

– Mogę ci zaufać? – Doktor Barons nie odpuszczał. – Czy powinienem przenieść cię do skrzydła szpitalnego, gdzie będziesz miał całodobową opiekę? Nie będę owijać w bawełnę, Lane. Jeśli nie zmienisz trybu życia, to właśnie tam wylądujesz.

W tamtej chwili, gdy siedziałem przed nim na kozetce pokrytej szeleszczącym papierem, wreszcie dotarło do mnie, jak skrajnie głupio się zachowałem. Kiedy przyjechałem do Latham, nie czułem się tak źle, więc uznałem, że nie jestem bardzo chory. Ale później przekonałem się, jak

niewiele trzeba, żeby mój stan się pogorszył. Mogłem wracać do zdrowia albo nadażać za programem ze starej szkoły. Ale nie jedno i drugie.

Wszyscy inni to rozumieli. I ja też powinienem.

Po prostu nie chciałem tego przyznać, bo to oznaczało przyjęcie do wiadomości, że los niekoniecznie musi mi sprzyjać. Ta możliwość była przerażająca. Trafiłem do ośrodka pełnego chorych dzieciaków i byłem jednym z nich.

– Tak – odparłem głucho. – Może mi pan zaufać.

– Świetnie – rzucił lekarz z zadowoleniem. Spróbowałem odwzajemnić uśmiech, ale nie przychodził mi do głowy żaden powód do radości.

– A czy jest szansa, żebyśmy odpuścili proszki na sen i wizyty pielęgniarki? – spytałem. – Będę chodzić spać po ciszy nocnej i w ogóle. Przysięgam.

Doktor Barons chwilę się zastanawiał, patrząc na moje wyniki.

Proszę, myślałem, wysyłając swoje prośby do wszechświata i każdego bóstwa, które mogłoby mnie usłyszeć. Będę odwalać te głupie spacery i jogę, jeśli tylko zgodzi się na tę jedną rzecz, jeśli tylko pozwoli mi zachować odrobinę godności w tym strasznym miejscu.

– Niech ci będzie – powiedział w końcu. – Jeszcze z tym poczekamy. Pod warunkiem że zobaczę natychmiastową poprawę.

– Zobaczy pan – obiecałem z ulgą.

– Wspaniale. – Doktor Barons odłożył rysik. – A, Lane, jeszcze jedno. Niedługo zajrzy do ciebie pielęgniarka i zabierze wszystkie materiały do nauki, które trzymasz w swoim pokoju.

Oczywiście. Bo przecież nie wystarczało, że tu byłem, trzeba pozbawić mnie wszelkich szans na ucieczkę. Zostałem kompletnie odcięty od świata.

Proszę bardzo, pomyślałem, mogę grać według jego zasad. A kiedy tylko zyskam jakąś kontrolę nad gruźlicą i wrócę do domu, coś wymyślę. Ale

wolałem wyzdrowieć na tyle, żeby wyjechać, niż być dość chorym, żeby doktor Barons mnie tu trzymał.

Na samą myśl o życiu według rozkładu dnia przyklejonego nad moim biurkiem zrobiło mi się słabo. To oznaczało, że stanę się teraz częścią tego miejsca, zupełnie jak wszyscy. Byłem pacjentem, od którego oczekiwano, że będzie pokornie znosić wlokące się w nieskończoność popołudnia bez internetu, bez telefonu i przyjaciół, który nie ma dokąd pójść i co ze sobą zrobić. Teraz pojąłem, dlaczego wszyscy przesiadywali przed telewizorem w pokoju socjalnym, pochłaniali powieści graficzne, plądrowali półki z DVD i zostawiali na stołach karteczki, żeby nikt czasem nie schował im plansz do gier, które przerwali w połowie.

Lekcje kończyły się przed lunchem, a nauczyciele nie zadawali pracy domowej. Zupełnie tak jak powiedziała Sadie: nie ośmieliliby się dać nam żadnej oceny poniżej piątki. Pomyślałem o paczce Sadie, kradnącej internet i wybierającej się na tajemnicze wyprawy do lasu. Nigdy nie widziałem Nicka ani Charliego w dresach, rozwalonych przed telewizorem.

Kiedy tu przyjechałem, miałem ich za zadymiarzy i święcie wierzyłem, że zasady są po to, żeby się ich trzymać. Ale teraz myśl o wpakowaniu się w kłopoty była całkiem atrakcyjna. Byłoby super dostać burę za coś, co nie ma odzwierciedlenia w moich wynikach badań. Miałem już dość bycia idealnym – i może wcale nie musiałem taki być, przynajmniej przez chwilę. Przynajmniej w Latham.

Może tutaj mógłbym się stać inną wersją siebie? Kimś, kogo nie miażdży poczucie winy po obejrzeniu filmu w tygodniu. Kimś, kto ma jakieś hobby bez żadnego związku z jego podaniem na studia. Kimś, kto ma przyjaciół, a nie tylko grupę znajomych.

Kiedy rozmawiałem z Sadie na schodkach altany, byłem tak pogrążony we własnym nieszczęściu, że nie przyszło mi do głowy, jakie to wspaniałe

uczucie spotkać kogoś, kto mnie rozumie, bo przechodzi przez to samo. Sadie sprawiła, że Latham wydało mi się naszym wspólnym wrogiem, z którego możemy się śmiać. Przy niej miałem wrażenie, że wszyscy jesteśmy w tym razem, i po raz pierwszy od miesiący nie byłem przerażony, nie czułem się osamotniony.

Źle zacząłem swoje życie w Latham. Teraz to rozumiałem. I zamierzałem to naprawić.

Zdarzyło się wam kiedyś jechać z włączoną nawigacją, kiedy nagle postanowiliście zatrzymać się gdzieś po drodze na kawę? GPS w kółko powtarza, że trzeba zawrócić, przy każdym zakręcie piszczy i wyznacza nową trasę, jakbyście robili coś nie tak. Aż nagle, zamiast ślepo słuchać wskazówek nawigacji, zaczynacie ją świadomie ignorować, a potem czujecie coraz większą złość na to durne urządzenie, które jak zafiksowane każe wam skrócić w prawo.

Zawsze wyobrażałem sobie, że w tym scenariuszu jestem kierowcą. Ale kiedy siostra Monica zaczęła przetrząsać moje rzeczy i konfiskować segregatory pełne prac domowych, podręczniki z biurka, a nawet broszurki z uczelni, dotarło do mnie, że przez cały ten czas byłem GPS-em.

To ja nie rozumiałem zmiany kierunku i uparcie próbowałem wrócić na ustaloną wcześniej trasę. Przy każdym zakręcie domagałem się powrotu, choć jedyne, co należało zrobić, to przestać się sprzeciwiać i dostosować do nowej sytuacji.

We wtorek na francuskim trafiła się szansa, żeby wszystko naprawić. Pracowaliśmy po cichu w ławkach, a ja co chwila zerkiałem na Sadie i jej paczkę. Cały ranek próbowałem wymyślić jakiś sposób, żeby się do nich

zbliżyć, bo obawiałem się, że nie wytrzymam jeszcze jednego posiłku przy stoliku Genevieve.

Finnegana nie było w klasie. Wszedł na jakieś dwie sekundy, napisał na tablicy zadanie na dziś, po czym nakazał rozwiązywać w ciszy ćwiczenia do jego powrotu. To znaczy – jeśli wyciągnąć wnioski z jego zachowania w zeszłym tygodniu – właściwie do końca lekcji.

W Harbor na rozszerzonym francuskim na zmianę ćwiczyliśmy odmianę czasownika metodą dialogu sokratejskiego i siedzieliśmy w pracowni komputerowej ze słuchawkami na uszach i pisaliśmy dyktanda. Słowem – koszmar.

Francuski w wersji Latham był prowadzony bez podziału na grupy w zależności od poziomu zaawansowania, więc w porównaniu z moją starą szkołą to była jakaś kpina. Przeszliśmy od wizyt w szpitalu do pracy biurowej. Nie rozumiałem, jaki jest cel tych zadań poza wypełnieniem nam czasu. A żeby było jeszcze weselej, podręcznik był starszy od węgla. Jeden z dialogów był w całości o wysyłaniu faksu.

Otworzyłem książkę na pierwszej stronie, żeby sprawdzić datę wydania. Relikt z wczesnych lat dziewięćdziesiątych z elegancką pieczętą głoścącą, że podręcznik stanowi „WŁASNOŚĆ BIBLIOTEKI PRYWATNEGO LICEUM WHITLEY”. Domyśliłem się, że ktoś znalazł stertę podręczników i uznał, że skoro mają zbierać kurz, to równie dobrze można zrobić z nich jakiś użytek.

Zadanie było łatwe, więc szybko skończyłem. Żałowałem, że nie wziąłem ze sobą książki albo czegoś innego do nauki – nie żebym miał wielki wybór po najeździe pielęgniarki na mój pokój. Siedziałem więc tylko, po raz drugi i trzeci sprawdzając odpowiedzi, i co chwila zerkałem na Sadie.

Siedziała przy oknie, promienie słońca rzucały jej na włosy złote refleksy. Miała na sobie pasiasty sweter, który zsuwał jej się z ramienia, odsłaniając

blade skrzydełko łopatki. Siedziała pochylona nad zadaniem i stuknęła ołówkiem w podręcznik, a na jej wargach tańczył cudowny uśmiech, jakby po cichu śmiała się z ćwiczenia.

Wtem Nick wychylił się ze swojego miejsca i położył jej na ławce złożoną karteczkę. Rozłożyła ją ostrożnie, chwilę debatowali nad czymś szeptem. Nick oparł się na krześle z uśmiechem.

Patrzyłem, jak Sadie wstaje, podnosi zeszyt z zadaniem i wychodzi na środek klasy. Wszyscy przerwali swoje zajęcia, niepewni, co się dzieje. Wtedy Sadie położyła swoje rzeczy na biurku nauczyciela, obok jego podróznego kubka. Przyglądała włosy z takim wyrazem twarzy, jakby właśnie zamierzała wyciąć najlepszy numer w historii Latham.

– *Bonjour, classe* – oznajmiła, biorąc z tacki marker do białej tablicy i zdejmując zakrętkę. – Teraz każdy weźmie kolorowy długopis i sprawdzimy razem rozwiązania.

Popatrzyliśmy po sobie z zaskoczeniem. Tylko Nick i Charlie chichotali, jakby już wiedzieli, czego się spodziewać. Marina potrząsnęła głową i szczerząc zęby, odłożyła komiks.

Finnegan nie wspominał o sprawdzeniu zadania. Nawet jeszcze nie oddał nam prac z ostatniej lekcji.

– Zadanie A. Odpowiedzi: „*le bureau*”, „*l’ordinateur*”, „*l’imprimante*”, „*l’agrafeuse*” i „*le classeur*” – ciągnęła Sadie, zapisując każdą odpowiedź na tablicy. – Wszyscy tak mają?

– *Oui, madame!* – zawołał Nick, próbując powstrzymać chichot.

Cała reszta uczniów nadal była zbita z tropu.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Genevieve.

– *En français, mademoiselle Reaser* – skarciła ją Sadie.

Genevieve wymamrotała coś pod nosem i zsunęła się niżej na krześle, zakładając ręce na piersiach.

– Zadanie B. – Sadie nie odpuszczała. – Zrobimy je razem. Po kolei, Charlie zaczyna. Proszę przeczytać całe zdanie na głos.

– *Avez-vous pris des notes pendant la réunion?* – odczytał Charlie znudzonym głosem.

Każdy odczytywał po kolei swoją odpowiedź, a ja próbowałem zrozumieć zasady gry, w którą wciągnęła nas Sadie. W mojej dawnej szkole codziennie sprawdzaliśmy tak pracę domową. To było... normalne. Po prostu szkoła.

I chyba właśnie o to chodziło: zrobić coś tak zwyczajnego, że Finnegan poczułby się jak idiota, gdyby spróbował nas za to ukarać. Sposób na podskoczenie nauczycielowi tak, żeby nie narobić sobie żadnych kłopotów.

– Zadanie C – kontynuowała Sadie. – Angelo, chyba twoja kolej?

– *J'avais une pièce de papier* – wyrecytowała Angela.

– *Bien.*

– Zaraz, źle – wtrąciłem bez zastanowienia.

Wszyscy wlepili we mnie wzrok.

– Mówi się „*une feuille de papier*” – powiedziałem, próbując zachować twarz. – To idiom.

– Czyżby? – Sadie uśmiechnęła się szeroko. – No to chyba znalazł się nasz nauczyciel na zastępstwo. *Levez-vous.*

Zaprosiła mnie gestem na przód klasy, ale potrząsnąłem głową. Nie zamierzałem się wygłupiać pod tablicą, kiedy mieliśmy pracować po cichu na swoich miejscach. A jeśli Finnegan wróci? Albo jeszcze gorzej: nikomu się nie spodoba i klasa zacznie krzyczeć, żebym się zamknął i siadał? Mógłbym bez końca wymieniać kolejne scenariusze – każdy ze złym zakończeniem.

Sadie stała jednak z wyciągniętą ręką z markerem i czekała. Cała klasa nas obserwowała. Nawet ci, którzy dotąd grali na tabletach. Niczego tak nie

pragnąłem, jak tylko cofnąć swój głupi komentarz o gramatyce i zniknąć. Ale Sadie i jej przyjaciele wpatrywali się we mnie, aż nagle do mnie dotarło: to jest to. Moja szansa na podpięcie się do ich buntu. Na przyłączenie się do ich paczki. Miałem nadzieję na coś bardziej subtelniejszego, na przykład na to, że uda mi się zabłysnąć ciętym komentarzem w kolejce na stołówce, może jakimś czarnym żartem o ptasiej grypie w jajecznicy, ale było już za późno.

Westchnąłem więc tylko i podniosłem się z miejsca. Miałem nadzieję, że tego nie pożałuję.

– *Classe*, proszę powiedzieć „*bonjour*” Lane’owi, który przyszedł dziś na zastępstwo. – Sadie wcisnęła mi marker w dłoń.

A potem wróciła do swojej ławki i zostawiła mnie samego.

Wlepiłem wzrok w podręcznik, który miał już tyle lat, że mógłby sam kupować sobie piwo, i spróbowałem zebrać się w sobie. Nigdy nie robiłem takich rzeczy. Zawsze rzucałem się, żeby pozbierać klasówki, i przychodziłem do szkoły chory, żeby nie stracić punktów do nagrody za najlepszą frekwencję. Przestrzegałem zasad dlatego, że po to istniały.

Albo przynajmniej zawsze w to wierzyłem. Teraz jednak stałem z przodu klasy, choć żaden nauczyciel nie kazał mi tego zrobić – to Sadie rzuciła mi wyzwanie. Bo warto było wpakować się w kłopoty, jeśli dzięki temu nie musiałbym dłużej siedzieć przy stoliku Genevieve.

Tutaj nie było rankingów ani pupilków nauczycieli. Rozłożyłem więc podręcznik na stole i zacząłem udawać swojego tatę.

W pierwszej gimnazjum trafiły mi się jego zajęcia, bo szedłem trybem rozszerzonym. Wszyscy w mojej grupie go nie znosili. Był strasznie ostry, surowo oceniał i nie pozwalał nikomu wychodzić do toalety, mimo że mieliśmy historię zaraz po lunchu. Ale najgorsze było to, że uderzał markerem o tablicę, kiedy chciał coś dobitnie zakomunikować, jednocześnie nawiązując kontakt wzrokowy z wybranym uczniem. Na jego lekcjach nikt

nawet nie szeptał. Takie wzbudzał przerażenie.

– *Répétez, plus vite* – zażądałem, trzaskając markerem o tablicę, i posłałem Angeli lodowate spojrzenie.

Zachichotała nerwowo i podała prawidłową odpowiedź.

– *Exactement* – potwierdziłem sucho i zapisałem zdanie na tablicy.

Angela zgarbiła się na krześle z buzią w ciup, a Genevieve popatrzyła na nią ze współczuciem. Sadie i jej paczka już sikali po nogach. Kilku innych uczniów zaczęło się uśmiechać. Zachęcony ciągnąłem przedstawienie i jakimś cudem udało mi się nie wypaść z roli. W gimnazjum chodziłem na zajęcia teatralne: uczyliśmy się improwizacji i odgrywaliśmy dwustronicowe scenki. Chciałem to kontynuować w liceum, ale wtedy musiałbym zrezygnować z zajęć punktowanych, a to zrujnowałoby moją pozycję w rankingu, więc zamiast tego zapisałem się na rozszerzoną historię sztuki.

Zdążyłem zapomnieć, jaką sprawiało mi to frajdę, jak przyjemnie było przez chwilę pobyć kimś innym. Właśnie sprawdzałem przedostatnie pytanie, kiedy śmiech w jednej chwili ucichł. Coś było nie tak – natychmiast to wyczułem. Odwróciłem się.

Finnegan stał w drzwiach i patrzył na mnie, nie do końca rozumiejąc, co się dzieje. Ale jeśli mam być zupełnie szczery, to ja chyba też nie rozumiałem.

W klasie nie panował chaos, nic z tych rzeczy. Wręcz przeciwnie. Tablica była zapisana schludnie ponumerowanymi odpowiedziami i poprawkami, wszyscy siedzieli na miejscach, po cichu sprawdzając odpowiedzi, a ja prowadziłem zajęcia tak, jakbym w poprzednim życiu był profesorem Snape'em.

– *Qu'est-ce qui se passe là?* – zapytał ostro Finnegan.

– *Rien* – bąknąłem, odkładając flamaster. – Przepraszam.

Prędko wróciłem na swoje miejsce. Waliło mi serce. Finnegan przyłapał

mnie na pajacowaniu i teraz będę miał przerabane. Spodziewałem się, że na mnie nakrzyczy, wyśle do jakiegoś dyrektora albo wyrzuci z klasy, ale on tylko potrząsnął głową, jakby nie płacili mu wystarczająco dużo, żeby się użerać z czymś takim.

Przez chwilę przyglądał się otwartemu markerowi, który zostawiłem na jego biurku, a następnie spojrzął na tablicę, zapisaną niestarannym pismem Sadie i moim jak z podręcznika do kaligrafii. Zmarszczył nos, jakby nie miał ochoty dotykać niczego, co mogło być wcześniej w naszych rękach.

– Niech ktoś to zetrze – wskazał na tablicę. – Genevieve.

Genevieve zerwała się z miejsca i zaczęła ścierać tablicę.

– Proszę podać swoje rozwiązania do przodu – oznajmił – i możecie iść na lunch. Sadie, zostań, proszę, w klasie.

Wyrwałem kartkę z odpowiedziami z zeszytu i podałem do przodu, spoglądając na Sadie. Wzruszyła ramionami, jakby to nie było nic wielkiego. Nie rozumiałem, dlaczego Finnegan nie kazał mnie też zostać po lekcji. Przecież to mnie przyłapał na wygłupach przy tablicy. Na wielkiej liście szlabaniarzy moje nazwisko powinno zajmować najwyższą pozycję.

Zastanawiałem się nad tym, pakując torbę. Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem wokół swojej ławki Nicka, Charliego i Marinę. Gapili się na mnie takim wzrokiem, jakby upiekło mi się po najdzikszej aferze w historii szkoły, i chyba mieli rację, bo Finnegan nawet nie zwrócił mi uwagi.

– Chłopie, to było przerażające – oznajmił Nick. – Aż przypomniał mi się mój nauczyciel geometrii.

– Eee, dzięki? – Zarzuciłem torbę na plecy i wstałem, po czym wyszliśmy razem na korytarz.

– Myślałam, że zaraz zaczniesz zabierać punkty Krukonom – dodała Marina.

– Gryfonom, i lepiej nie prowokuj. – Posłałem jej spojrzenie zagłady.

Marina zachichotała.

– To ty uratowałeś nas przed bibliotekarką, nie? – zagadnęła.

– A, tak. – Byłem zaskoczony, że zapamiętała.

– To bardzo spoko z twojej strony – dodał Nick. – Dzięki.

– Nic takiego – wymamrotałem, trochę zawstydzony.

Ale coś w ich słowach przykuło moją uwagę. Oni sądzili, że zrobiłem to dla nich, a ja byłem tak skoncentrowany na uratowaniu Sadie, że nie myślałem o nikim innym. Dziwnie się poczułem na myśl, że przecież oni wszyscy tam byli.

– Czy naprawdę musimy czekać na Sadie? – zapytał Charlie, spoglądając niecierpliwie w głąb korytarza.

– No, byłoby miło z naszej strony – przyznał Nick.

– Całe szczęście, że nie jesteśmy zbyt mili. – Charlie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie, nie jesteśmy – zgodził się Nick z kpiącą powagą.

– Mów za siebie, ja jestem kochana – zaprotestowała Marina.

– Ty jesteś najgorsza – prychnął Nick. – Kradniesz każdą inteligentną rzecz, jaką mówimy, i pakujesz to do swoich fanfików.

Marina spojrzała na niego spode łba.

– To nie kradzież, tylko recykling – oznajmiła. – I gadaj sobie, co chcesz, wiem, że to uwielbiasz.

– Wiecie, co ja uwielbiam? Jak mi kolejka nie stoi – ogłosił Charlie.

– Stary, mógłbyś to powiedzieć na pięćset innych sposobów, a wybrałaś najgorszy – stwierdził Nick ze śmiechem.

Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś rozmawiał tak jak oni: jakby dostawali punkt za każde zgrabne odbicie piłeczki. Byli bystrzy, ale nie starali się tym popisywać tak jak kołesie z symulacji obrad ONZ, którzy zawsze próbowali

wszystkim udowodnić, że wiedzą najwięcej na jakiś niszowy temat, o którym naczytali się na Wikipedii. Tej paczce chodziło po prostu o przekonanie się, jak bardzo można sobie dopiec w taki sposób, żeby wszyscy się śmiali.

Ruszyli w stronę stołówki. Zawahałem się, nie wiedząc, czy powinienem iść za nimi. Zrobili kilka kroków, po czym Nick odwrócił się w moją stronę.

– Idziesz? – zapytał, jakby od początku spodziewał się, że do nich dołączę.

– No – przytaknąłem z wdzięcznością, podbiegając do niego. – Jasne.

ROZDZIAŁ 10

SADIE

To wszystko była tak naprawdę wina Nicka, więc jeśli Finnegan chciał kogoś zatrzymać po lekcjach, to wybrał niewłaściwą osobę. Ale Nickowi zawsze wszystko uchodziło na sucho, a ja dostawałam po uszach. Kiedy wstałam i ruszyłam w stronę biurka nauczyciela, słyszałam dobiegający z korytarza śmiech Charliego i Mariny.

– Chciał pan ze mną porozmawiać? – zapytałam.

Finnegan westchnął, przybierając minę męczennika – jakby należał mu się medal za to, że spędza z którymś z nas więcej czasu, niż to absolutnie konieczne.

– Tak, Sadie. Wiem, że to ty jesteś odpowiedzialna za dzisiejszą... ekscytację.

Naprawdę tak to określił – „ekscytacja”. Nie ma to jak porządna dawka dramatyizmu.

– Co według pana jest ekscytującego w ocenianiu naszych zadań na lekcji?

Wtedy zaczął zupełnie bezsensowną tyradę o tym, że sprawdzanie zadań

w trakcie lekcji to tylko niepotrzebna presja i że wystarczy, że się postaramy i nie będziemy się przejmować stopniami, i że jestem w Latham dość długo, by to rozumieć.

– Nie chcę, żeby ktoś rozchorował się przez pracę domową z francuskiego – dodał na koniec.

– Chodziło panu o to, żeby nikt nie umarł – sprostowałam. – Bo przecież chorzy już jesteśmy.

Finnegan posłał mi blady uśmiech, jakby wolał nie poruszać bezpośrednio tego tematu.

– Tak – poprawił się. – Chodziło mi o to, żeby nikt nie umarł.

To słowo przez chwilę unosiło się między nami w ciszy. Żadne z nas nie wiedziało, co teraz zrobić, po tym jak nauczyciel wreszcie je wypowiedział.

– Wow, dziękuję, że chroni nas pan przed śmiercią na pracę domową z francuskiego – warknęłam. I tak już byłam w tarapatkach, więc co mi szkodziło? – Normalnie ekstra, że panu tak okropnie zależy.

– Sadie...

– Wie pan, dziękuję, że uczy nas pan, jak powiedzieć lekarzowi w Paryżu, że chyba mamy kaszel. To na pewno nam się przyda, zwłaszcza że nie wolno nam nawet wejść do samolotu.

Nie zamierzałam się na nim wyżywać, ale pół nocy nie spałam, bo musiałam słuchać, jak Natalie Zhang szlocha za ścianą. Zdarzało jej się to czasami, ale nigdy dotąd nie było aż tak źle. Powinnam poprosić pielęgniarkę o proszek na sen, ale jak głupia postanowiłam to przecierpieć i od rana byłam w paskudnym humorze. Czasami tak bardzo miałam dość Latham, że chciało mi się krzyczeć.

– Wiesz, że naukowcy pracują... – zaczął Finnegan, ale nie miałam ochoty tego słuchać.

– Nad lekiem – przerwałam sucho. – No. Tak słyszałam. Dwa razy. I za

każdym razem podniecamy się plotkami o jakiejś nowej metodzie, a potem okazuje się, że lekarze majstrowali przy danych albo że lek nie działa. Więc już nieszczególnie się tym jaram.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć, Sadie. Mnie tak samo zależy na znalezieniu leku, pewnego dnia coś na pewno się pojawi. Ale do tego czasu wszyscy musimy tu siedzieć.

Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę to powiedział. To „my”.

Nick miał taką teorię, że wszyscy nasi nauczyciele przed przyjsciem do Latham mieli udowodnioną ekspozycję na ogniska choroby, dlatego nie mogli znaleźć pracy nigdzie indziej – choć było jakieś dziewięćdziesiąt procent szans, że nigdy nie zachorują – więc musieli przyjechać tutaj. Zawsze sądziłam, że to tylko plotka, ale kiedy Finnegan powiedział, że wszyscy tutaj tkwimy, pomyślałam, że może to jednak prawda.

– Tylko że pan wcale nie musi tu być – zaprotestowałam. – Po pracy może pan jechać do domu, iść do restauracji, do kina, wsiąść do samolotu i nikt się nie martwi, że umrze pan na pracę domową.

Nie zaprzeczył.

– Jestem już spóźniona na lunch i będę musiała z godzinę sterczeć w kolejce – oznajmiłam. – A tak przy okazji, ta heca z ocenianiem? Nick to zaczął. Nie ja.

– Bardzo w to wątpię – odparł, potrząsając głową. Ale mnie puścił.

Jak mnie to wkurzało. Nick nigdy nie pakował się w kłopoty. Był na to zbyt geekowaty, zbyt sympatyczny, za bardzo podlizywał się dorosłym. Nigdy nie docierało do nich, że on robi sobie z nich jaja, że w ten sposób zmusza ich do wejścia w przyjazną rozmowę, kiedy woleliby się wycofać. Wszyscy uważali, że to ja ciągnę go za wszarz w nasze bagno mizantropii, choć w rzeczywistości oboje się nakręcaliśmy.

Oczywiście moi przyjaciele na mnie nie poczekali. Skorzystali

z wcześniejszego wyjścia i załapali się na lunch bez kolejki. Teraz w ogonku do dietetyczki czekało już pół szkoły, a ja wylądowałam na samym końcu. Chwyciłam tacę, westchnęłam i zerknęłam na swój stolik. Wszyscy już tam siedzieli.

Ale coś się zmieniło. Spojrzałam jeszcze raz – i rzeczywiście, Lane Rosen siedział przy moim stoliku. Oddaliłam się na dwie minuty, a moi znajomi już zdążyli go adoptować.

Dziwnie było patrzeć, jak tam siedzi i zaśmiewa się z jakiegoś wywodu Nicka, choć z pewnością był szczeniacki i tylko w połowie tak zabawny, jak sądził Nick. Ale nie przeszkadzała mi ta nowa sytuacja, po prostu coś się zmieniło. Dotąd nawet nie brałam pod uwagę, że coś takiego mogłoby się wydarzyć. Kiedy Lane zjawił się w Latham, potraktowałam to głęboko osobiście i nie wybiegałam myślami w przyszłość na tyle, żeby przewidzieć, do której grupy dołączy i z kim się zaprzyjaźni.

Po naszej nocnej rozmowie na schodach altany, gdy siedzieliśmy po ciemku i dzieliliśmy się kryzysem egzystencjalnym niczym wspólną porcją frytek, wszystko się zmieniło. Już nie był starszą wersją mojego trzynastoletniego koszmaru – zmienił się w zupełnie nowego chłopaka z idealnym pismem, ciętym żartem i nieśmiałym uśmiechem. W chłopaka, który nigdy nie wychodził ze swojego pokoju i prawie z nikim nie rozmawiał. Widziałam, jak siedzi przy stoliku Genevieve z żalną miną, i nawet się zastanawiałam, czy nie zaprosić go do nas, ale nie wiedziałam, co powiedzieć ani jak zareagowałiby na to moi przyjaciele.

I zanim zdążyłam podjąć jakąś decyzję, oni tak po prostu mnie wyręczyli. A właściwie to wcale nie zrobili tego dla mnie. Po prostu zakumplowali się z gościem, który zorganizował akcję dywersyjną w bibliotece i przyjął moje wyzwanie na francuskim – nadal nie mogłam do końca w to uwierzyć. Nie sądziłam, że będzie mieć jaja. A teraz: proszę bardzo, siedział przy moim

stoliku.

Boże, a jeżeli rozmawiają o mnie? Co, jeśli opowiada im jakieś żenujące historie z obozu? Przeżywałam po kolei każdy najgorszy scenariusz, tkwiąc w nieskończenie powolnej kolejce do dietetyczki za parką trzecioklasistów, którzy nie mogli się zdecydować, czy wolą łódeczki z ziemniaków, czy może frytki z batatów.

Aż w końcu nadeszła moja kolej. Byłam tak zniecierpliwiona, że nałożyłam sobie zwykły, nudny lunch, a Linda pogratulowała mi „zdrowych wyborów”. Aż biło od niej samozadowolenie.

Kiedy dotarłam do stolika, czułam się jak spóźniony gość na imprezie. Nie żebym kiedyś była na takiej prawdziwej, bo zostałam zlamizowana wiosną w drugiej klasie liceum. Ale właśnie takie miałam wrażenie: że wszystko zaczęło się beze mnie.

Charlie zdążył już skończyć swój lunch, a teraz bazgrał coś wściekle w notesie. Marina wyciągnęła się na krześle i skubała frytki, podsłuchując rozmowę wyjątkowo dramatyzującej paczki dziewczyn przy stoliku obok. Nick wycinał w swoim burgerze jakieś dzieło sztuki, podczas gdy Lane przyglądał się temu, potrząsając głową.

– Hej – powiedziałam.

Kiedy Lane podniósł głowę, jego twarz rozpromienił wielki uśmiech. Pożałowałam, że nie powiedziałam czegoś fajniejszego niż „hej”, ale było już za późno.

– Sadie – wypowiedział moje imię takim tonem, jakby nikogo tak bardzo nie pragnął zobaczyć. – Mam nadzieję, że Finnegan nie narobił ci kłopotów.

– Nic takiego. – Wzruszyłam ramionami, jakbym od początku wliczyła to w koszt. – Nick, pamiętasz tę teorię, że nauczyciele mają udowodnioną ekspozycję? – zagadnęłam.

Nick był tak skoncentrowany na rzeźbieniu w burgerze tępy

plastikowym nożem, że nawet na mnie nie spojrział.

– Mmm?

– Słuchasz mnie w ogóle? – burknęłam, kładąc tacę na stole.

Lane usiadł naprzeciwko mojego miejsca – zwykle tamto krzesło stało puste. Byłam przyzwyczajona, że jest nas tylko czworo i że każdy ma dla siebie mnóstwo miejsca. Teraz, kiedy zostało nam tylko jedno wolne krzesło, przy stoliku zrobiło się tłoczniej.

– Co? – zapytał marudnie Nick.

– Nieważne. Jesteś do dupy.

Naprawdę był. Nadal nie wybaczyłam mu, że wykręcił się z odbioru rzeczy od Michaela w sobotę wieczorem. Przynajmniej rozprowadził swoją połowę, ale trochę zawałił sprawę.

– Mówisz tak tylko dlatego, że jeszcze nie miałaś okazji nacieszyć oczu moim najnowszym dziełem – oznajmił z dumą.

Odchylił swoją tacę w moją stronę. Nie było na niej nic wspaniałego. Po prostu wyciął dziurę w środku wegeburgera.

– I co to ma być?

– Zeroburger. Instalacja artystyczna.

– Raczej instalacja idiotyczna – prychnęłam.

– Też mu to powiedziałam – wtrąciła Marina. – Dwadzieścia procent mniej burgera i dwadzieścia razy głupszy design.

– Mówcie sobie, co chcecie, to jest super – odparował i wziął gryza. Musztarda i keczup pociekły przez środek i poleciały mu na talerz.

Marina zachichotała.

– Twój prototyp wymaga jeszcze sporo pracy – ocenił Lane.

Ponieważ siedział naprzeciwko mnie, co chwila przypadkiem patrzyliśmy sobie w oczy. Za każdym razem lekko się uśmiechał, a potem odwracał

wzrok. Zdarzyło się to z pięć razy i za każdym czułam trzepotanie w żołądku. Spojrzenie Lane'a powędrowało w moją stronę po raz szósty. Prędko spuścił oczy i uśmiechnął się szeroko do talerza.

Zapamiętałam jego oczy jako brązowe, ale w rzeczywistości były zielone z brązową obwódką. Miał długie, gęste rzęsy – takiego efektu nie udałoby mi się osiągnąć nawet tuszem do rzęs. Policzki miał lekko zaróżowione i wyglądał na mniej wyczerpanego niż w zeszłym tygodniu. Teraz, kiedy już nie wypełniało mnie zapiekłe poczucie krzywdy sprzed lat, rozumiałam, dlaczego idiotki z francuskiego były nim takie zainteresowane.

Nic dziwnego, że miał w domu dziewczynę. Założę się, że był jednym z tych chłopaków z kółka teatralnego, w których kochały się wszystkie laski. Albo może należał do samorządu. Nie potrafiłam go rozszyfrować. Z jednej strony perfekcyjna francuszczyzna, snobistyczne ciuchy i eleganckie pismo, a z drugiej – swobodny śmiech, cięte komentarze i to przedstawienie, które odstawił przed chwilą w klasie. Jakby w tajemnicy był kimś zupełnie innym, niż powinien.

Uch, przecież to do mnie niepodobne. Nie byłam płonąca rumieńcem panienką, która nie potrafi usiedzieć naprzeciwko chłopaka. W porządku – uroczego chłopaka. Który patrzył na mnie tak, jakby nadawał mi wzrokiem wiadomość w alfabecie Morse'a. Wgryzłam się w burgera w nadziei, że jedzeniem przegonię to dziwne uczucie w brzuchu.

– No, Lane – zagadnęłam – jak to się stało, że już nie siedzisz w kółku różańcowym?

Skrzywił się.

– Bo myślałem, że z nimi umrę.

– No to teraz możesz umierać z nami – stwierdził sucho Charlie.

Lane się roześmiał, ale zaraz przerwał z zawstydzoną miną. Charlie wrócił do pisania, a Marina próbowała czytać mu przez ramię, w ogóle się

z tym nie kryjąc.

– Przestań – mruknął Charlie, przechylając notes ku sobie.

– E, w ogóle nie ma z tobą zabawy. – Marina krzywiła się przez chwilę, po czym nagle się rozpromieniła. – Lane, znaliście się wcześniej z Sadie, nie?

– Trochę – przyznał.

Próbowałam wysłać Marinie jakiś telepatyczny sygnał, żeby się zamknęła, ale nie podziałało. Pewnie dlatego, że nie mam żadnych supermocy.

– I co tam między wami zaszło? Sadie nie chce nam nic powiedzieć.

Gdybym tylko mogła kopnąć ją pod stołem, nie miałabym żadnych skrupułów.

– Nie ma co opowiadać – odparł Lane, a ja odetchnęłam z ulgą. – Mieliśmy trzynaście lat i byliśmy razem na koloniach. Wtedy sądziłem, że dziewczyny mają syfa.

– Ja mam syfa – rzuciłam, a Marina prawie udławiła się sokiem.

– Czy możemy od tej pory tak na to mówić? – poprosił Nick.

– Jasne – zgodziłam się. – Wyobraźcie sobie nasze pożegnalne statusy na Facebooku. „Walczyła bohaterko, lecz ostatecznie syf zwyciężył”.

– „Mieszka z aniołkami w lepszym miejscu, wolnym od syfa?” – zaproponował Nick.

– Boże, przestań. – Parsknęłam śmiechem.

Wszyscy chichotaliśmy, ale to nie było śmieszne. Nie tak naprawdę. Pobyt w Latham skrzywił nasze poczucie humoru do tego stopnia, że teraz jedliśmy sobie spokojnie burgery i wymyślaliśmy statusy na Facebooku dla zmarłych nastolatków.

– Właśnie dlatego skasowałam swoje konto na fejsie – wtrącił Charlie. – Działania prewencyjne.

Żadne z nas nie wiedziało, co na to odpowiedzieć. Charlie był najbardziej chory ze wszystkich w naszej paczce, a przy tym jednocześnie najbardziej i najmniej wrażliwy na dyskusje o naszej przyszłości – i o możliwości jej braku.

– Jestem zaskoczony, że Latham w ogóle nie zablokowało tej strony – zauważył Lane, a my popatrzyliśmy na niego z przerażeniem. – W moim liceum właściwie wszystkie dobre strony były zablokowane na szkolnych komputerach.

– Cicho, bo jeszcze cię usłyszą! – skarcił go Nick. – Masz, musisz teraz sypnąć solą.

Podał Lane’owi solniczkę, a on podchwycił grę i wysypał sobie szczyptę na dłoń.

– Proszę bardzo – powiedział, rzucając sól przez ramię. – Zadowolony?

– Bogowie internetu wymagają większego poświęcenia – odparł Nick. – Szybko, podskocz trzy razy na jednej nodze, dotykając nosa.

– Bogowie internetu wymagają testu na trzeźwość? – zapytał Lane, wywołując przy stoliku falę śmiechu.

To było interesujące doświadczenie: obecność Lane’a zmieniła całą dynamikę przy stole. Nasz śmiech był głośniejszy, w piątkę bardziej wypełnialiśmy sobą przestrzeń. Z fascynacją obserwowałam jego i Nicka. Natychmiast między nimi zaiskrzyło, jakby przyjaźnili się od zawsze. Przy akompaniamencie Lane’a wszystkie wygłupy Nicka – które dotąd uważałam za irytujące – nagle stały się zabawne. Ale Lane zmienił w grupie coś jeszcze, czego w ogóle się nie spodziewałam. Nagle nasza paczka stała się niebezpiecznie liczna.

Kiedy wstałam, żeby odstawić tacę, Lane poszedł za mną.

– Mógłbyś tym razem spróbować mnie nie zabić? – zażartowałam.

– Nawet jeśli to zapewniłoby ci doskonały ostateczny status na

Facebooku?

Roześmiałam się, po czym przyznałam:

– Ja swoje konto też skasowałam.

Czytanie wiadomości od znajomych z klasy, którzy dotąd mnie ignorowali, było zbyt dołujące. A jakiś miesiąc później stało się coś jeszcze gorszego: znów o mnie zapomnieli.

– Wy wszyscy jesteście nienormalni – oznajmił Lane. – Ja swoje zatrzymam, żeby mieć się potem gdzie chwalić. I żeby móc się znęcać nad byłymi dziewczynami.

– A jak sobie radzisz? – zapytałam, znajdując wolne miejsce na tace.

– To dziwne – odparł po chwili milczenia, podczas której zbierał myśli. – Nie jestem pewien. Nie widziałem jej od miesiąca, więc mam wrażenie, jakbym opłakiwał coś, co wydarzyło się wieki temu.

– Latham zakrzywia czasoprzestrzeń – wyjaśniłam. – Czasami jeden dzień trwa godzinę, a czasami rok.

– To musi być to. Przeleciałem przez dziurę w kontinuum czasoprzestrzennym.

W tym momencie do wózków na tace podpłynęła Genevieve ze słodko-jadowitym uśmiechem.

– Lane – zamiauczała. – Gdzie ty byłeś?

– Och – odparł Lane, lekko zmieszany. – Eee. Usiadłem z Nickiem.

Starałam się stłumić rozczarowanie, że nie powiedział „z Sadie”.

– Angela i Leigh okropnie się martwiły, że coś ci się stało, kiedy nie przyszedłeś do nas. – Wygłosiła to tak dramatycznym tonem, że nie zdołałam powstrzymać rozbawionego prychnięcia.

Genevieve posłała mi ostre spojrzenie.

Musiała zauważyć Lane’a przy naszym stoliku, nie? Marzyłam, żeby po

prostu zostawiła nas w spokoju – było oczywiste, że Lane chce uciec od nich jak najdalej.

– Nic mi się nie stało – odparł Lane, wzruszając ramionami. – Po prostu postanowiłem zmienić miejsce.

Zapadła niezręczna cisza, podczas której – przysięgam – Genevieve czekała na przeprosiny i obietnicę, że Lane usiądzie z nimi przy obiedzie, ale nic takiego się nie wydarzyło.

– Cóż, drzwi towarzystwa biblijnego są zawsze otwarte – oznajmiła w końcu.

– Boże kochany, przecież ty wiesz, że on jest żydem, nie? – wtrąciłam.

Genevieve popatrzyła na mnie niechętnie.

– Jezus dla każdego znajdzie miejsce przy swoim stole – odparła ostro, odstawiła tacę na stolik z przyprawami i odeszła zamaszystym krokiem.

Lane podniósł tacę Genevieve i wsunął ją do wózka.

– Wiesz, kto jeszcze znajdzie dla każdego miejsce przy swoim stole? – zapytałam. – Desperat.

Zareagował rozbawionym prychnięciem.

– Kogo nazywacie desperatem? – wtrącił Nick, podchodząc ze swoją tacą.

– Każdego, kto by się z tobą umówił. – Uśmiechnęłam się słodko.

– Gadaj sobie, co chcesz, ja jestem super. – Odłożył tacę. – Mamy jakieś plany na popołudnie?

Potrząsnęłam głową.

– Wspaniale. Lane, jak sobie radzisz w strzelankach?

– Nie tak dobrze, jak bym chciał.

– Możemy nad tym popracować. – Nick wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Następnie przyszedł Charlie i chłopcy odeszli razem do swojego domu.

Zaczęła się przerwa na odpoczynek – zazwyczaj chętnie ją sobie odpuszczałam, ale tego popołudnia zaczynała ogarniać mnie senność. Głupia Natalie Zhang i jej wycie. Wszyscy wiedzą, że jeśli nie chcesz, żeby cały świat cię słyszał, to trzeba ryczeć w poduszkę.

Kiedy szłam z Mariną w stronę domów, widziałam, jak Lane, Charlie i Nick skanują swoje opaski przy wejściu. Podekscytowany Nick wymachiwał rękami, coś opowiadając, a chłopcy zanosili się śmiechem.

– Ale masz wyraz twarzy – powiedziała nagle Marina.

– To tylko twarz. Wyraża całą gamę nieuzasadnionych emocji.

– Jasne. Jesteś zazdrosna, że Nick ukradł ci kolegę.

– To idiotyczne – zaprotestowałam. Przecież mogli sobie grać w strzelanki, ile dusza zapragnie.

– Jak dla mnie to zupełnie oczywiste – upierała się Marina z uśmiechem.

– Chyba że on nie jest twoim kolegą.

Przewróciłam oczami.

– A kim miałby być?

– Nieważne, jest uroczy.

– Tak uważasz? – zapytałam ostrożnie.

Wprawdzie nie miałam ochoty tego przyznawać, ale Lane mi się podobał. Bardzo. Jeśli Marina czuła do niego to samo, sytuacja mogłaby się zrobić nieciekawa.

– To, że dałam sobie spokój z chłopakami z Latham, nie oznacza, że nie widzę dobrej sztuki, kiedy dosłownie siedzi mi przed nosem – bąknęła Marina. – No i widziałam, jak się na siebie gapiliście przez cały lunch. Jesteście wypisz, wymaluj jak z *Dumy i uprzedzenia*.

– Czyli on będzie szydzić z mojego pochodzenia, a potem przekona ukochanego mojej siostry, że tak naprawdę wcale mu na niej nie zależy? –

upewniłam się z nadzieją.

– Właśnie o to mi chodziło. – Marina się zaśmiała. – Ale zapomniałaś o sterowcach. I gadających wombatach.

Marina zamilkła – wiedziałam, że układa w głowie jakąś historyjkę z latającymi maszynami i pyskatymi zwierzątkami, w której wszyscy żyją długo i szczęśliwie i nikt nie umiera ani nie jest zbyt chory, żeby być idealnym obiektem westchnień.

Ale my wszyscy byliśmy zbyt chorzy, żeby kwalifikować się na obiekty uczuć. Nie miało znaczenia, jak zdrowo wyglądamy. Każde z nas mogło jutro rano obudzić się na poduszce zbryzganej krwią i z dziurą w płucach tak bolesną, że nie dałoby się tego wytrzymać, gdyby dołożyć jeszcze złamane serce.

Wprawdzie jak na Latham nie było ze mną tak źle, ale byłam dostatecznie chora, żeby rozumieć, jak to działa. Byłam przypadkiem w stanie zastoju. Nie poprawiało mi się na tyle, żeby odesłać mnie do domu, ale rentgeny nie były tak niepokojące, żeby doktor Barons musiał się o mnie szczególnie martwić. Jakby mój organizm i gruźlica znaleźli się w stanie równowagi. Albo może to była wzajemna destrukcja – obie strony trzymały rękę nad wielkim czerwonym guzikiem, ale żadna nie chciała nacisnąć pierwsza.

Rok temu wszyscy myśleli, że wydarzył się cud, kiedy przestały mi się formować zmiany w płucach, a wyniki krwi zaczęły wyglądać mniej niepokojąco. Ale cudów też można mieć w końcu dość, jeśli nie są wystarczająco duże, żeby cię porządnie wyleczyć.

Bo z cudami jest tak, że nie stanowią żadnego rozwiązania – nieważne, jak bardzo byśmy tego chcieli. W najlepszym razie z cudów biorą się tylko jeszcze bardziej niepokojące pytania. Ale przecież do Latham nie przychodziło się po odpowiedzi. Tutaj przychodziło się, żeby czekać. A ja już dawno postanowiłam, że będę czekać sama.

– Lepiej mi w pojedynkę.

– Nic z tego, za dobrze cię znam. Mówisz tak sobie, bo nie chcesz, żeby stała ci się krzywda.

– Nikt tego nie chce.

– Cóż, może i nie, ale czasami warto. – Marina wzruszyła ramionami. Było jasne, że znów myśli o Amicie. – Może i zrezygnowałam z chłopaków, ale przynajmniej ich spróbowałam.

– Marina!

– Co? Nie miałabyś ochoty? To cię nie wyleczy, ale uwierz mi, poczujesz się lepiej. – Zachichotała.

– On dopiero co rozstał się z dziewczyną – powiedziałam, a Marina westchnęła, jakbym nic nie rozumiała.

– Przecież właśnie o tym mówię! On jest taki cudny, że jakaś dziewczyna dalej z nim była jeszcze dobry miesiąc po tym, jak dowiedziała się o jego chorobie.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem, jakby właśnie przedstawiła mi ostateczny dowód jego zalet, a ja parsknęłam śmiechem i przyznałam jej rację. Marina nawet w tej okropnej historii z byłą Lane'a potrafiła znaleźć coś korzystnego. Wprawdzie chciałam, żeby się myliła, ale miała nosa. Randkowanie w Latham nie miało perspektyw. Chłopcy, którzy pozostawali atrakcyjni, zawsze w końcu wracali do domu, a ci, którym się pogarszało, desperacko pragnęli stracić dziewictwo z pierwszą lepszą chętną. Według standardów Latham Lane był na samym szczycie hierarchii. Byłam pewna, że co najmniej połowa dziewczyn z francuskiego bardzo chętnie wybrałaby się z nim do lasu na numerki – ten szczególny sposób spędzania czasu wolnego w Latham dziwnie kojarzył mi się z letnimi koloniami. Z tą różnicą, że nasz zegar tykał o wiele smętniej niż na obozie Griffith.

Byłam ciekawa, jak często Marina myśli o Amicie i jak jego życie

wygląda teraz, po powrocie do domu. Zastanawiałam się też, czy Amit myśli o Marinie i reszcie naszej paczki w Latham, choć większość czasu spędzał z chłopakami od gier RPG w domu numer 8.

Marina i ja rozejrzałyśmy się po pokoju socjalnym. Grupa dziewczyn, których nie znosiłyśmy, siedziała już przy stole w kuchni i malowała paznokcie. Godzinami bawiły się w tworzenie straszliwie skomplikowanych wzorków, więc w całym salonie śmierdziało zmywaczem do paznokci i Sartre'owskim przekonaniem, że piekło to inni.

– Broadway? – zaproponowała Marina, kiedy szłyśmy na górę.

Niestrudzenie próbowała mnie przekonać do musicali, jakby spodziewała się, że po piątym wysłuchaniu *Przebudzenia wiosny* nagle zacznę śpiewać razem z nią. Nic z tego. Broadwayowskie piosenki mnie dołowały. Nie znajdowałam sensu w słuchaniu piosenek z przedstawień, których prawdopodobnie nigdy nie zobaczę.

– Zostawiłam książkę w połowie, bardzo chcę doczytać do końca – skłamałam, zamiast po prostu przyznać, że jestem żenująco podekscytowana perspektywą drzemki.

Lane znów usiadł z nami przy obiedzie. Stał w kolejce z Nickiem i Charliem i teraz wszyscy trzej kłócili się zawzięcie o to, czy keczup na hot dogach jest profanacją.

– Zdajecie sobie sprawę, że jecie paluszki z kurczaka, a nie hot dogi, prawda? – zapytała Marina z troską w głosie.

– Chodzi o zasadę – odparł Nick. – Mamy tutaj debatę.

– Macie paluszki z kurczaka – poprawiłam. – A do kurczaka pasuje właściwie każdy sos, jaki można sobie wyobrazić.

– Właśnie od tego się zaczęło – wyjaśnił Lane. – Hot dogi mają charakter

wykluczający, ale...

– Ale kurczak jest otwarty na każdy sos – wtrącił Charlie. – Chwała pożywieniu dla ludu, paluszkowi z kurczaka.

Następnie wpackował sobie wielki kawałek mięsa naraz do ust i się zakrztusił, co płynnie przeszło w napad kaszlu.

Marina uniosła oczy do nieba. Doskonale ją rozumiałam. Nasz stolik nagle został przejęty przez chłopców. To przypominało mi o tych grupach z liceum, które gromadziły zbyt wiele osób przy jednym stoliku, przez co robił się wokół nich taki harmider, że nie dało się nie zwracać na to uwagi. Zawsze z zawiścią przyglądałam się takim grupom w szkolnym bufecie – zastanawiałam się, jak one powstają i dlaczego zawsze beze mnie. Ale przecież wszystko zawsze działo się beze mnie.

Po drzemce czułam się jednak dużo lepiej i nie miałam już ochoty wrzeszczeć na Finneganą za jego podejście do naszych prac domowych. A to przypominało mi o moim wcześniejszym odkryciu.

– Ej, Nick – zagadnęłam. – Finnegan powiedział dzisiaj coś, co potwierdzałoby twoją teorię ekspozycji.

– A nie mówiłem! – odparł Nick.

Lane nie wiedział, o co chodzi, więc wyjaśniłam, a on słuchał i z powagą kiwał głową.

– To ma sens – stwierdził. – Zastanawiałem się, dlaczego ktoś miałby się zgodzić, eee...

– Na przebywanie z nami? – podsunął Nick z uśmiechem.

– Nie próbuj mnie przekonać, żebym zaczęła się litować nad Finneganem – ostrzegła Marina. – No wiecie, fuj!

– Wcale nie próbuję – odparłam. – Po prostu wydaje mi się, że to interesujące.

– Może oni wcale nie boją się nas, tylko tego, że jutro się obudzą

i zobaczą, że się nami stali? – podsunął Charlie.

– Nie, cicho, cicho, cicho! – zaprotestowała Marina, zasłaniając uszy.

Charlie uśmiechnął się złośliwie, zadowolony, że udało mu się wyprowadzić ją z równowagi.

– Po ekspozycji ryzyko, że zachorujesz, wynosi... ile? Jakies dziesięć procent, nie? – wtrącił Lane.

– Dokładnie. – Wzruszyłam ramionami. – Nie zarazasz, nie jesteś chory i prawdopodobnie nie będziesz, ale i tak nie możesz w nocy spać ze strachu. Miałam taką koleżankę w szkole.

Nie dodałam, że tamta dziewczyna wysłała mi potworną wiadomość na Facebooku, w której oskarżała mnie o zarażenie, mimo że zostaliśmy zdiagnozowane w odstępie dwóch dni, więc wina musiała leżeć po stronie jakiejś anonimowej łajzy.

Na szczęście wtedy rozmowa zmieniła tor i zaczęliśmy dyskutować o filmach. A ponieważ przy stole siedziała Marina, nie dało się uniknąć wzmianki o animacjach Miyazaki, które uwielbiała. Okazało się, że Lane nigdy nie widział żadnego filmu Studia Ghibli.

– Ani jednego? – upewnił się Nick z niedowierzaniem.

– Nawet *Księżniczki Mononoke*? Ani *Mojego sąsiada Totoro*? – dociekała Marina.

Lane potrząsnął głową.

– Nie ma o czym dyskutować – orzekłam. – Urządzimy sobie dziś wieczór filmowy.

I tak zrobiliśmy. Po obiedzie Marina i ja wybrałyśmy się do domu chłopaków – technicznie rzecz biorąc, nie wolno tego robić, ale wymyśliłyśmy sposób. Najpierw poszłyśmy do siebie, a potem poczekałyśmy przy drzwiach, aż ktoś będzie wychodzić, żebyśmy mogły wślizgnąć się przez otwarte drzwi bez konieczności skanowania opaski.

– W jak duże kłopoty możemy się wpackować, jeśli ktoś przyłapie nas w pokoju z dziewczyną? – zapytał Lane, prowadząc nas na górę.

– A co, zamierzasz przemyścić sobie dziewczynę do pokoju? – drażniłam się z nim. – Idziemy do Nicka, nie do ciebie.

– Okej – wymamrotał. – Głupio to zabrzmiało.

Marina posłała mi wymowne spojrzenie, a ja udałam, że nie zauważyłam. Nagle Nick wytknął głowę ze swojego pokoju i zawołał:

– Szybko, włączcie!

Jego sypialnia była prawdziwą norą nerda, choć oczywiście Nick uważał ją za najwspanialsze miejsce na świecie. Ściany były oblepione plakatami z *Doktora Who* i *Gry o tron*, a na biurku miał konsolę do gier i wypasiony płaski ekran. Nie wspominał o tym zbyt często, ale wiedziałam, że jego tata zarabia mnóstwo kasy w sektorze technologicznym. W Latham było dużo takich dzieciaków – i dużo na zapomodze, tak jak Charlie.

Przyniosłam ze sobą trochę przeschumowanych słodyczy – wysypałam wszystko na łóżko, podczas gdy Nick ustawiał film. Lane wlepił wzrok w opakowania z kwaśnymi żelkami i z czekoladkami, jakby nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś w życiu zobaczy śmieciowe jedzenie.

– Sadie zawsze ma jakąś kontrabandę – wyjaśnił Charlie, otwierając paczkę m&m'sów. – Dlatego jeszcze ją tolerujemy.

– Wielkie dzięki – fuknęłam, udając obrażoną. – Nick też zawsze ma. Tylko że on chodził do specjalnego przedszkola, w którym dzieci uczyły się o stopach procentowych zamiast o dzieleniu się z innymi.

Nick westchnął, otworzył szufladę biurka i rzucił na łóżko butelkę wody.

– Wódka – wyjaśnił. – Co ty tam gdałaś o niedzieleniu się?

– Skąd wy to wszystko macie? – zapytał Lane, tak jak się spodziewałam.

Po jakimś czasie w Latham, widząc przemycone paczki czipsów i alkohol w butelkach po wodzie podczas weekendowych wieczorków filmowych,

trudno nie zapytać, skąd to się tu wzięło.

– Jestem mrówką – powiedziałam. – Szmugluję nielegalne towary do Latham przez granicę.

Lane się roześmiał, sądząc, że to żart, ale po chwili dotarło do niego, że mówię poważnie.

– Co jeszcze mogłabyś zorganizować?

– Co tylko chcesz – odparłam.

– Zaraz, naprawdę to robisz?

– Razem z Nickiem. Jesteśmy bossami czarnego rynku.

Odziedziczyliśmy tę rolę jakieś dziewięć miesięcy temu po takim jednym Phillipie, który wyjechał wtedy do domu. I mniej więcej w tym samym czasie Nick odziedziczył też zainteresowanie moją osobą, choć prędko dałam mu do zrozumienia, że nie powinien robić sobie żadnych nadziei.

– Przestań zgrywać twardą sztukę. Tak niezdarnie ci to wyszło, że aż boli.

– Nick się skrzywił.

– A jak bardzo? W skali od jednego do dziesięciu? – spytałam.

– Spieprzaj – odparł Nick przyjaźnie. – Siedem.

A potem obejrzelismy *Spirited Away: W krainie bogów*. Ze sto lat nie widziałam tego filmu. Opowiadał historię dziewczynki uwięzionej w świecie bóstw, która musiała pracować w łaźni, żeby uratować swoich rodziców i wrócić do domu. Wiem, że brzmi jak bajka dla dzieci, ale to naprawdę niesamowity film. Zdążyłam zapomnieć, jak bardzo go uwielbiam.

W którymś momencie zerknęłam na Lane'a. Wpatrywał się w ekran oczarowany. Twarz oświetlał mu blask monitora, wyostrając wszystkie rysy. Miałam wielką ochotę wyciągnąć rękę i przesunąć palcem wzdłuż linii jego szczęki.

Nie wiem dlaczego, ale wyobraziłam sobie wtedy, że jesteśmy

w prawdziwym kinie z kupionym na pół popcornem, za który trzeba było zapłacić jak za zboże, a nasze palce splatają się na dnie pudełka w poszukiwaniu ostatków. Że to prawdziwa randka, taka, na którą zabrał mnie swoim samochodem, a w drodze na seans wpadliśmy na znajomych ze szkoły. Tylko że jego miasto znajdowało się kilka godzin jazdy od mojego, nie wiedziałam nawet, czy ma samochód, i nie chodziliśmy do tej samej szkoły – a w dodatku to nawet nie były przyczyny, dla których nie mieliśmy szans. To była tylko fantazja. Mała scenka w mojej głowie, wizja randki, na którą nigdy nie pójdę, z chłopakiem, który mnie na nią nie zaprosił.

Wtedy Lane spojrział na mnie i się uśmiechnął, i przez chwilę patrzyliśmy na siebie w ciemności ponad pochrapującym cicho Charliem. Nie byłam już zła, że zaprzyjaźnił się z Nickiem. W ogóle mi to nie przeszkadzało. Byłam zła, że Marina się pomyliła i nazwała nas panem Darcym i Lizzy, nawet jeśli to była tylko jej zmyślona wersja z wombatami i sterowcami. Bo ostatni rok nauczył mnie jednej rzeczy. W Latham wszystkie historie miłosne kończyły się tak samo: ktoś kogoś musiał zostawić.

ROZDZIAŁ 11

LANE

Znalezienie w Latham paczki przyjaciół nagle zmieniło wszystko. Pierwszego dnia, kiedy obserwowałem z okna swojej sypialni, jak wracają z lasu, cała czwórka wydawała mi się strasznie tajemnicza i nieprzystępna.

Ale z biegiem czasu, gdy zmieniłem się w stałego gościa przy ich stoliku, nasza znajomość zaczęła wpływać na inne aspekty życia w Latham. Jakbym z początku źle przeczytał wskazówki i na siłę pracował nad nierozwiązywalnym równaniem, podczas gdy należało je tylko uprościć.

Nick zaczął codziennie pukać do mojego pokoju przed śniadaniem. Zgarniał mnie i szliśmy razem po Charliego, który zwykle jeszcze leżał w łóżku, bo najwyraźniej miał alergię na wczesne poranki. Pierwszą przerwę na odpoczynek spędzaliśmy, grając na xboksie w pokoju Nicka, a podczas zajęć zdrowotnych chodziłem na spacer nad jezioro z Sadie i Mariną. Potem brałem prysznic i ucinałem sobie drzemkę do obiadu. Wieczorami kontynuowaliśmy nasz maraton filmowy i codziennie przemycałiśmy dziewczyny do naszego domu. Marina przyniosła swoją kolekcję filmów Miyazakiego, a ja nie mogłem uwierzyć, co mnie ominęło. Nie przepadałem

za anime, więc zawsze sądziłem, że to nie dla mnie, ale teraz byłem zachwycony.

Pamiętam, jak na koloniach przez kilka pierwszych dni zawsze czułem się zagubiony, aż wreszcie któregoś poranka się budziłem i wszystko po prostu wskakiwało na swoje miejsce. I tak wydarzyło się w tamten piątek w Latham: to się po prostu samo stało. Na angielskim dłuubałem w zestawie pytań do Dickensa, a potem starałem się nie zasnąć na filmie dokumentalnym o wiekach ciemnych. A kiedy wychodziliśmy ze stołówki po lunchu, Nick zaczął narzekać, że jego nauczyciel matematyki znów przyniósł termos z kawą i trochę jej rozlał, więc w całej klasie pachniało espresso.

– Jak w komnacie tortur – jęczał. – A do tego wszystkiego musieliśmy jeszcze rozwiązywać zadania.

– Nie ma żadnego powodu, dla którego nie powinniśmy spożywać kofeiny – poinformowała nas Sadie. – Sprawdziłam to.

– Poza tym, że Latham nie chce, żebyśmy dostali małego rozumu – wtrącił Nick.

– U ciebie to i tak stan naturalny – stwierdziła Marina, a my prychnęliśmy z rozbawieniem.

– Tak, jasne – burknął Nick.

Zapytałem, dlaczego po prostu nie przemycą trochę kawy, a Sadie popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakbym zasugerował, żeby zorganizowała dostawę fasoli mung.

– Rozpuszczalną? Ohyda. – Zmarszczyła nos.

– Widzicie, to jest problem miłośników kawy – zauważyła Marina. – Ja jestem szczęśliwa ze swoją herbatą w torebkach.

– Wspaniała jest ta ich rywalizacja – skomentował Charlie. – Woda po liściach kontra woda z kałuży.

– Woda z kałuży? – powtórzyła Sadie. – Lepiej, żebyś szybko to

odszcekał.

– Uwaga, filizanki dziś nisko latają – prychnął Nick.

– Czy moglibyśmy zmienić temat? – poprosiłem. – Bo teraz nie mogę przestać myśleć o kawie. I o tym, że jej nie mamy.

Kawa była jedną z rzeczy z mojego dawnego życia, których brakowało mi najbardziej. Właściwie śliniłem się za każdym razem, kiedy Finnegan przynosił na francuski swój kubek podróżny.

– W sumie... – Sadie wskazała głową w stronę lasu z chochlikowatym uśmiechem.

Wyglądało na to, że tylko ja nie wiem, o co chodzi.

– O nie – zaprotestowała Marina. – Nie możemy znowu tego zrobić.

– Gdzie się podział twój duch przygody? – naciskała Sadie.

– Zgubił się gdzieś z twoim zmysłem orientacji w terenie – odgryzła się Marina.

– To był jeden malutki błąd w ocenie sytuacji – zaprotestowała Sadie. – Poza tym teraz mam kompas.

Zatrzymaliśmy się na trawniku przed domami. Charlie zaczął się oddalać.

– Charlie! – zawołała za nim Sadie. – Dokąd idziesz?

– Poleżakować – burknął Charlie. – Po portfel, a co myślałaś?

– Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, co się dzieje? – poprosiłem, kiedy Charlie zniknął w środku.

– Idziemy do Hogsmeade – odparła Sadie. – Na kremowe piwo.

Nadal byłem kompletnie zbity z tropu.

– W Whitley mają Starbucksa. – Nick zlitował się nade mną.

I wtedy do mnie dotarło. Zamierzali wymknąć się do miasta.

– Mowy nie ma – oznajmiłem, krzyżując ręce na piersi.

– Dlaczego nie? – zapytała niewinnie Sadie.

– Mógłbym podać ze sto powodów. Po pierwsze jesteśmy objęci kwarantanną. Po drugie ktoś na pewno się zorientuje. Po trzecie jesteśmy w połowie popołu...

– Poważnie zamierzasz tu stać i wymieniać wszystkie sto? – przerwała mi Marina.

Posłałem jej wściekle spojrzenie.

– A to? – Podniosłem rękę z opaską sensoryczną.

– Żaden problem – zapewniła Sadie. – Pokazują twoją lokalizację, tylko jeśli sensor uruchomi alarm, żeby pielęgniarki mogły cię znaleźć. Barons ma lepsze rzeczy do roboty, niż obserwować nasze położenie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Nieufnie przyjrzałem się opasce.

– Przysięgam, nic się nie stanie. – Sadie westchnęła. – Nie ufasz mi?

Chciałem. Naprawdę. A co więcej, zależało mi, żeby należeć do ich paczki. I miałem wrażenie, że jeśli nie pójdę, drzwi się zamkną, a ja zostanę sam, zmuszony do bezsensownego dryfowania po nijakich wodach Latham, i tylko do siebie będę mógł mieć pretensje.

Ugiąłem się więc, a potem Charlie wrócił z portfelem i ruszyliśmy całą paczką do lasu.

Spędziłem w Latham już prawie dwa tygodnie, ale przez ten czas ani razu nie zastanawiałem się, czy istnieje stąd jakieś wyjście ani czy droga na świat prowadzi w jakieś ciekawe miejsce. Wyszedłem z założenia, że za lasem jest więcej lasu, może jakaś autostrada z przydrożnym stoiskiem, na którym lokalny rolnik sprzedaje świeżo zebrane karczochy, bo w drodze do sanatorium widziałem takich stoisk dziesiątki. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że po niecałych dwóch kilometrach las otwiera się na niewielkie

miasteczko z barwną ulicą handlową i starym kościołem misyjnym ze stiukowymi dekoracjami. Ale właśnie tak było.

Nadal nie miałem pojęcia, jak Sadie zdołała mnie przekonać do tego pomysłu. Nie wolno nam było nawet przebywać w lesie podczas przerw, a co dopiero iść półtora kilometra do miasta. Oczywiście mieliśmy też absolutny zakaz opuszczania Latham pod jakimkolwiek pozorem, a już na pewno tak banalnym, jak wypad na kawę.

Mniej więcej w połowie drogi Charlie zrobił się jeszcze bledszy niż zwykle i z trudem chwytał powietrze, więc zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Charlie oparł się o pień drzewa i na moment zamknął oczy. Spoglądaliśmy po sobie w niezręcznej ciszy.

– Może lepiej wracajmy – bąknęła Marina.

Charlie uniósł powieki i posłał jej niechętne spojrzenie.

– Nic mi nie jest – upierał się. – Tylko muszę chwilę posiedzieć.

Po kilku minutach zażartował, że wyprodukował trochę energii w ekspresowej fotosyntezie, i znów podjęliśmy marsz.

Kiedy tylko zobaczyłem Whitley, poczułem w żołądku zbitą kulkę niepokoju. Miasteczko wyglądało zupełnie jak miejsca, które odwiedzałem z rodziną w dzieciństwie. Jechaliśmy w górę i w dół wybrzeża z przewodnikiem turystycznym w dłoni, który kierował nas ku lokalnym osobliwościom, a w tym czasie ojciec przepytывał mnie z historii.

– Robiliście to już wcześniej, nie? – zapytałem ostrożnie.

– Mnóstwo razy – zapewniła Sadie. – To nic wielkiego. Tylko postaraj się nie kaszleć przy ludziach i wszystko będzie cacy.

Wyciągnęła z kieszeni garść cukierków na kaszel i rozdała wszystkim. Kiedy rozpakowaliśmy pastylki z papierków, serce zaczęło mi walić. Naprawdę to robiliśmy – szliśmy do miejsca poza Latham. Wprawdzie gorąco protestowałem przeciwko całej wycieczce, ale teraz musiałem

przyznać, że to ekscytująca perspektywa.

– Gdyby ktoś zaczął wypytywać, jesteśmy studentami – poinstruował nas Nick. – I zatrzymaliśmy się na kawę w drodze do Berkeley. Obciągnij rękawy, żeby nie zobaczyli opaski.

Posłusznie nasunąłem rękawy na nadgarstki i pogryzłem do końca pastylkę na kaszel, po czym ruszyliśmy do miasta pooranym korzeniami szlakiem turystycznym.

Whitley wyglądało jak miasteczko ze starej książki z obrazkami – w niczym nie przypominało rozległych przedmieść, na jakich się wychowałem. Przywykłem do pasaży, nie ulic handlowych. Mimo to po takim czasie z dala od cywilizacji nawet w tym maleńkim miasteczku na uboczu miałem wrażenie, że znalazłem się w metropolii.

Na dworze było ciepło, powiewał tylko lekki, rześki wiaterek. Był początek października. W witrynach sklepów zaczynały się pojawiać dekoracje halloweenowe, na niektórych trawnikach stały już pierwsze dynie. Słupy ogłoszeniowe były oblepione ulotkami zapraszającymi na Festiwal Jesieni, który miał się odbyć za kilka tygodni – zaplanowano takie atrakcje jak łowienie jabłek i przejażdżkę na sianie za traktorem. Inne ulotki zapowiadały labirynt kukurydzy i nawiedzony dom.

– Ponoć kiedyś na Halloween to Latham przerabiano na nawiedzony dom – powiedziała Marina, czytając ogłoszenie. – Gdy jeszcze była tam szkoła z internatem.

– No, nawet raz na tym byłem – przytaknął Charlie.

Wszyscy wlepiliśmy w niego wzrok.

– Gdy miałem sześć lat. Kuzyni zabrali mnie ze sobą, a ja tak się przestraszyłem, że zacząłem płakać. Ciocia musiała poczekać ze mną na zewnątrz.

– Urocze – parsknął Nick. – Biedny Charlie przestraszył się tych złych, groźnych plastikowych masek.

– Miałem sześć lat! – bronił się Charlie. – I wcale nie tego się bałem. Kuzyn mi powiedział, że jeśli będę bardzo niegrzeczny, to zostanę na zawsze w środku z potworami.

– Zmyślasz – stwierdziła Sadie, ale Charlie tylko wzruszył ramionami.

A potem zaczął kaszleć. Zatkanął sobie usta rękawem i na szczęście nie było nikogo w pobliżu, ale mimo to zaczęliśmy się nerwowo rozglądać. Byłem pewien, że nas złapią, że ktoś nas zobaczy i natychmiast zorientuje się, skąd przyszliśmy. Nic takiego się jednak nie stało. Charlie złapał oddech i wymamrotał ochryple przeprosiny, po czym ruszyliśmy dalej.

Przeszliśmy obok sklepu zoologicznego, małej księgarni i jakiejś knajpy z organicznym sokiem – na szybie przyklejono kartkę zachęcającą klientów do polubienia ich strony na Facebooku. Tyle czasu spędziłem na rozmyślaniach, jak bardzo jest mi źle z dala od świata, ale teraz, kiedy się w nim znalazłem, wszystko wydawało się dziwne i wykoślawione. A może to byłem ja? Czuję się tak niepewnie, jakbym w ogóle nie miał prawa tu być – i wydawało mi się, że wszyscy wokół to widzą.

Kiedy dotarliśmy do Starbucksa, Charlie był blady i spocony. Nie miałem wątpliwości, że nie powinniśmy go zabierać do kawiarni. Marina chyba pomyślała to samo.

– Ej, Charlie, pójdziesz ze mną do lumpeksu? – zaproponowała.

– Jasne. – Natychmiast się rozchmurzył.

– Zbiórka przed wejściem za dwadzieścia minut? – rzuciła Sadie.

– Gdybyśmy mieli się spóźnić, napiszę ci na fejsie – obiecała Marina z kamienną twarzą, a ja na sekundę jej uwierzyłem.

– Prosimy do środka – ponagliła Sadie, otwierając drzwi do Starbucksa.

Nick i ja weszliśmy za nią. Spodziewałem się, że będzie tu pusto, ale przy

stolikach siedziało zaskakująco dużo ludzi z laptopami. Miałem na sobie bluzę Stanfordu i džinsy – wprawdzie wydawało mi się, że wyróżniamy się z tłumu, ale w rzeczywistości wyglądaliśmy chyba dość normalnie. Trójka grzecznych nastolatków na kawie. Nikt nawet na nas nie spojrzał.

– To jak, kremowe piwo latte? – upewniła się Sadie.

– Chyba nie mają tego w menu – odparłem.

– A, w zwykłym nie. Ale w sekretnym – owszem – powiedział Nick, kładąc mi dłoń na ramieniu. Następnie wyjaśnił, że Starbucks ma wielką księgę kawowych skarbów, dostępną tylko dla wtajemniczonych. Wśród nich kremowe piwo latte.

– Jeśli jest w tym kofeina, to biorę – oznajmiłem, idąc za Sadie do kasy.

Za ladą stał znudzony blondyn z aparatem na zęby dla dorosłych. Zliczał pieniądze z kasy i w pierwszej chwili nas nie zauważył. Sadie przechyliła się przez ladę i zaczęła oglądać paczkę ciastek.

– Hej – powiedziała.

Kasjer podniósł głowę i przysięgam, że na widok jej obcisłego czarnego sweterka w serek aż mu wylazły oczy. Nie miałem mu tego za złe – cały dzień musiałem uważać, żeby nie przyłapała mnie na zerkaniu.

– Eee, co dla was? – zapytał zmieszany.

– Pięć razy kremowe piwo latte, *venti*. – Uśmiechnęła się słodko, jakby rzucała mu wyzwanie i czekała, aż powie, że nie ma tego w ofercie.

Blondyn się roześmiał.

– Mike! – Odwrócił się do baristy. – Wiesz, jak zrobić kremowe piwo latte?

Barista, hipster wystylizowany na drwala, tylko wzruszył ramionami i odparł, że jasne.

– Nikt nigdy tego nie zamawia – powiedział kasjer, nabijając kawy. –

Super.

Wyciągnąłem ku niemu dłoń z pieniędzmi. Sięgnął po należność, kiedy nagle zamarł i wlepił wzrok w mój nadgarstek.

Podążyłem za jego wzrokiem, starając się nie wpaść w panikę. Bezmyślnie podciągnąłem rękawy bluzy, a teraz podetknąłem kasjerowi mój sensor tuż pod nos.

Poczułem, jak skręca mnie w żołądku. Skrzywiłem się – byłem pewien, że mamy przekichane.

– Opaska do fitnessu? – zainteresował się facet.

Nigdy w życiu nie czułem takiej ulgi.

– Mhm – przytaknąłem, obciągając rękaw.

– Też myślałem, czy sobie nie sprawić – powiedział, zabierając pieniądze, po czym odliczył resztę.

– Są super, polecam – odparłem i prędko uciekłem do stolika z serwetkami i słómkami. Serce nadal tłukło mi się jak oszalałe.

Nick podszedł do mnie i zaczął nerwowo grzebać w torebkach z cukrem.

– Mówiłem, żebyś uważał na rękawy – syknął. – Dzięki Bogu za hipsterów i ich debilne zabawki do fitnessu.

Spojrzałem w stronę stanowiska baristy. Sadie z nim rozmawiała. Powiedział coś ostrym tonem i przesunął plastikowe kubki gwałtowniej, niż to było konieczne.

– Weźcie sobie rękawki na kubki – powiedziała, podchodząc do nas z napojami na tacce.

– O co tam poszło? – zainteresował się Nick.

– O nic – ucięła. – Zmywamy się, zanim Michael wpadnie w histerię.

– Znasz go? – zapytałem.

– Długa historia.

Nie dodała nic więcej, więc zabraliśmy kawę na zewnątrz, żeby poczekać na Charliego i Marinę.

– I jak? – Sadie przyglądała się, jak piję.

Przeżywałem prawdziwe religijne uniesienie. Karmel, śmietanka, cukier, kofeina, i nie wiem co jeszcze, ale nawet mnie to nie obchodziło.

– Ale masz wyraz twarzy. – Roześmiała się. – Teraz jesteś zadowolony, że przyszliśmy, co?

– Oczywiście, że jestem – przyznałem. – Po prostu musiałem protestować dla zasady.

– Mhm, jasne. – Sadie uśmiechnęła się do słomki.

Charlie i Marina nie wracali. Kiedy Sadie po raz drugi sprawdziła godzinę na swojej opasce i westchnęła, zapytałem, czy nie sądzi, że może po prostu mieli ochotę na chwilę na osobności.

– Charlie zawsze ma ochotę na chwilę na osobności – odparł Nick. – Dlatego nigdy nie chodzi na zdrowotne.

– Miałem na myśli to, że... eee... z Mariną – wyjaśniłem.

Sadie zachichotała.

– Oni się tylko przyjaźnią. Charlie jest uroczy... tak samo jak chłopcy, którzy mu się podobają.

– Chłopcy?

– Wiem – przytaknęła Sadie z krzywym uśmiechem. – Cała żeńska część Latham to oplakiwała.

Nie przypuszczałem, że Charlie jest gejem, ale teraz, kiedy Sadie to powiedziała, zorientowałem się, że to ma sens. Nagle pojąłem, skąd ten plakat One Direction nad jego łóżkiem.

W końcu Marina i Charlie wrócili z lumpeksu, oboje ze sprawunkami. Charlie wyglądał o wiele lepiej, więc trochę nam ulżyło.

– Co znalazłaś? – Sadie zaglądała Marinie do torby. – Boże, ta kiecka jest cudowna. Trzeba będzie ją koniecznie wykorzystać do sesji.

– Cztery dolary! – oznajmiła Marina. – I ma pasek do kompletu.

– A ja znalazłem piosenkę z *Copsów* na winylu – wtrącił Charlie z dumą.

Sądziłem, że żartuje, ale wyjął płytę z reklamówki i pokazał mi obwolotę.

Poszliśmy z powrotem do lasu, popijając nasze cukrowokawowe mikstury, i nagle dotarło do mnie, jak bardzo się cieszę, że poszedłem z nimi – i że mnie zaprosili. W mojej starej szkole nikomu nie przyszłoby do głowy włączyć mnie w taką eskapadę, a nawet gdyby, pewnie i tak bym się wykręcił. Nie dlatego, że bym nie chciał, po prostu uznałbym, że nie powinienem brać w coś takim udziału.

Wtedy też uświadomiłem sobie, jak wiele mnie ominęło. Zawsze byłem przekonany, że będę mieć jeszcze mnóstwo czasu na wygłupy, kiedy już dostanę się na Stanford. Ale jeśli ostatni miesiąc cokolwiek mnie nauczył, to tego, że życie nie jest zainteresowane moimi planami. Zaczynałem rozumieć, że to nie będzie trwało w nieskończoność. Że wyprawy do Starbucksa nie zawsze będą zakazaną przygodą i nie zawsze będę na kampusie pełnym reguł do złamania, z którego będzie można od czasu do czasu ukradkiem się wymykać.

Obejrzałem się przez ramię, żeby ostatni raz spojrzeć na miasto. Zastanawiałem się, kiedy właściwie zdążyłem przejść od poczucia nieadekwatności w Latham do wrażenia, że jestem na właściwym miejscu, bo teraz czułem ulgę, że już wracamy. Sadie sprawdziła coś na kieszonkowym kompasie i ruszyliśmy w stronę Latham. Prowadziła, więc postanowiłem do niej dołączyć. Tamtego popołudnia las wyglądał pięknie, liście dopiero zaczynały zbierać kolor. Otaczały nas wszystkie odcienie oranżu, złota i bladej żółci – barwy, które widywałem w filmach, ale raczej nie w prawdziwym życiu. Niektóre liście zdążyły już spaść i chrzęściły pod

naszymi stopami.

Przez jakiś czas Sadie i ja nic nie mówiliśmy, po prostu szliśmy razem przez las, krusząc liście podszwami trampek. Co chwila na nią zerkałem. Miała na sobie ten obcisły czarny sweterek i džinsy, kosmyki włosów wymykały jej się z kucyka. Była tak niska, że mogłem zajrzeć jej w dekolt – z tej perspektywy widziałem nawet malutki mostek jej różowego stanika. Przełknąłem ślinę i zmusiłem się, żeby odwrócić wzrok i pomyśleć o czymś innym, bo serce i tak trzepotało mi od kofeiny.

Las przypominał mi o koloniach, kiedy miałem trzynaście lat i wszystkiego się wstydziałem. Sadie wyglądała zupełnie inaczej. Ale ja byłem wtedy prawie trzydzieści centymetrów niższy i mogłem wsadzić sobie rodzinę między przednie zęby, więc ona chyba powiedziała by o mnie to samo. W tym momencie Sadie popatrzyła na mnie i zapytała, o czym myślę.

– O ostatnim razie, kiedy byliśmy w lesie – odparłem.

– Pół godziny temu?

– Nie, na koloniach. Grałem w badmintona ze Scottem... Z Kanady, nie z tym Scottem, który podpalał robaki.

– Miałam nadzieję, że mówisz o tym od robaków – zażartowała, a ja spojrzałem na nią z ukosa.

– Nieważne. Co chwila wybijał lotkę do lasu, a ja musiałem po nią biegać. Strasznie mnie to wkurzało. Aż któregoś dnia, kiedy jej szukałem, zobaczyłem cię w lesie, jak robisz zdjęcia.

Nie dodałem, że ten widok tak mnie zafascynował, że zdarzało mi się specjalnie nie trafić, żeby móc biec po lotkę do lasu i zobaczyć, czy Sadie tam jest.

– Nadal robię zdjęcia w lesie – powiedziała.

– Pokażesz mi?

– Lane! – Udała święte oburzenie. – Nie możesz tak po prostu poprosić,

żeby dziewczyna pokazała ci swoje zdjęcia!

– Och, przepraszam. Co ja sobie myślałem? – drażniłem się z nią.

– Wiedziałam, że się czaisz między drzewami – wyznała. – Nie byłeś specjalnie dyskretny. Wyglądałeś mniej więcej tak. – Otworzyła szeroko oczy i usta, a ja poczułem, że twarz zalewa mi fala gorąca.

– Skoro mnie widziałaś, to dlaczego nic nie powiedziałaś?

– A ty? Dlaczego? – odbiła piłeczkę.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem ochoty się przyznawać, że jako trzynastoletni dzieciak po prostu śmiertelnie bałem się dziewczyn. Znęcały się nade mną, paradując w tych swoich mokrych kostiumach kąpielowych, ze spletanymi włosami i długimi opalonymi nogami, jak jakieś magiczne stworzenia. Żadne szorty nie były dostatecznie workowate. No i oczywiście żadna z tych dziewczyn nie paradowała po plaży w moim kierunku. Byłem niski. I miałem aparat na zębach.

W lesie zaczęło się przeredzać, a kiedy miałem wrażenie, że okolica już prawie przypomina cywilizację, Sadie rozpięła plecak i wyjęła długopis.

– Jaki masz wewnętrzny? – zapytała, a ja popatrzyłem na nią tępo. – Na telefon w pokoju.

– Eee, 8803?

– Zapiszesz? – podała mi długopis i wyciągnęła rękę.

Przytrzymałem ją i najdelikatniej, jak potrafiłem, napisałem numer na wierzchu jej dłoni. Uśmiechnęła się do mnie, po czym chwyciła moją rękę i zapisała na niej swój numer. Przyjrzałem się czterem zgrabnym cyferkom i miałem wrażenie, że Sadie dała mi coś więcej niż tylko swój numer.

Aż wtem znaleźliśmy się za szkołą, w tym samym miejscu, z którego ich czwórka wymknęła się spomiędzy drzew mojego pierwszego dnia, kiedy obserwowałem ich z okna. Tylko że tym razem nie patrzyłem z oddali. Byłem tu razem z nimi, stałem się częścią ich paczki. Częścią tego

wszystkiego.

Teren szkoły wyglądał tak samo jak zawsze. Spokojnie, malowniczo i jakby poza czasem. Oto miejsce, w którym nie było sensu korzystać z technologii – i które istniało, o ironio, właśnie dlatego, że żadna technologia nie okazała się dość zaawansowana, żeby nas wyleczyć.

Wyglądało na to, że kompletnie nikt nie zauważył naszej nieobecności. Naprawdę to zrobiliśmy. Upiekła się nam wyprawa do miasta. Do Starbucksa.

– Lane? – zagadnęła ostrożnie Sadie.

Uśmiechnęła się do mnie i założyła luźne pasemka włosów za uszy.

– No?

– Dzisiaj wszyscy opuszczamy zdrowotne.

– Och. – Spodziewałem się, że powie coś innego. – A jak się opuszcza zdrowotne?

– Normalnie. Po prostu nie idziesz.

– Chyba dam sobie z tym radę – oceniłem.

A potem poszedłem do pokoju i położyłem się na łóżku z powieścią P. G. Wodehouse'a, którą wypożyczyłem z biblioteki. Próbowałem się skoncentrować na książce, ale co chwila ją zamykałem, żeby popatrzeć na numer Sadie, wypisany na wierzchu mojej dłoni. Jeszcze czułem to podekscytowanie, które wezbrało we mnie, kiedy Sadie trzymała moją rękę w swojej, żeby zapisać cyfry. Gapiłem się więc na nie z szerokim uśmiechem, a przez otwarte okno sączyła się piosenka z *Copsów*.

Było piątkowe popołudnie. Według rozkładu miałem właśnie chodzić w kółko po boisku w sportowych szortach i tenisówkach, ale zamiast tego leżałem w łóżku z książką. I nic sobie z tego nie robiłem. Może zawdzięczałem to tylko zastrzykowi kofeiny, ale od tygodni nie czułem się tak dobrze. Jakbym mógł biegać wokół boiska, zamiast maszerować.

ROZDZIAŁ 12

SADIE

Po raz pierwszy Lane zadzwonił do mnie w sobotę wieczorem, zaraz przed ciszą nocną. Wcześniej byłam w domu chłopaków, gdzie obejrzelśmy *Narzeczoną dla księcia* po tym, jak Nick się zbuntował i zażądał czegoś, co nie będzie (a) animacją albo (b) po japońsku z napisami.

Właśnie wróciłam spod prysznic i przebierałam się w piżamę, kiedy zadzwonił telefon. Aż podskoczyłam, rzuciłam się do biurka i podniosłam słuchawkę, zaplątując sobie przy tym kabel w koszulkę.

– Halo? – powiedziałam, spodziewając się, że to moja mama albo może siostra.

– Eee, hej. – Po drugiej stronie rozległ się chłopięcy głos, głęboki i niepewny.

Pomyślałam, że to chyba pomyłka. Raz zdarzyło się, że przypadkiem zadzwonił do mnie tata Genevieve, bo jej wewnętrzny różnił się od mojego tylko jedną cyfrą.

Milczałam, czekając, aż powie, czego ode mnie chce. W końcu bąknął:

– Sadie?

– Lane?

– Tak, *sorry*. Zapomniałem, że na tych telefonach nie można sprawdzić, kto dzwoni.

Pierwszy raz w życiu odebrałam telefon od chłopaka. No dobra, w gimnazjum zadzwonił do mnie Vijay Chandra, bo musieliśmy razem przygotować prezentację o cyklu hydrologicznym, więc chciał się ze mną spotkać w weekend, żeby poćwiczyć. Czasami ktoś wysyłał mi esemesa albo wiadomość na Facebooku, ale nigdy żaden chłopak do mnie nie zadzwonił. A już na pewno nie w nocy, choć to było dość smutne, że 20.55 wydawała mi się późną porą.

– Witamy w średniowieczu – odparłam. – Tu dzwonek telefonu zawsze jest owiany tajemnicą.

Usiadłam na krawędzi łóżka i wyjrzałam przez okno. Na zewnątrz widać było tylko las, co zawsze mi się podobało, ale teraz żałowałam, że mój pokój nie jest po tej samej stronie korytarza co sypialnia Mariny, bo stamtąd mogłabym zobaczyć dom Lane’a.

– No... – zachęciłam.

– No więc... – zaczął Lane. – Właśnie dzwonili do mnie rodzice i tak jakby przydałaby mi się teraz normalna rozmowa. Mam nadzieję, że to nie kłopot.

Rozumiałam, co ma na myśli. Było coś okropnego w tym, jak moja mama pytała, co słyszc – jakby to nie była zwykła uprzejmość. Jakby naprawdę bała się odpowiedzi.

– Żaden problem – zapewniłam. – Jedna normalna rozmowa. To ja zacznę. Eee... Widziałeś już ten nowy film?

Na chwilę zapadła cisza, ale po kilku sekundach niemal usłyszałam, jak Lane uśmiecha się szeroko do telefonu.

– No, wczoraj, poszedłem do IMAX-a. Szkoda kasy, kompletnie

przereklamowany. A oglądałaś już ten filmik ze zwierzątkami, które zachowują się jak ludzie?

– Dopiero się o tym dowiedziałeś? Z pięćdziesiąt osób wrzuciło to wczoraj na fejsa. Czekał, ktoś właśnie do mnie napisał.

– Spoko, i tak muszę otworzyć historię na Snapchacie.

Oboje zanosiliśmy się śmiechem.

– Proszę bardzo – powiedziałam. – Normalna rozmowa.

– To było super. Dziękuję.

Lane zachichotał, a potem zaczął kaszleć – chyba w rękaw, jakby sądził, że dzięki temu nie usłyszę.

Niedługo miała zajrzeć do mnie pielęgniarka, więc schowałam słuchawkę za poduszkę. Potem weszłam do łóżka, trzymając telefon pod pachą.

– Już prawie cisza nocna – powiedziałam.

– Rzeczywiście, przepraszam. Może lepiej...

– Nie, chcę jeszcze porozmawiać. Weź telefon do łóżka. Przelecimy im pod radarem.

– Czekał – odparł, po czym po drugiej stronie rozległo się dużo stukania i jakieś mamrotanie.

Schowałam się pod kołdrę, próbując sprawiać wrażenie niewiniątka. Słyszałam pielęgniarkę w korytarzu – zbliżała się do mojego pokoju.

– Okej, gotowe – oznajmił Lane z dumą.

– Wow, piątka z wykrzyknikiem.

Wtem do drzwi zapukała siostra Blanca i jak zwykle bezceremonialnie wparowała do pokoju. Wepchnęłam telefon pod pościel i udawałam gotową do snu, a ona stanęła nade mną i otworzyła na tablecie plik z moimi danymi z sensora.

– Troszkę podwyższone tętno, skarbenku – oceniła.

Niech to szlag, Lane. Nie chciałam, żeby pielęgniarka podała mi leki, więc trzeba było prędko wymyślić jakąś wymówkę.

– Miałam wielkiego pająka w pokoju. Był straszny. Ale zatłukłam go klapkiem – wyjaśniłam, wskazując w stronę szafy z takim przekonaniem, że na sekundę sama w to uwierzyłam.

– Dobra robota, skarbie. Miłych snów.

I zgasiła światło.

Odczekałam, aż wejdzie do pokoju Natalie, tak na wszelki wypadek.

– Okej – wyszeptałam do słuchawki. – Już jestem.

– O co chodziło z tym pająkiem?

– Eee – zająknęłam się.

– Och, czekaj, pielęgniarka. – Urwał i chyba zakrył odbiornik dłonią, bo przez jakąś minutę nic nie słyszałam, a potem znów wrócił na linię. – Dwa razy prawie się przypadkiem rozłączyłem – poinformował. – Te telefony są idiotyczne.

– No, ale kiedyś pewnie znów będą modne – pocieszyłam go. – Po prostu wyprzedzamy trendy.

– Uch, pewnie masz rację. Za dwadzieścia lat wszyscy hipsterzy będą mieli telefony stacjonarne. Albo takie z tarczą, jak z czarno-białych filmów.

– A wszystkie dziewczyny będą nosić legginsy retro i narzekać, że urodziły się w niewłaściwej dekadzie – dodałam, zwijając się w kłębek pod kołdrą.

Na zewnątrz panował chłód, ale nocne powietrze było przyjemne. Świeże. Jakby każdy oddech pomagał naprawić wszystko, co było nie tak z moim ciałem. Zza okna dobiegały szelest liści i świergotanie owadów. Byłam ciekawa, czy któryś z nich prowadzi z drugim rozmowę równie wspaniałą jak moja, po ciemku, przez telefon, z tym cudownie dziwnym chłopakiem.

– Każdy uważa, że urodził się w niewłaściwej epoce – zauważył Lane. – Jak w tym filmie, *O północy w Paryżu*.

– Lubisz Woody’ego Allena? – spytałam, przyjemnie zaskoczona.

Przez kolejną godzinę szeptaliśmy o filmach, książkach i muzyce, aż powieki zaczęły mi ciążyć.

Usłyszałam, jak Lane ziewa do słuchawki.

– Przepraszam – wymruczał. – Intensywne popołudnie.

– Ja też już zasypiam – odparłam. – Chyba czas...

– Czekaj. Zanim się rozłączysz, powiedz jakieś słowo, a ja spróbuję mieć o tym sen.

Miałam ochotę powiedzieć „ja”. Niech ja ci się przyśnię. Że jesteśmy w kawiarni, na prawdziwej randce, mam na sobie śliczną sukienkę, a ty któraś ze swoich koszul z podwiniętymi rękawami, każde z nas ma książkę, ale nie możemy przestać uśmiechać się do siebie znad filiżanek cappuccino, a potem zamiast odwieźć mnie do domu, zabierasz mnie do parku i bawimy się na huśtawkach jak małe dzieci.

– Kawa. – To jako pierwsze przyszło mi na myśl.

– Nie powinienem mieć z tym problemu, biorąc pod uwagę, jak bardzo kocham kawę.

– Nic dziwnego, w końcu to gorący towar.

– To było okropne. – Lane się roześmiał. – Naprawdę. Rozłączam się.

– Okej.

Ale nie odłożył słuchawki.

– A tobie niech się przyśnią... hmmm... – Zamilkł na chwilę, żeby się zastanowić. – Małe pieski?

– A to niby dlaczego?

– Nie wiem! – odparł defensywnie. – Myślałem, że dziewczyny lubią

małe pieski. No to po prostu niech ci się przyśni coś fajnego.

– Da się zrobić – obiecałam.

Od tamtej pory Lane dzwonił do mnie każdego wieczora.

W środę przy śniadaniu Marina wyglądała okropnie. Dotarła do stolika jako ostatnia i nie odezwała się ani słowem. Po prostu wpatrywała się nienawistnie w swoją owsiankę, jakby w misce znajdowało się źródło wszystkich problemów we wszechświecie, a ona zdążyła już zjeść całą łyżkę, zanim ktokolwiek zdążył ją uprzedzić.

– Co jest grane? – zapytałam z nadzieją, że to nie to, co myślę.

Zwykle Marina widywała się z doktorem Baronsem we wtorki po południu, ale wczoraj przy obiedzie wszystko było z nią w porządku.

– No, skąd ta grobowa mina? – dodał Nick, wpychając sobie do ust wielką porcję naleśnika.

Kopnęłam go pod stołem, a on się skrzywił i natychmiast odwdzieczył kopniakiem. Daję słowo, czasami Nick kompletnie nie ma wyczucia. Zwłaszcza że w Latham, cóż, złe wieści miały dość szczególny charakter.

– Wczoraj zadzwonił do mnie Amit – wymamrotała Marina.

To była ostatnia rzecz, jaką spodziewałam się od niej usłyszeć.

– Czekał, że co? – Zapowietrzyłam się. – A ty odebrałaś?

– Och, przepraszam, zapomniałam sprawdzić na wyświetlaczu, kto dzwoni. – Marina przewróciła oczami ze zniecierpliwieniem, znów przypominając mi o naszych starożytnych telefonach.

– Jaki Amit? – zapytał zdezorientowany Lane.

– Mój były – wyjaśniła Marina. – Wrócił z Latham do domu i postanowił mnie rzucić metodą całkowitego zerwania kontaktu. Nieważne. W końcu zadzwonił. Bez przerwy powtarzał, że nie ma z kim porozmawiać,

i przepraszał, że zawraca mi głowę.

– Proszę, powiedz, że się rozłączyłaś – wtrąciłam.

Marina westchnęła.

– Nie, bo to by oznaczało, że jakoś się rozwinęłam przez ten czas. Poprosiłam, żeby mi wszystko powiedział.

– No nie! – jęknęłam.

– Brzmiał okropnie – wyznała. – Jakby był naprawdę zrozpaczony. Chyba płakał albo miał jakieś załamanie nerwowe.

– A co go tak załamało? Że mu się poprawiło i wrócił do domu? – zapytał Nick niezbyt przyjemnym tonem.

Marina potrząsnęła głową. A potem opowiedziała, jak dla Amita wyglądał powrót. Że rodzice tygodniami skakali wokół niego, jakby był inwalidą, i nie pozwalali mu wychodzić z domu. A kiedy w końcu wrócił do szkoły, wszyscy byli przerażeni, że mu się pogorszy i będzie zarażać.

– Zaczęli mówić na niego „Zaraza” i zniszczyli jego szafkę w szatni. Gdy siada na stołówce, wszyscy wstają i zmieniają stolik. Ponoć wielu rodziców było oburzonych, że przyjęto go z powrotem, a wczoraj kilku chłopaków się na niego rzuciło i zagroziło, że ma się więcej nie pokazywać w szkole, bo inaczej zobaczy.

– Co zobaczy? – zapytał sceptycznie Nick.

– Tak powiedział. – Marina wzruszyła ramionami. – Nie wiem, może w jego szkole mieli dużo zachorowań, dlatego tak panikują.

Słuchałam opowieści Mariny z coraz większym przerażeniem. Nick wyglądał na równie zszokowanego, a Lane kręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć, że takie rzeczy naprawdę są możliwe. Ale ja uwierzyłam bez trudu. Wiedziałam aż nazbyt dobrze, jak okrutne mogą być dzieciaki, jak niestrudzenie potrafią się nad tobą znęcać i prześladować tak długo, aż będziesz mieć pewność, że już nikt nigdy się z tobą nie zaprzyjaźni.

– Może – zgodził się Charlie. – To chyba nie może być aż tak złe, nie? No wiecie, powrót do zdrowia?

– U mnie to w ogóle tak nie wyglądało – powiedział Lane. – Nigdy nie poznałem nikogo, kto był chory.

– No ale wystarczy jedna osoba, która wetknie kij w mrowisko, i nagle wybucha panika – wtrącił Nick. – Jeśli mi nie wierzysz, to popatrz na historię cywilizacji.

– *Gra o tron* to nie historia – odgryzłam się, a Marina prychnęła śmiechem.

– Najdziwniejsze, że Amit żałował, że w ogóle wyszedł z Latham – ciągnęła. – W kółko powtarzał, że w domu nie ma żadnych przyjaciół, że jest kompletnie sam. Tutaj przynajmniej czuł, że ma swoje miejsce. Tutaj miał życie.

– Trochę życia – poprawił Charlie z kamienną twarzą.

– Dziewczyna, przyjaciele, własny pokój, żadnej pracy domowej i zero obowiązków? – Marina się roześmiała. – No, to całkiem niezłe życie.

– Cóż, nie wszyscy tak mamy – powiedział Nick, patrząc na mnie niemal oskarżycielskim wzrokiem.

ROZDZIAŁ 13

LANE

Przez cały tamten tydzień co noc śniła mi się Sadie. Czasami byliśmy w lesie, a ona robiła zdjęcia potwora, którego nie mogłem zobaczyć.

– Nikt nam nie uwierzy – mówiła, podchodząc coraz bliżej, a ja krzyczałem, żeby uciekała razem ze mną, choć Sadie zapewniała, że potwór nie zrobi nam krzywdy.

Czasami leżeliśmy na łące pełnej kwiatów, a Sadie trzymała mnie za rękę, która była cała pokryta cyframi.

– Chodź, Lane, skaczemy – namawiała i wtem okazywało się, że stoimy na skraju stromego klifu.

Ze zgrozą patrzyłem, jak Sadie, chichocząc, rzuca się ze skały. Ale zamiast spaść, spływała łagodnie na sam dół, jakby podtrzymywał ją niewidzialny spadochron. Skakałem więc za nią, ale okazywało się, że nic mnie nie trzyma.

Za każdym razem budziłem się zlany potem, zwinięty w kłębek z telefonem przyciśniętym do brzucha. I za każdym razem z ulgą rozglądałem się po swoim pokoju, przekonany, że obudziłem się z koszmaru.

W czwartek po południu wszyscy byliśmy w bibliotece i korzystaliśmy z internetu dzięki sztuczce z routerem. Marina siedziała przy komputerze, a Nick i Charlie przy stolikach na tyłach biblioteki. Sadie i ja schowaliśmy się między regałami i przycupnęliśmy na podłodze, oparci plecami o encyklopedie. Jej włosy były wilgotne po prysznicu i zebrane w węzeł. Pachniały cudownie: miętą, pomarańczą i starymi książkami, choć to ostatnie było chyba po prostu zasługą biblioteki.

Oboje mieliśmy ze sobą laptopy – takie same macbooki, z jakich korzystali prawie wszyscy w szkole. Jej był cały porysowany i miał powyginaną obudowę, jakby przetrwał nalot bombowy. Ja swój trzymałem w obudowie ochronnej i miałem silikonową nakładkę na klawiaturę, żeby nic się nie porysowało. Kiedy Sadie go zobaczyła, roześmiała się i zapytała, dlaczego trzymam komputer w kondomie. Wystarczyło, że usłyszałem, jak wypowiada słowo „kondom”, by moje myśli poszybowały ku najróżniejszym nieprzyzwoitym scenariuszom, więc trudno było mi się teraz skoncentrować.

Siedziała tak blisko mnie, że czasami podczas pisania ocierała się o mnie łokciem. Miałem ochotę się nachylić i ją pocałować. Chciałem to zrobić już od kilku dni, może nawet od dłuższego czasu, ale obawiałem się, że wszystko popsuję, i nie wiedziałem, od czego zacząć.

Zerknąłem na jej ekran, na wypadek gdyby znalazła coś interesującego, ale ona tylko przewijała zdjęcia ładnych ludzi pozujących w ładnych miejscach z balonikami, babeczkami i różnymi takimi. Ja przeglądałem stronę Stanfordu.

Doktor Barons stwierdził, że moje wyniki są lepsze niż wcześniej, a rentgen płuc pokazał pewną poprawę, więc okazało się, że brak pracy domowej oraz drzemki i dziewięć godzin snu rzeczywiście przynoszą rezultaty. Mimo to lekarz nadal nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, kiedy – albo czy w ogóle – będę mógł wrócić do domu. „Jak tylko będziesz

w lepszym stanie”, oznajmił z tym swoim kabotyńskim uśmieszkiem, jakby nie rozumiał, dokąd tak mi się spieszy, i zapomniał, że moje materiały do egzaminów nadal leżą zamknięte na klucz w jakiejś sekretnej szufladzie w jego gabinecie.

Na stronie Stanfordu umieszczono informacje o terminach składania podań. Wczesny tryb rekrutacji już dobiegał końca, więc wiedziałem, że go przegapię, ale zwykły nabór kończył się w styczniu. Gdybym wyszedł z Latham za trzy miesiące, rzutem na taśmę zdążyłbym złożyć podanie przed zamknięciem rekrutacji. Ale czy zostanę przyjęty – z nazwiskiem i numerem PESEL w krajowej bazie nosicieli hipergruźlicy – to już była zupełnie inna historia. Nie miałem złudzeń – byłem pewien, że władze Stanfordu nie będą ryzykować zakwaterowania mnie w akademiku z innym studentem, nawet jeśli doktor Barons potwierdziłby, że moja gruźlica jest w uśpieniu, bo zawsze istniała możliwość nawrotu. Próbowałem wybadać Baronsa, dowiedzieć się, jak inni podopieczni Latham radzą sobie ze studiami po wyjściu z ośrodka. On jednak tylko posłał mi ostre spojrzenie i zalecił „skoncentrować się na tu i teraz”, a ja miałem ochotę udusić go jego własnym stetoskopem.

Koncentrowałem się na tu i teraz. Ale to nie znaczyło, że nie mogę się zastanawiać nad przyszłością.

Sadie wychyliła się ku mnie i zapytała, co robię, więc odwróciłem ekran, żeby pokazać jej zdjęcie kampusu.

– Ładny – oceniła.

– No – zgodziłem się smętnie, po czym przełączyłem na Facebooka, żeby oderwać się od obsesyjnych myśli o studiach, bo okazało się to niezbyt dobrym pomysłem.

Lawina życzeń powrotu do zdrowia ustała. Zero powiadomień. Moje konto wyglądało na tak opustoszałe i zapomniane, że zacząłem się

zastanawiać, jakim cudem przegapiłem własny pogrzeb. W ostatni weekend odbył się bal zeszłorocznych absolwentów, więc aktualności miałem wypchane zdjęciami. Grupowe selfie z limuzyn, wszyscy w garniturach i sukienkach, zrobione z góry fotografie stóp w tenisówkach ustawionych w kolorowym wianuszkach.

Nigdy nie chodziłem na bale absolwentów. Zawsze odbywały się w weekend przed pierwszymi ważnymi sprawdzianami w semestrze – a nawet gdybym mógł iść, nie miałbym jaj, żeby zaprosić jakąś dziewczynę. W końcu pierwsze pytanie, jakie bym usłyszał, to czy mój tata będzie nas pilnować z innymi nauczycielami. Nie wiedziałbym, czy zostałem szczerze spławiony, czy po prostu nikt nie chce iść na bal z synem pana Rosena od historii. Kiedy Hannah się mną zainteresowała, to zakrawało na prawdziwy cud. Przeniosła się do naszej szkoły w połowie liceum i jakoś nie zdążyła się zorientować, że mój tata ma opinię potwora z bagien. W tym roku miała iść ze mną na bal, dając mi pierwszą i ostatnią szansę na przeżycie czegoś razem ze wszystkimi.

Szansa jednak bezpowrotnie przepadła. Ominęły mnie wszystkie bale. Nie sądziłem, że sprawi mi to przykrość, ale teraz, kiedy było już po wszystkim, trochę mnie to zabolalo. Na zdjęciach wszyscy wyglądali, jakby świetnie się bawili. Gdybym mógł cofnąć czas, po prostu zaprosiłbym jakąś dziewczynę. Przewinałem jeszcze trochę zdjęć, na których wszyscy stali ustawieni na podjazdach przed swoimi domami albo pozowali na tylnych siedzeniach limuzyn, aż nagle zamarłem.

Zobaczyłem zdjęcie Hannah z Parkerem Nguyenem. Włosy miała ułożone w eleganckie loki, a Parker włożył okulary przeciwsłoneczne, mimo że na dworze było już ciemno. Byli na balu, za nimi wisiał transparent z papieru pakowego, w oddali majaczyły ławki sali gimnastycznej.

Ale nie na to się gapiłem. Moją uwagę przykuła informacja nad zdjęciem:

„Hannah Chung jest w związku z Parker Nguyen”. I zdążyła już zarobić mnóstwo lajków. Pod zdjęciem piętrzyły się komentarze napisane przez ludzi, z którymi siedziałem na lunchu albo konkurowałem w symulacjach obrad ONZ. „Nareszcie!” i „Tyle wygrać!”.

Jeśli oni wygrali, to chyba oznaczało, że ja coś przegrałem.

Zamknąłem oczy i odetchnąłem głęboko, nie chcąc brać tego do siebie. Co mnie obchodziło, z kim spotyka się Hannah? Znałem trochę Parkera z symulacji obrad ONZ. Bywał nieco bucowaty, ale zazwyczaj raczej w porządku. Na konferencjach zawsze miał na sobie czarną koszulę i czerwony krawat, bo czerwony to kolor władzy. Zawsze opowiadał różne takie bzdety: jak korzystanie z długopisu zamiast z ołówka na teście pomaga sprawiać wrażenie pewniejszego siebie albo że uczelnie będą traktować cię poważniej, jeśli pojedziesz na rozmowę kwalifikacyjną na ich kampus, zamiast iść na spotkanie organizowane w twojej okolicy.

– Ej – zagadnęła Sadie. – Co jest? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Raczej jakbym się w niego zmienił, pomyślałem. W Latham wszyscy byliśmy duchami, nawiedzającymi swoje dawne życie, które już nie należało do nas. Ale nie powiedziałem tego głośno. Wzruszyłem tylko ramionami i odwróciłem ekran w stronę Sadie, żeby pokazać jej fotografię uśmiechniętej, szczęśliwej, idealnej pary rozpoczynającej właśnie szczęśliwy, idealny rok w klasie maturalnej.

– Czekaj – powiedziała. – Czy to jest ta Hannah? Twoja była?

– We własnej osobie.

Przekonywałem siebie, że to nieważne. Że liceum nigdy nie miało dla mnie takiego znaczenia, że Hannah mnie nie obchodzi, że żadna z tych rzeczy już się nie liczy. Zaczął się październik, byłem w Latham i nie miałem nic wspólnego ze swoimi dawnymi znajomymi ze szkoły ani z tym, co wypisywali na Facebooku.

Teraz miałem ważniejsze sprawy na głowie. Sprawy, jakimi nie powinien się martwić siedemnastolatek: badania krwi, prześwietlenia, pakiety ubezpieczeniowe moich rodziców i deklaracje o zgodzie na niepodejmowanie reanimacji, które podpisaliśmy w gabinecie doktora Baronsa, zanim otrzymałem opaskę sensoryczną i zostałem pozbawiony wszystkiego, co było w jakikolwiek sposób połączone z moim dawnym życiem. A teraz było już za późno na cokolwiek innego niż ponury marsz naprzód i nadzieję.

– Wszystko w porządku – zapewniłem, głównie po to, żeby przekonać samego siebie. – Hannah może robić, co jej się podoba. Po prostu nie sądziłem, że tak łatwo można mnie wymazać z mojego dawnego życia.

Westchnąłem. Sadie położyła mi dłoń na ramieniu.

– Żeby to chociaż było jakieś fajne życie – ciągnąłem. – Nie robiłem nic poza nauką i nawet kiedy miałem dziewczynę, w kółko chodziliśmy odrabiać lekcje do Barnes & Noble albo jeździliśmy na konferencje symulacji obrad ONZ. Wiedziałem, że inni mają imprezy, bale i wycieczki na plaże, różne takie, ale uważałem, że to głupie, bo kiedy tylko pójdziemy na studia, całe liceum zostanie wymazane z historii. Tylko że teraz to ja zostałem wymazany. A może nawet nie, bo żeby zostać wymazanym, trzeba najpierw zostawić po sobie jakiś ślad.

Gapiałem się smętnie w ekran, a Sadie przysunęła się jeszcze bliżej i oparła głowę na moim ramieniu.

– Nie zostałeś wymazany – powiedziała. – To by oznaczało, że zniknąłeś. Ty zostałeś raczej... poddany przymusowej eksmisji ze swojego dawnego życia. Nadal zostawiasz po sobie ślad, po prostu robisz to gdzie indziej.

– Poddany przymusowej eksmisji – powtórzyłem, żeby sprawdzić, jak to zabrzmiałoby.

– Właśnie – przytaknęła Sadie. – A teraz jesteś tutaj, ze mną w bibliotece.

– Ta część mi się podoba.

Naprawdę mi się podobało i próbowałem zebrać się na odwagę, żeby jej to wyznać.

Ale zanim zdążyłem się przełamać, podszedł do nas Charlie, żeby zobaczyć, co porabiamy.

– Internet się skończył – oznajmił. – A wy co się tak tulicie?

– Nie ma zakazu – odcięła się Sadie.

– To prawda, ale dlaczego wyglądacie przy tym na takich nieszczęśliwych?

– Lane jest zdołowany przez Facebooka.

– Przez swoją byłą – poprawiłem. – Nie przez stronę samą w sobie.

Charlie potrząsnął głową.

– Skasuj to – powiedział. – Ciągłe ci to powtarzam.

Ale nie byłem w stanie tego zrobić, mimo że nie widziałem już sensu trzymania swojego profilu przy życiu. Nikt się ze mną nie kontaktował, wszyscy po prostu starali się być na bieżąco. A kiedy już nie mogli być na bieżąco, zapominali.

Marzyłem, żeby cofnąć czas i wszystko zmienić. Popołudnia przesiedziane w domu, gdy zastanawiałem się, co robią inni, ale nie miałem odwagi zapytać. Niezliczone noce, gdy zasypiałem z głową na biurku. Basen, który mijałem codziennie przez lata, ale nigdy nie zatrzymałem się, żeby popływać. Powroty prosto do domu po zajęciach w college’u, bo nigdy nie przyszło mi do głowy pojeździć trochę po okolicy i przekonać się, dokąd mnie to zaprowadzi.

Może to właśnie Sadie właściwie korzystała z internetu, spędzając czas na przewijaniu fantazji o niemożliwie pięknych ludziach na piknikach pod wieżą Eiffla, zamiast przeglądać kroniki osób, które kiedyś znała, i patrzeć jak dobrze się bawią bez niej. A może po prostu było mi przykro, że moje życie okazało się takie nieznaczące i żalosne. Marzyłem, żeby cofnąć czas.

Dotarło do mnie, że nie miałem życia – tylko plan na życie. I nie chodziło o to, że nadal pragnąłem tych wszystkich rzeczy – letnich praktyk zawodowych, studiów magisterskich – po prostu nie byłem pewien, czy właściwie się do nich zabrałem. Jeśli wszyscy ludzie na studiach zamkną się w swoich pokojach i będą co wieczór zakuwać, to po co w ogóle mielibyśmy tam siedzieć. To przypominało mi Latham: czasami nie chodzi o to, żeby być najlepszym, bo to wcale nie oznacza, że ma się najlepsze życie, najlepszych przyjaciół, najlepsze doświadczenia.

Nie chciałem spędzić kolejnych sześciu lat, zasypiając na biurku ze słuchawkami na uszach, żeby zagłuszyć zabawę, w której nie będę brać udziału. Nie chciałem pędzić przez wszystkie chwile, za którymi zatęsknię, kiedy już będzie za późno. Widziałem, jak moja przyszłość się zawęża, jak wypadają z niej takie elementy jak mecze piłki nożnej i szkolne imprezy, aż pozostaje tylko jeden rodzaj zajęć pozalekcyjnych: starać się nie umrzeć. A nawet jeśli droga już przestała się zwężać, i tak nigdy nie będzie znów tak szeroka jak kiedyś. Zrozumiałem, że nie odzyskam swojego dawnego życia – a nawet gdybym dostał taką szansę, chyba nie byłbym zainteresowany. Nie wiedziałem już, czego chcę, poza tym, żeby co wieczór zasypiać, słuchając głosu Sadie w słuchawce – w Latham i kiedy oboje wrócimy do domu.

– Mam pomysł – oznajmiła Sadie, odkładając kanapkę.

Siedzieliśmy na piątkowym lunchu i wszyscy jedliśmy zapiekanki z serem, poza Nickiem, który pokroił swoją w paseczki i układał je teraz w mozaikę na talerzu.

– Nie chcę cię rozczarować, ale sarkazm ktoś już wynalazł, nie będziesz pierwsza – oznajmił, uśmiechając się złośliwie do swojej zdekonstruowanej kanapki.

Sadie posłała mu spojrzenie pełne irytacji. Zauważyłem, że ostatnio

zdarzało im się to coraz częściej. Nick bez przerwy chodził zły jak osa, zwłaszcza w obecności nas dwojga.

– Skończyłeś już? – Westchnęła. – No, w każdym razie pomyślałam sobie, że powinniśmy iść na wieczór filmowy.

Charlie rysował coś w notesie, ale kiedy to usłyszał, natychmiast podniósł głowę.

– Przecież nigdy nie chodzimy na wieczory filmowe – powiedział podejrzliwym tonem.

– Zdaję sobie z tego sprawę – zgodziła się Sadie.

– Więc dlaczego tym razem mielibyśmy iść? – zapytała Marina.

– Otóż to! – odparła Sadie. – Właśnie takie pytanie powinniście wszyscy zadać. Po co mielibyśmy wybierać się na jakąś frajerską imprezę w piżamach, z nauczycielami, na sali gimnastycznej, w towarzystwie zdrowych przekąsek i właściwie wszystkich ludzi, których serdecznie nie znosimy?

– Już prawie mnie przekonałaś – oznajmiłem, mieszając swoją zupę.

Dziś była pomidorówka, ale nawet po wpakowaniu do talerza połowy zapiekanki z serem nie dało się jej jeść. Byłem prawie pewien, że to po prostu rozwodniony sos do spaghetti.

– Mój plan jest tak doskonały, że nie trzeba do niego przekonywać – oznajmiła Sadie. – Otóż... zamiast w piżamach jak cała reszta przyjdziemy elegancko ubrani. Mówię o krawatach, chłopcy.

Sadie odchyliła się na krześle z triumfalnym uśmiechem.

– Elegancko? – Nick się zamyślił. – A moglibyśmy się napić?

– Jeśli masz coś do picia, to moglibyśmy – przytaknęła Sadie.

– Więc... to byłby taki Dzień Galowy – powiedziałem, a reszta posłała mi puste spojrzenia. – Serio? Tylko ja jestem z Kalifornii? Raz w roku jest

taki dzień, w którym wszyscy ubierają się na galowo i jadą do Disneylandu. Wszyscy to robią.

Prawdę mówiąc, wiedziałem o tym tylko dlatego, że oglądałem zdjęcia znajomych z klasy, którzy jeździli beze mnie.

– Ekstra – oceniła Sadie. – No to dziś robimy sobie Dzień Galowy.

– To nie może być Dzień Galowy, skoro film jest wieczorem – zaprotestował Nick.

Sadie pokazała mu język.

– W kalendarzu każdy dzień trwa dwadzieścia cztery godziny, więc może – oznajmiła. – A teraz się zamknij i pomyśl, w co się ubierzesz.

Po lunchu Charlie postanowił zabarykadować się w swoim pokoju, a kiedy Nick i ja próbowaliśmy go wyciągnąć, żeby coś z nami porobił, odparł tylko, że musi popracować nad muzyką.

– On tak niekiedy ma – wyjaśnił Nick. – Za parę dni mu przejdzie i będzie nas katował nowym kawałkiem, który przez ten czas napisał.

Poszliśmy więc z Nickiem do jego pokoju, żeby pograć w grę w zabijanie wampirów, w której byłem tak słaby, że nie pomogłaby mi nawet ciężarówka czosnku. Zasugerowałem, żebyśmy zegrali w coś innego, ale Nick upierał się, że muszę po prostu załapać, o co chodzi.

– Naprawdę przebierasz się na te filmy wieczorem? – zapytał, podczas gdy jego postać ładowała kuszę.

– Jeśli wszyscy to robimy – odparłem, wzruszając ramionami.

– Po prostu zrobisz wszystko, co Sadie ci każe, nie? – powiedział wyzywająco.

– Co to niby ma znaczyć?

Na ekranie jego bohater zabił trzy wampiry za jednym zamachem.

Przypuszczałem, że korzysta z jakiegoś dodatkowego przycisku, ale nie chciałem pytać.

– Mógłbyś przebierać tu w dziewczynach, wiesz o tym – oznajmił Nick ze złością.

– Nie zastanawiałem się nad tym. – Nie wierzyłem, że Nick mówi poważnie. Ale wyglądało na to, że owszem.

– Proszę cię. Każda z tych lasek z francuskiego nasmarowałaby ci croissanta.

– Że co? Croissanta? – powtórzyłem.

– Nazywaj to sobie, jak chcesz – fuknął. – Wszystkie byłyby chętne. Ale ciebie interesuje tylko Sadie. To jest cholernie nie w porządku.

Już miałem zapytać: „Wobec kogo?”, kiedy nagle do mnie dotarło. Może Sadie uważała Nicka tylko za przyjaciela, ale z jego strony tak to nie wyglądało.

– Myślałem, że tylko się kumplujecie.

Przed odpowiedzią Nick zabił jeszcze jednego wampira.

– Jak na razie. Ze mną zawsze się tak zaczyna. To długi temat.

Obaj wiedzieliśmy, że to nieprawda.

– Rób, co chcesz – dodał Nick. – Ja tylko mówię, że są też inne opcje, z którymi miałbyś większe szanse, jeśli chcesz zaliczyć.

– Ale żadna z nich nie jest Sadie.

– Nie, żadna z nich nie jest Sadie – przyznał Nick.

Potem dopadł mnie wampir, a kiedy moja postać upadła na ziemię w drgawkach, Nick uśmiechnął się krzywo.

Nie wiedziałem, po co mama zapakowała mi krawat i wyjściową koszulę, ale to zrobiła – i na szczęście ubranie nie było zbyt wygniecione. Pomimo

zrządzenia Nick włożył tweedową kamizelkę z łańcuszkiem od zegarka. Przyłapałem go w łazience na naszym piętrze, jak gorączkowo zaczesywał włosy na pomadzie, mamrocząc coś pod nosem. Nawet Charlie dał się przekonać i przyszedł w marynarce, na szyi miał wąski szalik, a oczy pomalowane eyelinerem. Nick ocenił jego stylizację jako „smutny hołd Davidowi Bowie’mu”.

– Przynajmniej nie przebrałem się za smutny hołd ku czci profesora Slughorna – odgryzł się Charlie, a ja z trudem powstrzymałem śmiech.

Staliśmy na ganku, każdy z poduszką pod pachą i kocem w plecaku, i czekaliśmy na dziewczyny.

– A co, ktoś ma przebranie z Harry’ego Pottera? – spytała Marina, machając do nas.

– Nie wierzę, Audrey Hepburn we własnej osobie – rzucił Charlie i gwizdnął, a Marina natychmiast przybrała odpowiednią pozę.

Miała na sobie czarną sukienkę, do której dobrała długie białe rękawiczki, i wyglądała fantastycznie. Ale wtedy zobaczyłem Sadie i prawie odebrało mi dech.

Sadie przyszła w zielonej sukience jak ze starej fotografii. Włosy miała poskręcane w loki, a na nogach buty na obcasie. Przypominała modelkę z tych zdjęć, które lubiła przeglądać w internecie – zbyt doskonałą, żeby mogła być prawdziwa.

Tylko że Sadie była prawdziwa. I szła w moją stronę. Patrzyła mi w oczy, jej usta zaczęły się rozciągać w cudownym uśmiechu, a ja chyba nigdy nie widziałem równie pięknej dziewczyny.

– Wow – wykrztusiłem tylko.

Sadie w odpowiedzi trzepnęła mnie poduszką. Zamachnąłem się swoją, żeby jej oddać, ale ona zapiszczała i uciekła, błagając, żebym nie popsuł jej fryzury. W drodze na salę gimnastyczną co chwila żartobliwie unosiłem

poduszkę, ona krzyczała: „Ani mi się waź!”, a ja się odgrażałem, że zaraz jej przyłożę. Jestem pewien, że wszystkim chciało się od tego rzygać.

Nigdy dotąd nie byłem na sali gimnastycznej w Latham. Wyglądała jak w każdym normalnym liceum. Trybuny zostały odsunięte, a wszyscy siedzieli na podłodze w dresach i piżamach z poduszkami i kołdrami.

Kilka osób zmierzyło nas wzrokiem, ale Sadie zbyła to śmiechem.

– Żałują, że sami o tym nie pomyśleli – szepnęła mi do ucha.

A ja żałowałem, że mam na sobie koszulę i krawat zamiast T-shirtu, ale nic nie powiedziałem.

Rozłożyliśmy naszą pościel na samym tyle sali. Podeszła do nas jakaś pielęgniarka, której nigdy wcześniej nie widziałem, i uśmiechnęła się szeroko.

– No proszę, jak ślicznie wyglądacie – oznajmiła, po czym rozdała nam paczuszki z organicznymi owocami i kartoniki mleka czekoladowego, jakbyśmy mieli pięć lat.

Popatrzyłem z obrzydzeniem na owoce.

– Nie będzie popcornu? – zapytałem.

– Byłoby tyle kaszlu, że nie usłyszałbyś filmu – odparła Marina. – Ale zwróć uwagę na wodę.

Rzeczywiście, z rąk do rąk przechodziło podejrzenie dużo bidonów z wodą.

– Skoro już o tym mowa... – wtrącił Nick, rozpinając plecak. Wyjął ze środka naręczce kartoników z obrzydliwie zdrowym sokiem jabłkowym, który można było kupić w szkolnym sklepiku, choć nie mieściło mi się w głowie, że ktoś miałby ochotę za to płacić.

Kartonik, który podał mi Nick, wyglądał, jakby ktoś przy nim grzebał – dziurka na słomkę była zabezpieczona taśmą klejącą. Popatrzyłem na niego pytająco, a on przewrócił oczami, jakby to było jasne jak słońce.

– Zmodyfikowałem je – wyjaśnił.

Wsunąłem do środka słomkę i ostrożnie pociągnąłem łyk napoju, który okazał się sokiem jabłkowym z prądem. Z dużą ilością prądu. Nie spodziewałem się wódki, więc w pierwszej chwili się zakrztusiłem.

– Przyzwyczaisz się – pocieszył mnie Charlie ze śmiechem.

Pociągnąłem jeszcze jeden łyk. Teraz, kiedy już byłem przygotowany, napój okazał się całkiem niezły.

– Przestań się ruszać, wszystko zepsujesz – zganiła Nicka Sadie.

Miała ze sobą aparat. Bez przerwy robiła nam zdjęcia, chichocząc i co chwila pokazując wyświetlacz Marinie. Powiedziała, żebym podszedł do niej, więc tak zrobiłem.

– Uśmiech – nakazała, przysuwając twarz ku mojej. Wyciągnęła aparat przed siebie i pstryknęła zdjęcie. Potem pokazała mi je na ekranie.

Fotografia przedstawiała idealne zbliżenie na nasze twarze. Sadie uśmiechała się szeroko w swojej eleganckiej sukience, ja byłem w koszuli i w krawacie, a moje włosy choć raz w życiu dobrze wyglądały. W tle można było dostrzec skrawek ściany sali gimnastycznej, z wyblakłym proporcem z czasów, kiedy Whitley zakwalifikowało się do jakiejś międzyszkolnej ligi koszykówki. Dokładnie jak na zdjęciu Hannah, kiedy się nad tym zastanowić. Wyglądaliśmy, jakbyśmy świetnie się bawili, i moglibyśmy się znajdować gdziekolwiek. Nawet na balu absolwentów.

– Super. – Uśmiechnąłem się.

– Możesz to wrzucić na Facebooka. Żeby zacząć dokumentację nowego życia po eksmisji ze starego.

– To jest doskonałe. – Naprawdę tak myślałem.

Żart z umieszczeniem zdjęcia online był perfekcyjnie pokręcony. Wyglądaliśmy tak, jak bym tego chciał. Swoją drogą... wielu rzeczy chciałem.

– Widzisz? Dlatego kazałam się wszystkim ładnie ubrać – powiedziała, ale uśmiechała się, jakby nie mówiła poważnie, więc nie byłem pewien, jak to interpretować. – Cała ta heca to tylko wymówka, żebym mogła zrobić to zdjęcie, które tak bardzo chciałeś mieć.

Nieznajoma pielęgniarka skończyła ustawiać projektor, zgasły światła i zaczął się film. *Wolny dzień Ferrisa Buellera*. Niezły film – widziałem go już wcześniej, ale to sprawiło, że stał się jeszcze lepszy, bo nie musiałem oglądać go zbyt uważnie. Poza tym tutaj chodziło o wspólne przeżycie, a nie o gapienie się w milczeniu w ekran.

Popijaliśmy nasze soczki, w których stanowczo przeważała wódka. Zdarzyło mi się wypić parę piw na zjazdach symulacji obrad ONZ, ale nigdy nie próbowałem mocnego alkoholu. Nie spodziewałem się, że mój pierwszy raz z wódką odbędzie się na imprezie w piżamach i że będę popijać alkohol z kartonika po soku jabłkowym, siedząc w koszuli i krawacie na sali gimnastycznej, ale uznałem, że to niezła historia. Nie miałem zbyt wielu przygód w swoim dorobku, ale odniosłem wrażenie, że od przyjazdu do Latham zaczynam je kolekcjonować.

Nie byłem przyzwyczajony do alkoholu, a od wódki co chwila kaszlałem. Gdybyśmy byli gdziekolwiek poza Latham, już dawno by nas przyłapano. Ale tamtego wieczora, kiedy któreś z nas kaszlało, reszta paczki szczerzyła się z zadowoleniem, jakby to był nasz sekretny żart.

Leżałem na brzuchu z łokciami na poduszce. Na ekranie Ferris Bueller stwierdził, że jest Abe'em Fromanem, królem kiełbas z Chicago, i wszyscy się roześmiali. Pokój lekko wirował, chyba od alkoholu, i pomimo że to był tylko głupi szkolny wieczorek filmowy pełen chorych dzieciaków w piżamach, i tak uważałem to za jedną z najlepszych imprez od dawna.

Byłem z paczką przyjaciół, wykręciliśmy małego, idiotycznego psikusa i ani razu nie przyszło mi do głowy martwić się, że tracę czas na oglądanie

filmu, zamiast siedzieć w domu i się uczyć.

Mniej więcej w połowie filmu Sadie przysunęła się bliżej.

– Hej – wyszeptała.

– Hej – odparłem cicho.

– Mogę się przyłączyć? – zapytała, po czym położyła poduszkę tuż przy mojej i ułożyła się wygodnie.

Na sali gimnastycznej było ciemno, a nasza piątka siedziała sama, z daleka od reszty. Z jakiegoś powodu ta chwila z Sadie wydała mi się bardziej intymna niż podczas tych wszystkich naszych dotychczasowych seansów. Wpatrywałem się oczarowany w krzywiznę jej nagich pleców w zielonej sukience. Sadie była tak śliczna, że nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić.

Oparłem się na łokciu i patrzyłem na nią zamiast na ekran. Ona robiła to samo.

– Przykro mi, że to nie jest prawdziwy bal – powiedziała cicho.

– Nie szkodzi, za to jesteśmy na prawdziwej sali gimnastycznej.

– I mnie nie wystawiłeś.

– Nigdy bym tego nie zrobił.

Sadie uśmiechnęła się do mnie, a ja miałem wrażenie, że cały wszechświat istnieje za sprawą tego uśmiechu.

– Wiem – przytaknęła.

Po filmie poszliśmy z powrotem w stronę naszych domów.

Nick był obrażony, wypił co najmniej trzy kartoniki soku. Czułem, jak Marina kibicuje nam po cichu, kiedy szedłem obok Sadie, niosąc oba komplety pościeli. Charlie całą drogę jęczał, że przez pół filmu chciało mu się siku i że nie ma w tym nic zabawnego, więc mamy go nie rozśmieszać, chyba że chcemy być osobiście odpowiedzialni za konsekwencje w postaci

jego moczu.

Mieliśmy jeszcze dwadzieścia minut do ciszy nocnej – za krótko na cokolwiek, ale wypłem kartonik soku z wódką i byłem ubrany na galowo, więc uznałem, że wieczór i tak zdążył już zrobić się na tyle dziwny, że nie mam nad nim kontroli.

Charlie skierował się prosto do domu numer 6, a Nick za nim.

– Eee, to do jutra – oznajmiła Marina z przeciągłym ziewnięciem, po czym ruszyła do domu dziewczyn.

Zostaliśmy z Sadie sami na trawniku. Niezdarnie ścisnąłem w ramionach nasze poduszki.

– Może to odłożymy? – zaproponowała, więc rzuciłem pościel na ganek i popatrzyliśmy na siebie, nie wiedząc, co dalej.

Mijały nas grupki uczniów w piżamach. Wszyscy rozmawiali i śmiali się z podekscytowaniem podszytym zmęczeniem, i miałem wrażenie, że jesteśmy na letnich koloniach. Jakbyśmy w ogóle stamtąd nie wyjechali, tylko dorośli na obozie, w ogóle się nie widując, i dopiero teraz znów się odnaleźli.

– Masz ochotę na spacer? – zaproponowałem.

– Przechadzka po ogrodzie. – Sadie zachichotała. – Oczywiście, kawalerze, możemy pospacerować wśród klombów.

Wzięła mnie pod ramię i ruszyliśmy w stronę altany.

– Nie – oznajmiłem, zmieniając kierunek. – To smutne miejsce. Nie idziemy tam.

– W porządku. Mam lepszy pomysł.

– Ty zawsze masz lepszy pomysł – zażartowałem.

– Nie potrafię stwierdzić, czy to miał być komplement – odparła, po czym chwyciła moją dłoń i pociągnęła mnie do lasu.

Księżyc nie był jeszcze w pełni, ale świecił dostatecznie jasno, żebyśmy widzieli drogę. Od bardzo dawna nie byłem w lesie nocą. Wydawało mi się, że wszystko wokół mnie się skręca, ćwierka, brzęczy nisko i wibruje z każdej strony.

– Dokąd idziemy? – zapytałem.

– Ćśśś, podróżujemy w czasie.

Sadie schyliła się, żeby zdjąć buty, i ruszyła przodem w tej swojej zielonej sukience z obłądnie głębokim wycięciem na plecach. Jej kręgosłup majaczył blado w ciemności, kiedy ciągnęła mnie coraz głębiej w las.

– Jesteśmy – oznajmiła, zatrzymując się nagle.

– Gdzie?

– Obóz Griffith, cztery lata temu. Noc dyskoteki.

Za nią wznosiła się ogromna skała, zupełnie jak to legendarne miejsce z obozu. Roześmiałem się, widząc jej punkt odniesienia.

– Sprowadziłaś tu skałę z drugiego końca kraju? – zażartowałem.

– Owszem – przytaknęła z powagą. – Bo długo się nad tym zastanawiałam i uznałam, że skała z obozu to najbardziej romantyczne miejsce na świecie na pierwszy pocałunek.

– Cóż – odparłem. – Kimże jestem, żeby kwestionować najbardziej romantyczną na świecie, podróżującą w czasie skałę?

Byłem oszołomiony własnym szczęściem i tą niewiarygodnie cudowną dziewczyną, która patrzyła mi w oczy przy świetle księżyca. A potem Sadie zrobiła krok w przód, jej wargi znalazły moje i już nic się nie liczyło. Ani to, że jesteśmy chorzy i może nigdy nie wyzdrowiejemy, ani to, że tak wiele nas ominęło i że jeszcze więcej ominie nas w przyszłości, ani to, że opaska na jej nadgarstku nie była studniówkową ozdobą, tylko urządzeniem do monitoringu.

Cały świat się rozpląnął i zostaliśmy tylko my dwoje, las i nasze usta

złączone w pocałunku, którego szukaliśmy, odkąd mieliśmy po trzynaście lat.

– No – powiedziała Sadie.

– No – bąknąłem.

– Chyba mam teraz twoją gruźlicę – zażartowała.

– A ja twój pierwszy pocałunek.

– Trochę ci to zajęło – prychnęła Sadie, po czym przygryzła wargę i podniosła wzrok. – Mam dla ciebie też drugi, ale będzie musiał poczekać, bo inaczej nie zdążymy przed ciszą nocną.

I chociaż mógłbym zostać tam na zawsze, Sadie wzięła mnie za rękę i szybkim krokiem wróciliśmy przez las ku łagodnym, ciepłym światłom kampusu.

ROZDZIAŁ 14

SADIE

Po powrocie z lasu nie mogłam zasnąć. Leżałam z otwartymi oczami pod zbyt ciepłą kołdrą, a całe moje ciało jeszcze lekko wibrowało na wspomnienie pocałunku. Prawie czułam dotyk jego ust, jego dłonie na swoich plecach, zapach jego mydła i to, że odrobinę smakował jabłkami.

Nie obchodziło mnie, ile razy obiecywałam, że będę się trzymać daleko od chłopców z Latham, ani jak ostentacyjnie przewracałam oczami za każdym razem, kiedy inne pary wymykały się do lasu albo chowały za budynkami, poświęcając się najpopularniejszym zajęciom pozalekcyjnym w Latham. W ogóle mnie to nie obchodziło. Jedyne, czego pragnęłam, to wymknąć się do domu numer 6 w piżamie, otworzyć drzwi do pokoju Lane'a i wślizgnąć się pod jego pościel, żeby nasze wargi mogły się dotykać całą noc.

Pocałunek z Lane'em był jak pierwszy raz, kiedy słyszysz piosenkę, którą potem puścisz sobie sto razy z rzędu. Jak pierwsza łyżeczka wielkiej porcji lodów, którą masz tylko dla siebie. Ale przede wszystkim to było dziwne i cudowne przeżycie czegoś, co okazało się jeszcze lepsze, niż sobie

wyobrażałam.

Jakie były szanse, że wśród stu pięćdziesięciorga mieszkańców Latham znajdzie się chłopak, któremu ja też się spodobam, który będzie opowiadać żarty o Harrym Potterze, a przy każdym jego uśmiechu będę czuć dziwne ciepło w żołądku? A co więcej, że będzie to chłopak, którego znałam i nie znosiłam przez dobrych kilka lat?

Przesiedziałam w Latham dość długo, by przestać wierzyć w drugą szansę, ale tamtej nocy na chwilę przed zaśnięciem pomyślałam sobie, że może Lane jest tym cudem, jaki obiecywało mi Latham. Zastanawiałam się, czy taki cud wystarczy.

Następnego ranka Lane czekał na ganku. Kiedy mnie zobaczył, zerwał się z poręczy z wielkim głupawym uśmiechem na twarzy. Jego włosy były jeszcze wilgotne po prysznicu. Miał na sobie okropne sportowe szorty z ogromnym logo Aéropostale na nogawce.

– Serio? – zapytałam, marszcząc nos na ten widok.

– Ej, już mnie pocałowałaś. Teraz się nie wymigasz – zażartował, zbiegając z ganku po dwa stopnie naraz.

To nie było nic wielkiego, ale nagle zorientowałam się, że Lane wygląda o wiele zdrowiej niż zaraz po przyjeździe. Kiedy chowaliśmy telefony pod kołdrą podczas wieczornego obchodu, słyszałam, że pielęgniarka nie zostaje w jego pokoju zbyt długo. A po ataku kaszlu tylko wznosił oczy do nieba, zamiast z wysiłkiem łapać oddech.

Zastanawiałam się, co zrobię, jeśli Lane wyjedzie – albo raczej kiedy wyjedzie – beze mnie. Może jemu ta myśl nie przyszła do głowy, bo nigdy nie sprawiałam wrażenia bardzo chorej. Bo mój stan wcale nie był zły. Po prostu się nie poprawiał. Żyłam z gruźlicą, co było lepsze od umierania na gruźlicę, ale moje zdjęcia rentgenowskie i testy krwi co miesiąc wyglądały tak samo. I nawet nie wiedziałam, co bardziej mnie przeraża: wyrok śmierci,

którego obawiałam się od drugiej klasy liceum, czy bilet powrotny do życia, z którego już zbyt długo byłam wyjęta, żeby kiedykolwiek znów się w nim zakorzenić, do świata, który zawsze będzie traktować mnie jak intruza, jeśli tylko dowie się, co ze mną nie tak.

Ale widząc uśmiech Lane'a, pojęłam, że nawet jeśli nie jest jeszcze za późno, żeby się wycofać, to i tak nie potrafiłabym tego zrobić.

– To jak, mogę cię zabrać na śniadanie? – zapytał.

Patrzył na mnie z taką ufnością, był tak podekscytowany perspektywą pójścia razem ze mną na stołówkę, że nie zdołałam powstrzymać śmiechu.

– Ten twój plan nigdy się nie powiedzie, wiesz? – powiedziałam.

– Jaki plan?

– Ten, żeby mnie utuczyć i przerobić na karmę dla słoni w cyrku.

– Wezmę to pod uwagę – obiecał. – Ale teraz może naleśniki?

– Teraz może naleśniki – zgodziłam się i zbiegłam z ganku po dwa stopnie naraz tak jak on, udając, że wcale nie czuję przy tym bólu w piersi.

Nie sądziłam, że przy śniadaniu cokolwiek będzie inne niż zazwyczaj, ale kiedy stałam z Lane'em w kolejce do dietetyczki, czułam na sobie spojrzenia ze wszystkich stron. Na nas. Z początku myślałam, że wydarzyło się coś okropnego, ale Nick i Charlie stali na przedzie kolejki, a Marinę widziałam dziesięć minut wcześniej w łazience, jak testowała swój nowy żelowy eyeliner.

– Co jest grane? – wyszeptał Lane, wyraźnie zbity z tropu.

– Mówiłam ci, że te spodenki są okropne – odparłam, sięgając po tacę z muffinkami.

– Ja to zrobię. – Teatralnym gestem podsunął mi tacę pod nos. – *Mademoiselle, quelque chose du sucre?*

Rozpuściłam się w kałużę, a kiedy skończyłam, on dalej stał przede mną i uśmiechał się znad tacy zastawionej krzywymi stołówkowymi muffinkami.

– Nawet nie potrafię stwierdzić, czy te oklapnięte smakują lepiej, czy gorzej. – Zamyśliłam się.

– O wiele lepiej – zapewnił Lane. – Oklapnięte muffinki rządzą.

– To byłaby świetna obelga – zachwyciłam się. – Nie umawiaj się z nią, ta laska ma oklapniętą muffinkę.

Roześmialiśmy się, kiedy nagle ktoś za nami sapnął ze zniecierpliwieniem. Angela. Popatrzyła na mnie niechętnie, mrużąc oczy.

– Coś nie tak? – zapytałam.

– Nie ma pośpiechu – odparła Angela ze słodkim uśmiechem. – Chciałam wam tylko obojgu przypomnieć, że nie można podążać za Bogiem, kiedy się leży.

Przez ułamek sekundy nie miałam pojęcia, o czym ona gada, aż w końcu zaniosłam się śmiechem.

– Och, wow. – Zachichotałam. – Dziękuję za nazwanie mnie zdziwą w biblijnym slangu. To strasznie miło z twojej strony.

Zerknęłam na Lane'a, który nadal trzymał tacę z muffinkami i tak usilnie próbował się nie roześmiać, że aż poczerwieniał na twarzy.

Angela prychnęła wściekle, ale już nic nie powiedziała. Postarałam się marudzić w kolejce jak najdłużej, tylko po to, żeby ją wkurzyć. Potem zauważyłam, że inne dziewczyny z francuskiego też się na nas gapią, i wreszcie się zorientowałam, o co chodzi.

Wszyscy byli wczoraj na wieczorku filmowym. Wszyscy widzieli, jak Lane i ja flirtujemy, trzymamy się za ręce i leżymy obok siebie w naszym gniazdku z koców, a potem patrzyli, jak znikamy razem w lesie. Nie pomyślałam, jak to będzie wyglądać – jakbyśmy zaszli o wiele dalej niż w rzeczywistości i że teraz zachowujemy się tak, jakbyśmy chcieli dać to do

zrozumienia całemu światu. Nie zdawałam sobie też sprawy, jak wiele dziewczyn czaiło się na Lane'a, aż do teraz, kiedy posyłały mi nienawistne spojrzenia znad misek z jogurtem.

Kiedy Lane i ja dotarliśmy do naszego stolika, chwilę się wahał, po czym zajął puste siedzenie obok mnie. Co chwila trącał mnie nogą pod stołem, a ja pomyślałam, że to naprawdę urocze.

Spodziewałam się, że Nick strzeli focha, tak jak to robił bez przerwy od czasu wycieczki do Starbucksa, ale na szczęście miał zbyt ciężkiego kaca, by zdobyć się na cokolwiek poza jęczeniem i dziobaniem maciupieńkich porcji jajecznicy.

– Powinieneś się napić wody – doradził mu Charlie.

Nick chyba tego nie zarejestrował. Z trudem przełknął ślinę i podniósł do ust widelec z jajecznicą, jakby ktoś rzucił mu wyzwanie zjedzenia żywego ślimaka.

Marina przewróciła oczami i zaczęła go parodiować, aż wszyscy dostaliśmy głupawki.

Tego poranka była piękna pogoda. Złota jesień. Bezchmurne niebo miało kolor wyrazistego błękitu i wydawało się, że rok szkolny prawie się kończy, zamiast zaczynać. Szkoda było marnować jeden z ostatnich ciepłych dni na siedzenie w pokoju, więc po śniadaniu wyszliśmy wszyscy na trawnik i zaczęliśmy się zastanawiać, co moglibyśmy zrobić.

– Chodźmy na wzgórze – zaproponowała w końcu Marina, więc poszliśmy.

Wzgórze znajdowało się na odległym krańcu jeziora. Ze szczytu rozciągał się widok na teren Latham. „Szczyt” to zresztą za dużo powiedziane, bo wzgórze nie było zbyt imponujące, ale nam to nie przeszkadzało. Charlie zabrał swój przenośny odtwarzacz, Marina talię kart, poza tym wszyscy

mieliśmy w torbach książki, choć tylko ja i Lane rzeczywiście próbowaliśmy je czytać.

Cały poranek przesiedzieliśmy na miękkiej, ciepłej trawie, słuchając psychodelicznego popu z kolekcji Charliego, i uczyliśmy Lane'a grać w kanastę.

Nick chyba nadal był w agonii, bo zakrył sobie twarz swetrem i zasnął. Charlie i Marina na zmianę rzucali mu na brzuch garście trawy, a kiedy wreszcie się zorientował, wybuchnęli głośnym śmiechem.

Cudownie było siedzieć tak w piątkę, marzyłam, żeby każdy dzień tak wyglądał. Tylko my, słońce i cały dzień przed nami. Nigdzie się nam nie spieszyło.

Po jakimś czasie Lane zabrał mnie na spacer nad jezioro. Na brzegu kołysała się samotna łódka. Była przypięta łańcuchem do słupka i na wpół zatopiona gniła sobie powoli w zapomnieniu.

– To wygląda jak jakaś smutna metafora – stwierdził Lane, kiedy ją zobaczył.

– Masz rację. To metafora, czyli coś jak porównanie. – Prychnęłam, a on popchnął mnie żartobliwie.

– Zaraz wylądujesz w jeziorze – ostrzegł.

– A ty razem ze mną – zapowiedziałam, choć był ode mnie o tyle wyższy, że pewnie byłby w stanie podnieść mnie i rzucić do wody jak frisbee.

– Zaryzykuję. – Uśmiechnął się złowroźbnie i ruszył w moją stronę, a ja zapiszczałam i pobiegłam w górę ku najbliższej ławce, próbując przy tym powstrzymać kaszel.

Lane przysiadł obok mnie.

– Przepraszam – bąknął skruszony. – Przecież nie wrzuciłbym cię do wody.

– Chyba że metaforycznie. – Nie mogłam się powstrzymać.

– O, zaraz naprawdę pożałujesz.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Lane wziął moją twarz w dłoń i znów mnie pocałował. Ponoć skóra to największy organ naszego organizmu, ale nigdy dotąd tego nie doceniałam. Teraz jednak czułam koniuszki jego palców na policzku i uświadomiłam sobie, że mogłyby stąd zawędrować w każde miejsce mojego ciała. Na samą myśl poczułam gęsią skórę. Lane sprawiał, że czułam, jak ogarnia mnie obezwładniające uczucie ciepła, które dotąd kojarzyło mi się tylko z gorączką.

– Słuchaj – powiedział nagle. – Chciałbym cię o coś zapytać.

Odkasznął nerwowo, a ja tak się przeraziłam, że w jednej chwili przewertowałam w myślach chyba wszystkie możliwe czarne scenariusze.

– Poszłabyś ze mną na randkę?

Wyglądał na tak zdenerwowanego, jakby myślał, że mogłabym mu odmówić.

– Nie widzę przeciwwskazań – odparłam.

Uśmiechnął się triumfalnie i wciągnął mnie sobie na kolana. Był taki wysoki, potargany i cudowny, i tym razem naprawdę mnie zaprosił. To nie był żaden okropny żart dziewczyn, które chciały się zabawić moim kosztem.

– No to dokąd wybierzemy się na tę wspaniałą randkę? – Chciałam wiedzieć. – Na stołówkę? Do biblioteki?

– Pomyślałem, że moglibyśmy się wybrać na Festiwal Jesieni – zaproponował. – W przyszły piątek wieczorem?

Nie miałam pojęcia, o czym on mówi. Nie mieliśmy w Latham czegoś takiego jak Festiwal Jesieni. Tylko wspólne malowanie miniaturowych dyni ozdobnych, po którym pielęgniarzki puszczały nam *Hokus-pokus*. Dopiero po chwili zrozumiałam.

– W Whitley? – upewniłam się.

Lane pokiwał głową, starając się powstrzymać uśmiech.

– Ostatnim razem widziałem ulotki.

– A co się stało z panem „Jest sto powodów, dla których nie powinniśmy iść do miasta, więc teraz będę tu stać i wymieniać wszystkie po kolei”?

– Cóż. – Lane wzruszył ramionami. – Zrozumiałem, że to nie robi wrażenia na dziewczynach.

Następny tydzień upłynął tak, jak powinny były wyglądać tamte kolonie. Właśnie tak powinno się potoczyć moje życie cztery lata temu, tylko że żadne z nas nie miało wtedy dość odwagi ani przebojowości, by odezwać się do tego drugiego. Popołudnia mijały nam na graniu w planszówki na ganku, wylegiwaniu się na trawie po obiedzie, oglądaniu zachodów słońca nad jeziorem i wymykaniu się do lasu, żeby się całować.

Co wieczór rozmawialiśmy przez telefon: czytaliśmy sobie zabawne akapity ze swoich książek, opowiadaliśmy o programach telewizyjnych z dzieciństwa albo mówiliśmy, co byśmy zrobili, gdybyśmy naprawdę leżeli obok siebie, chociaż głównie się przy tym wygłupialiśmy. Mówiliśmy absurdalne rzeczy: że lizałabym mu kolana albo że on przeczesałby mi włosy palcami nóg, i udawaliśmy, że to brzmi wspaniale.

Do piątku skończyła się ładna pogoda, wieczór był mglisty i chłodny. Musiałam zrezygnować z uroczej sukienki, w której zamierzałam wyjść, i zamiast niej włożyłam džinsy i zieloną wiatrówkę. Lane przyszedł po mnie w czarnej polarowej kurtce zapiętej aż pod brodę. Na ten widok zażartowałam, że wygląda jak jeden z Drakulów.

– Jeden z Drakulów? – powtórzył Lane. – Nie wiedziałem, że jest ich więcej.

– Spadaj.

– Phagnę napić się twojej... khwi z ghupy A. Tamten dhugi Dhakula pije tylko B – wygłupiał się.

– Jeszcze chwila i cię uduszę!

Ruszyliśmy do lasu. Ponieważ to ja znałam drogę do Whitley, Lane szedł posłusznie za mną. W pewnej chwili jednak popatrzył na mnie z zaskoczeniem.

– Wydawało mi się, że to jest w tamtą stronę – powiedział, wskazując ręką.

Zaszliśmy trochę za daleko na zachód – dotarliśmy prawie do punktu, w którym spotykałam się z Michaeliem. Lane chciał iść jeszcze bardziej na zachód, co w ogóle nie miałoby sensu.

– Nie, to tam – odparłam i wyjaśniłam, gdzie jesteśmy.

– Więc po prostu wybrałaś sobie przypadkowe miejsce w środku lasu na spotkania z jakimś podejrzanym typem?

– Ja nic nie wybierałam. – Opowiedziałam Lane’owi, że dawniej szefem czarnego rynku w Latham był Phillip. Ja i Nick odziedziczyliśmy po nim interes, a poza tym Phillip i Michael byli dalekimi kuzynami albo kimś w tym rodzaju.

Prawie dotarliśmy na miejsce, więc wyjęłam opakowanie cukierków na kaszel i podałam Lane’owi.

– To naprawdę działa? – zapytał.

– Owszem, jesteś wyleczony. Nie ma za co.

– Jak ja ci się odwdzięczę?

Na wargach Lane’a znów pojawił się przewrotny uśmiech. Przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Smakował jak wiśniowe lekarstwo na kaszel. A potem wplótł mi palce we włosy, poczułam jego język na swoim i przypadkiem połknęłam swoją pastylkę. Do miasta nie było już daleko. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zobaczyliśmy, że wszystkie drzewa na głównej

ulicy zostały przystrojone światełkami, a w witrynach sklepów pojawiły się jesienne dekoracje. Ulicę zamknięto dla samochodów, po obu stronach stały teraz budki z jedzeniem i drobiazgami, a w starej drewnianej altanie przygrywał zespół jazzowy złożony z kilku staruszków.

Były też inne atrakcje: miniaturowy diabelski młyn, ogromna zjeżdżalnia i karuzela łańcuchowa. Przypominało mi to wiejskie festyny, na które chodziłam z mamą i siostrą. Z zazdrością patrzyłam na inne dziewczynki w moim wieku, które chodziły z koleżankami, niepilnowane przez starszych.

– To przypomina mi nasz szkolny karnawał – odezwał się Lane z zawadiackim uśmiechem.

– Fikuśna szkoła – dogryzłam mu.

Tylko wzruszył ramionami.

– I tak nigdy na nim nie byłam. W budce z wodną zapadnią zawsze ustawiali nauczycieli.

W pierwszej chwili nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale przypomniałam sobie, że przecież jego tata uczył w szkole.

– No to teraz musimy nadrobić wszystkie karnawały, które przegapiłeś – rzuciłam i pociągnęłam go na koniec kolejki do kasy.

Było drogo, więc kupiliśmy tylko bilety na karuzelę.

– Musisz spróbować złapać mnie za rękę, kiedy będziemy na górze – oznajmiłam. – Takie są zasady.

– A co wygram, jeśli mi się uda?

– Życzenie.

Kiedy wreszcie usiadłam na krzeselku i zapięłam pasy, byłam zachwycona jak dziecko. Chwilę później unieśliśmy się, a moje nogi zaczęły dyndać w powietrzu. Z karuzeli sporo można było zobaczyć: drogę prowadzącą do Latham, dzwonnice na wpół schowaną za gałęziami drzew, schludne podwórka domów w Whitley. Dziwnie było widzieć jednocześnie

oba światy: mój i ten prawdziwy.

Nasze krzeselka były dość daleko od siebie, ale Lane i tak próbował mnie dosięgnąć, wykręcał się na siedzeniu i oglądał się na mnie, wyciągając rękę. Ja też wychylałam się najbardziej, jak mogłam, ale nie zdołaliśmy się dotknąć.

– Chyba nie załapałem się na życzenie – zażartował, kiedy chwiejnym krokiem schodziliśmy z karuzeli.

– Nie przejmuj się, to nie było duże życzenie – zapewniłam. – Dostałbyś najwyżej życzenie kalibru średniej coli.

– Świetnie, teraz wszystko zepsułaś, a ja wiem, że przeszła mi koło nosa średnia cola.

– Albo może trzy faworki – dodałam.

– Albo może trzy faworki – powtórzył z udawaną desperacją w głosie.

Wziął mnie za rękę i ruszyliśmy na przechadzkę wśród sklepików, a potem kupił nam po grzonym cydrze. Napój był za gorący, żeby dało się go pić, więc przysiedliśmy na sianie przed grządką z dyniami, by poczekać, aż cydr w naszych kubkach trochę ostygnie.

Dziwnie się czułam w mieście, ale to nie było dla mnie nowe przeżycie. Tak długo mieszkałam poza tym światem, że było mi trochę nieswojo na widok ludzi pijących halloweenowy poncz i wyciągających smartfona z kieszeni, żeby zająć się czymś podczas stania w kolejce.

– Cudne to wszystko. – Westchnęłam, spróbowałam cydru i natychmiast się skrzywiłam. – Aj. Gorące.

– Jeszcze nie wystygło?

– Może spróbujesz i się przekonasz?

– Nie dam się tak nabrać – odparł Lane ze śmiechem.

Po grządce z dyniami biegały małe dzieci na cukrowym haju i z

pomalowanymi buziami. Oparłam głowę na ramieniu Lane'a i zaczęłam myśleć o swojej dwunastoletniej siostrze. Za duża, żeby ekscytować się takimi rzeczami, ale nadal dość mała, żeby się przebrać i zbierać darmowe słodycze.

– Pamiętasz swój najgorszy kostium halloweenowy? – zapytał nagle Lane.

– Byłam Hermioną Granger jakieś pięć lat z rzędu – odparłam bez namysłu. – Zanim mi się znudziło, zdążyłam przejść przez najbardziej obciachowy okres dorastania.

– Ja raz byłem gorylem – wyznał Lane.

– Nie wierzę! – Zachichotałam.

– Serio – upierał się. – Miałem może pięć lat. Zobaczyłem kostium w którymś z tych sezonowych halloweenowych zamków. Kojarzysz te sklepiki, które otwierają się na kilka miesięcy, a potem znikają?

Przytaknęłam.

– W każdym razie tak postanowiłem. Goryl i koniec. Więc mama kupiła mi strój i zabrała mnie na obchód po domach sąsiadów. Wyszliśmy bardzo wcześnie, mieliśmy obejść tylko nasze osiedle. W Kalifornii o tej porze potrafi nieźle przygrzać, a tamtego roku na dworze było dobre dwadzieścia sześć stopni. – Lane zerknął na mnie, znów wyginając wargi w krzywym uśmiešku. – A to oznacza, że w moim kostiumie goryla temperatura wynosiła ze czterdzieści. Przy trzecim domu ściągnąłem maskę, potem stopy, potem rękawiczki. I już po dziesięciu minutach stałem zaryczany i spocony w futrzanym czarnym kombinezonie i wyłem, że chcę do domu.

Oboje się roześmialiśmy. Spróbowałam wyobrazić sobie pięcioletniego Lane'a we włochatym kostiumie goryla – okazało się, że to zaskakująco łatwe. Przecież widziałam go już, kiedy miał trzynaście lat.

– Musisz pokazać mi zdjęcie – zażądałam.

– Okej, ale chcę zobaczyć twoje w mundurku z Hogwartu – odparł, unosząc brwi.

– Boże kochany, miałam dziesięć lat!

– No i? Kiedy miałaś trzynaście, byłaś urocza – drażnił się ze mną.

Wiedziałam, że to nieprawda. Byłam wtedy chuda jak patyk i miałam nastroszone kręcone włosy, a do tego dziwne cycki, małe i spiczaste jak stożki. Ale to i tak było miłe z jego strony, że tak powiedział.

Nasz cydr zdążył już trochę ostygnąć, więc zaczęliśmy popijać ciepły napój. Patrzyliśmy na zachód słońca i słuchaliśmy okropnych przygrywek zespołu staruszków.

– Założę się, że mają tu gdzieś popcorn w karmelu – rozmarzyłam się.

– Założę się, że masz rację – odparł Lane.

– Pójdę nam kupić.

Lane zapytał, czy iść ze mną, ale potrząsnęłam głową. Nie chciałam, żeby to wyglądało, jakbym zmuszała go, by słodczyce też mi kupił.

– Zaraz wrócę – obiecałam i zrobiłam coś, o czym marzyłam od dawna. Zniknęłam w tłumie.

Pomimo sensora na nadgarstku czułam się zupełnie wolna – jakbym nie próbowała korzystać z życia mimo pobytu w Latham, tylko robiła coś, co jest zupełnie normalne, kiedy ma się siedemnaście lat.

Byłam na randce z uroczym chłopakiem, który kupił mi grzany cydr i opowiedział obciachową historyjkę o tym, jak w dzieciństwie przebrał się za goryla. A w drodze powrotnej może udałoby się pójść okrężną drogą, żebym mogła pokazać mu swój wściekle niewygodny stanik z niebieskiej koronki, a potem przyglądnijmy sobie włosy, a on odprowadzi mnie na ganek mojego domu i pocałuje na dobranoc.

Znalazłam panią sprzedającą popcorn w karmelu i kupiłam jedną torebkę. Nie mogłam się oprzeć i zaczęłam podjadać trochę po drodze, ale cukrowa

skorupka podrażniła mi gardło, więc prędko schowałam się w alejkę między dwoma sklepami, starając się na nikogo nie nakaszleć.

Właśnie łąpałam oddech, kiedy otworzyły się boczne drzwi i na uliczkę wytoczyło się trzech ulizanych typków w bejsbolówkach i mokasynach. Domyśliłam się, że drzwi prowadzą do jakiegoś baru, bo w środku było ciemno i dobiegały stamtąd odgłosy meczu w telewizji.

Wszyscy trzej byli w studenckim wieku i zaczęli się na mnie gapić w sposób zwykle zarezerwowany dla dziewczyn w obcisłych sukienkach, a nie nastolatek w dżinsach i koszulkach w paski.

Nadal zanosilałam się kaszlem, a jeden z typków, blondyn, podszedł do mnie ze śmiechem.

– Ej, wszystko w porządku? – zapytał.

– Popcorn – wycharczałam, próbując złapać oddech.

– Może chodź z powrotem do środka? Postawię ci drinka – zaproponował.

Dotarło do mnie, że skoro stoję przed knajpą, wygląda to tak, jakbym właśnie z niej wyszła. Potrząsnęłam głową.

– Idę się z kimś spotkać – odparłam.

– To cię odprowadzimy – zaoferował natychmiast blondyn, nagle zmieniając ton na bardziej nachalny. – Co nie, chłopaki?

Jego kumple pokiwali głowami i powiedzieli, że jasne, żaden kłopot, odprowadzą mnie.

– Nie trzeba. – Zaczęłam się cofać, ale on zaszedł mi drogę.

– Coś ci się nie podoba? – zapytał. – Już nie chcesz z nami rozmawiać?

Zerknęłam na przejście prowadzące do głównej ulicy.

– Powiedziałam, że jestem umówiona – zaprotestowałam stanowczo i ruszyłam przed siebie.

– Czekaj, śliczna, dokąd się wybierasz?! – krzyknął za mną któryś.

Nawet bez odwracania się za siebie wiedziałam, że idą za mną. Słyszałam ich kroki odbijające się echem w uliczce, ale zmusiłam się, żeby patrzeć prosto naprzód.

Szli za mną po obrzeżach festynu. Panika wzbierała mi w gardle. Nie wiedziałam, jak zmusić ich, żeby dali mi spokój, nie chciałam też zwracać na siebie uwagi, by ktoś nie zaczął zadawać mi zbyt wielu pytań.

– No weź, mała, przecież jesteśmy tacy mili. Pogadałabyś z nami chwilę – rzucił jeden z nich.

Odwróciłam się gwałtownie.

– Powiedziałam „nie” – syknęłam. – Idźcie sobie.

Zarechotali. Byli blisko, przerastali mnie co najmniej o głowę i chyba kompletnie nie rozumieli, że zachowują się paskudnie.

– Ale przecież powiedzieliśmy, że cię odprowadzimy – odparł ten najwyższy. – A dżentelmeni nigdy nie łamią słowa.

– Więc zachowajcie się jak dżentelmeni i przestańcie za mną iść!

W tym momencie zaczęłam kaszleć. Atak był poważny, a ja w ogóle się tego nie spodziewałam. Ten głupi popcorn okazał się najgorszym pomysłem w moim życiu.

Kiedy wreszcie się uspokoiłam, zauważyłam, że najwyższy z całej trójki zrobił krok w tył.

– Wow, to brzmiało poważnie – stwierdził.

– Mam astmę – odparłam defensywnie.

– Nie brzmiało mi to jak astma – zaproponował blondyn z takim uśmieszkiem, jakby bardzo go bawiło, że może się nade mną trochę poznęcać. – Brzmiało, jak coś zakaźnego. Nie sprzedasz nam żadnej zarazy, co, mała?

– Jeśli zostawicie mnie w spokoju, to nie – odparłam i znów ruszyłam przed siebie.

On jednak był szybszy i chwycił mnie za nadgarstek. Spróbowałam się wykręcić, ale wtedy rękaw kurtki podjechał mi do góry, odsłaniając sensor z migającym zielonym światełkiem.

Wszyscy trzej wlepili wzrok najpierw w opaskę, a potem we mnie.

– O, szlag – rzucił blondyn. – Ona przylazła z tego szpitala dla zadżumionych.

– Posrało cię, gówniaro?! – warknął jego brodaty kumpel. – A jeśli teraz wszyscy złapiemy od ciebie gruźlicę?

– Czekaj, ona powiedziała, że jest z kimś umówiona. Jest ich tu więcej – wtrącił wysoki.

Serce zaczęło walić mi w piersi. Nie wiedziałam, co robić.

Jeśli pójdę do Lane’a, poleżą za mną. A jeśli spróbuję zawołać pomoc, wpakuję się w jeszcze większe tarapaty. Byłam potworem Frankensteina. Zadżumioną. Tym kimś, kto bez przerwy głośno kicha w samolocie.

Spojrzałam na nich z przerażeniem. Nagle usłyszałam męski głos.

– Co wy tu wyprawiacie?

To był Michael. Szedł ku nam w ciężkich roboczych butach, spod podwiniętych rękawów koszuli wystawały mu tatuaże. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak rozjuszonego jak wtedy, gdy stanął przed tymi trzema podpitymi typkami.

– Zadałem wam pytanie.

– Ta laska urwała się ze szpitala dla zadżumionych! – odparł blondyn. – I jest ich tu więcej!

Popatrzyłam błagalnie na Michaela, modląc się, żeby się za mną wstawił.

– Co za idiotyzm – prychnął. – Przecież to moja kuzynka.

– Twoja kuzynka?

– Jestem młodszą siostrą Phillipa – skłamałam.

Nadal przyglądali mi się niepewnie.

– Mam piętnaście lat – dodałam, otwierając szeroko oczy ze strachu.

Przynajmniej to do nich dotarło.

– Szlag – wymamrotał ten brodaty, wierząc mi na słowo.

– To co robiłaś w barze? – naciskał ten wysoki.

Michael posłał mi wściekłe spojrzenie.

– Wcale nie byłam w barze. Stałam na zewnątrz i jadłam popcorn, kiedy oni się do mnie przyczepili.

– Jesteście narąbani – oznajmił Michael – i napastujecie nieletnie dziewczyny. Więc może przestańcie ściemniać, jak do tego doszło. Idźcie do domu, wytrzeźwiejcie trochę i sprawdźcie w słowniku, co to jest molestowanie – rzucił na odchodnym. Z wdzięcznością ruszyłam za nim.

– Dzięki za pomoc – bąknęłam.

Odwrócił się gwałtownie. Nadal był wkurzony.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie. Muszę dbać o interes.

– Okej, spoko.

– Nie możecie dalej tego robić. Ci goście już zamierzali przeczesać cały teren, żeby znaleźć twoich znajomych. Musicie przestać tu przychodzić. Wszystkich pozarazacie!

– Wcale nie, siedzimy sobie na grządce z dyniami – zaprotestowałam.

Michael zrobił się blady jak ściana.

– Moje dziecko tam jest!

– Masz dziecko?

– Tak, mam – odparł ze złością. – Ma dwa i pół roku. Jeśli coś mu się stanie, to przysięgam na Boga... Jeszcze raz zobaczę was w mieście, to sam

na was nakabluję. A teraz zabieraj towarzystwo i wynoście się stąd w podskokach.

– Dobra – burknęłam i odeszłam.

To było niesprawiedliwe. Nie robiłam nikomu krzywdy, to ci nawaleni goście byli niebezpieczni. Przecież nawet nie stałam w pobliżu kogokolwiek. Ale w tamtej chwili uwierzyłam Amitowi. Zrozumiałam, że po naszym wyjściu z Latham nie wszyscy przyjmą nas z otwartymi ramionami – wystarczy jedna przerażona osoba, żeby wszcząć polowanie na czarownice.

Kiedy wróciłam na siano, Lane popatrzył na mnie z niepokojem.

– Trochę to trwało – powiedział. – Wszystko w porządku?

Nie chciałam go przerazić. Był taki szczęśliwy i pełen nadziei, że nie mogłam się zmusić, żeby coś powiedzieć i zepsuć naszą randkę. Przewróciłam więc tylko oczami i uniosłam dłoń z popcornem.

– Kolejka na kilometr. – Westchnęłam. – Wszyscy wpadli na ten sam pomysł. Chyba powinniśmy się zbierać, robi się trochę późno.

– Tak, jasne.

Wstał i poszedł ze mną z powrotem do lasu starym szlakiem turystycznym. Podałam mu popcorn i zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu latarki i kompasu.

Jedliśmy popcorn całą drogę, nie przejmując się, czy będziemy od tego kaszleć. A kiedy dotarliśmy do skały, która wyglądała prawie tak samo jak ta na obozie, byłam już o wiele spokojniejsza.

Tak naprawdę nie wydarzyło się nic złego. Po prostu trafiłam na kilku nawalonych typków, którzy uznali, że moja obecność w przestrzeni publicznej przy jednoczesnym byciu dziewczyną to zaproszenie do napastowania. Historia stara jak świat. No i musiałam też uczciwie przyznać, że nadal mogłam zarażać. Przecież kiedy lekarze stwierdzą, że moja gruźlica jest nieaktywna, nikt nie będzie się mnie bać. Byłam blada, wymizerowana,

trochę dziwna, a w dodatku zanosila się kaszlem – oczywiście, że ich to zaniepokoiło. Ale teraz miałam to już za sobą i nie musiałam się tym przejmować. Nie zamierzałam pozwolić, żeby to zepsuło moją pierwszą w życiu randkę z miłym chłopakiem, który kupił mi cydr i zachował się jak stuprocentowy dżentelmen.

Lane patrzył na skałę. Ja też.

– Założę się, że w życiu nie zgadniesz, jakiego koloru mam stanik.

– Pewnie nie – przyznał. – Ale znam sposób, żeby się dowiedzieć.

ROZDZIAŁ 15

LANE

Mój pierwszy miesiąc w Latham dobiegł końca. Takie odmierzanie czasu wydawało mi się jednak nie na miejscu, bo obejmowało również te pierwsze dni, które nie łączyły mnie jeszcze bezpośrednio z Sadie Bennett.

Co kilka dni rozmawiałem wieczorem z rodzicami. Kiedy pytali, czy się wysypiam, jak się czuję i co porabiam, odpowiadałem na poważnie. Uznałem, że jestem im winien jakieś zapewnienie, że nie leżę na łożu śmierci setki kilometrów od domu, próbując za wszelką cenę nadażyć z programem rozszerzonej historii Europy. Najdziwniejsze, że wydawali się zadowoleni, kiedy opowiadałem o swoich nowych znajomych z francuskiego, z którymi gram w karty i wymieniam się książkami. W ogóle im nie przeszkadzało, że odłożyłem naukę na dalszy plan, by skoncentrować się na powrocie do zdrowia.

Im dłużej przebywałem daleko od domu, tym bardziej rozmywały się pretensje, jakie dotąd miałem do rodziców. Owszem, zawsze byli wymagający, ale ja nigdy w żaden sposób nie okazałem, że nie odpowiada mi nasz układ. Chciałem być najlepszy tak samo szczerze, jak oni pragnęli tego

dla mnie.

Sam postanowiłem zrezygnować z kółka teatralnego w pierwszej klasie liceum, żeby zamiast tego zapisać się na rozszerzoną historię sztuki. Nie omawiałem tego z nimi ani nie błagałem, żeby pozwolili mi dalej zajmować się teatrem. Byłem po prostu przekonany, że to konieczne poświęcenie, a oni pochwalili mnie za „podjęcie dojrzałej decyzji”.

Jeszcze nawet nie wiedziałem, czym właściwie jest liceum, a już pozwoliłem, żeby moja obsesyjna pogoń za doskonałością wyssała ze mnie całą radość życia. Zaczynałem przypuszczać, że gdybym nie zachorował, tak samo postąpiłbym ze studiami, pędem rzuciłbym się na staże, potem na studia magisterskie i pracę. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że lata spędzone w liceum zmieniłem w wyścig na najlepszą uczelnię, zamiast traktować je jako czas, który ma wartość sam w sobie. Dopiero teraz zaczynałem to widzieć, bo w Latham nie mogłem zrobić tego samego. I powoli uświadamiałem sobie, jak bardzo się unieszczęśliwiałem.

Minął ostatni termin podchodzenia do rekrutacji na studia w przyspieszonym naborze, a ja nawet nie wiem, co robiłem tamtego dnia. Może leżałem na brzuchu w przerośniętej trawie i czytałem powieść Douglasa Adamsa. Pewnie po zajęciach zdrowotnych zaciągnąłem Sadie za róg, żeby ją pocałować. Albo spędziłem całe popołudnie w łóżku, słuchając przez otwarte okno muzyki dobiegającej z pokoju Charliego i patrzyłem na rozkołysane cienie gałęzi drzew, tańczące na mojej ścianie.

Cokolwiek robiłem tamtego dnia, nie garbiłem się nad miniaturowym stolikiem na sali gimnastycznej z plastikowym woreczkiem pełnym zatemperowanych ołówków i nie pociełem się, żeby podbić swój wynik jeszcze o trzydzieści punktów, choć i tak wyciągałem już dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Nie dręczyłem się myślą, że jeśli zawałę choć jedno pytanie, to cała moja przyszłość pęknie jak bańka mydlana. Pewnie

zastanawiałem się, czy uda mi się zniknąć na trochę z Sadie po południu i czy może przy okazji zniknie też z nas część ubrań.

To wydarzyło się, kiedy byliśmy na francuskim.

Sadie siedziała przy oknie i czytała powieść Johna Greena, a ja zabrałem jej kartkę na odpowiedzi i wpisywałem najbardziej idiotyczne rzeczy, jakie potrafiłem wymyślić, bo własny zestaw zdążyłem już skończyć.

Dochodziła pora lunchu, skręcało mnie z głodu. Miałem nadzieję, że nie zacznie mi burczeć w brzuchu. Finnegan wyjątkowo siedział przy biurku, kiedy nagle drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich głowa Carlosa. Carlos nie chodził z nami na francuski. Finnegan podniósł wzrok znad iPada i zmarszczył brwi.

– Wszyscy mają natychmiast iść na salę gimnastyczną – oznajmił Carlos.

Popatrzyliśmy po sobie niepewnie. Był wtorek rano, a z tego, co już wiedziałem o Latham, to nie była typowa prośba.

– Na salę gimnastyczną? – powtórzył Finnegan.

– Natychmiast.

Nauczyciel podziękował Carlosowi, który znów zniknął za drzwiami. Następnie Finnegan wzruszył ramionami i powiedział, żebyśmy zostawili zadania.

– Wrócimy tu jeszcze? – zapytał Nick.

Finnegan nie wiedział, więc niektórzy zabrali ze sobą plecaki, ale większość zostawiła otwarte podręczniki na ławkach.

Cała szkoła zebrała się na sali. Siedzieliśmy rozproszeni na trybunach, które w zamyśle miały pomieścić o wiele więcej widzów niż nasze skromne sto pięćdziesiąt osób. Pamiętam, jak Sadie zażartowała, że to okropny moment na wiec sportowy, a Nick dodał, że nie rozumie, dlaczego nikt mu

nie powiedział, że mamy w Latham drużynę koszykówki.

Ja byłem zbyt przestraszony i zdezorientowany, żeby cokolwiek powiedzieć. Nie wiedziałem, co się dzieje, i bardzo mi się to nie podobało. Pod ścianą stało kilkoro dorosłych, których nigdy wcześniej nie widziałem, a z nimi nauczyciele i pielęgniarki. To sprawiało złowróżbne wrażenie, jakby obawiali się, że będziemy próbowali uciekać, bo tak nas przerażą wieści, które przyszli nam przekazać.

Za przedpotopową mównicą na kółkach stał doktor Barons i dyskutował o czymś z panią Kleefeld z administracji, która dała moim rodzicom formularze do wypełnienia, kiedy przyjęto mnie do Latham.

– Co się dzieje? – zapytała szeptem Sadie, a ja wzruszyłem ramionami.

Jakiś młody gość o wyglądzie technika podpinał kable. Nagle mikrofon nabral życia, po czym z głośników rozległ się ogłuszający pisk. Wszyscy zasłonili uszy rękami, zachowując się, jakby problem był o wiele większy niż w rzeczywistości. Latham nigdy wcześniej aż tak bardzo nie przypominało normalnego liceum. Z tym drobnym wyjątkiem, że większość liceów ma wskaźnik przeżywalności na poziomie przekraczającym osiemdziesiąt procent.

Pani Kleefeld przechyliła mikrofon w swoją stronę i rozciągnęła wargi w nerwowym uśmiechu. Miała perłowy naszyjnik, tak ciasny, że wyglądało to, jakby ją dusił.

– Dzień dobry, dzieci – powiedziała.

Zabrzmiało to zdecydowanie niewłaściwie, ale nie wiedziałem, jakie słowo mogłoby być bardziej odpowiednie. Kobieta zamilkła na chwilę, jakby spodziewała się, że odpowiemy chórem: „Dzień dobry, pani Kleefeld!”. Zerknąłem na zegar na ścianie: była 11.23. O tej porze dzieci leżakują, dorośli siedzą w pracy. My wisieliśmy pośrodku.

– Jak wam wiadomo – ciągnęła pani Kleefeld – pobyt w Latham House to

wyjatkowy przywilej. Informacje przekazywane przez wasze sensory medyczne pomogły naukowcom o wiele lepiej zrozumieć waszą chorobę. Ci naukowcy pracowali ciężko dzień i noc, żeby posunąć się naprzód w leczeniu hipergruźlicy. Uznaliśmy, że najlepiej będzie jak najszybciej zebrać wszystkich razem, żeby uniknąć plotek i rozpowszechniania nieprawdziwych informacji. Ale tu już chyba powinienam oddać głos doktorowi Baronsowi.

Wszyscy wokół mnie wyglądali na tak samo zbitych z tropu. Wtedy na podium wszedł doktor Barons. Miał na sobie nie lekarski fartuch, tylko polarową kurtkę podobną do mojej. Dziwnie było widzieć go na sali gimnastycznej zamiast w jego gabinecie. Do tej pory jedyną rzeczą, jaką robiliśmy w tym miejscu, było oglądanie filmów, a ja wiedziałem, że nie - zebraliśmy się tutaj na spontaniczny seans *Kevina samego w domu*.

– Dziękuję, pani Kleefeld – zaczął Barons, po czym odkaszlnął nerwowo.
– Dziś rano dotarła do nas wiadomość, że Agencja do spraw Żywności i Leków uznała serum surowicze pod nazwą protocyлина za lek pierwszego rzutu w leczeniu hipergruźlicy. Protocyлина została przyjęta do testów klinicznych i niedługo wejdzie do produkcji.

Na sali zapadła cisza. Chwytailiśmy się każdego słowa.

Niemożliwe, żeby on naprawdę to mówił.

– Pół godziny temu potwierdzono, że pierwsze dawki protocyliny będą gotowe za sześć tygodni, a Latham będzie uczestniczyć w pierwszych testach. – Doktor Barons przerwał i popatrzył na nas z zachwytem. – A to oznacza, że za sześć tygodni hipergruźlica będzie uleczalna.

Na chwilę zapadła zszokowana cisza, po czym na sali wybuchła eksplozja oklasków, krzyków i gwizdów. Wokół mnie wszyscy się śmiali, obejmowali i płakali. Genevieve i jej paczka padli na kolana, chyba po to, żeby podziękować Bogu za wynalezienie nauki.

Nie mogłem uwierzyć, że tak bardzo się pomyliłem co do przyczyny, dla

której zebrano nas na sali. To wcale nie była zła wiadomość, tylko coś niesamowitego.

– Sadie – powiedziałem, odwracając się w jej stronę.

– Boże. – Westchnęła, starając się powstrzymać łzy.

Przytuliliśmy się mocno. Sadie pociągała nosem w mój rękaw, a ja próbowałem jakoś przetrwać myśl, że będziemy wyleczeni. Wszyscy. Nie chwilowo stabilni, ale bezpieczni na wypadek nawrotu. Wyleczeni. Na zawsze. Że już niedługo zostanę odesłany z powrotem do swojego dawnego życia, a Latham rozplynie się w powietrzu jak zły sen.

Tylko że to wcale nie był zły sen. Latham oznaczało grę w karty na trawie, kradziony internet, Sadie w zielonej sukience, płyty Charliego, japońskie filmy z napisami i wygłupy Mariny przedrzeźniającej Nicka przy śniadaniu. To nie było życie, jakiego pragnąłem, ale życie, jakie przypadło mi w udziale – i wreszcie zaczynałem to akceptować.

– Proszę wszystkich o jeszcze chwilę uwagi – odezwał się doktor Barons, a na sali stopniowo znów zapanował spokój. – Na pewno macie mnóstwo pytań, więc postaram się teraz odpowiedzieć na część z nich. W ciągu najbliższych kilku godzin zespół medyczny poinformuje o wszystkim waszych rodziców. Protocylina będzie podawana w formie zastrzyków raz dziennie przez osiem tygodni. Przez pierwsze cztery będziecie musieli zostać tutaj, żebyśmy mogli monitorować i odnotowywać wszelkie symptomy i efekty uboczne. Później ustalimy dalszy plan leczenia ze szpitalami w okolicy miejsca waszego zamieszkania, żebyście mogli dalej codziennie przyjmować zastrzyki i kontynuować leczenie w domu. Kiedy tylko otrzymamy więcej informacji, zostaną one przekazane wam i waszym rodzicom przez przydzielone do waszych domów pielęgniarki. Dopóki nie poinformujemy dziś wszystkich rodzin o nowej metodzie leczenia, będziecie mieli odcięty dostęp do telefonu i internetu.

Doktor Barons ciągnął swój wywód, po czym podziękował wszystkim za uwagę i dodał, że to dla niego zaszczyt, że może przekazać nam te wieści.

– Popatrz na Finnegana – szepnęła Sadie.

Odwróciłem się we wskazanym kierunku. Finnegan i jego żona, ubrana w pielęgniarski fartuch, obejmowali się tak mocno, że to chyba musiało boleć. Nigdy nie widziałem go tak szczęśliwego.

Jeśli się nad tym zastanowić, w całym Latham nie widziałem dotąd tyle radości. Nigdy wcześniej nie zauważyłem, jak tu ponuro, nawet w wesołych chwilach – wszystko zawsze spowijała potworna, śmiertelna ponurość. Byliśmy uwięzieni razem na tej samej piekielnej wyspie, tylko że teraz ktoś dostrzegł w oddali zbliżającą się ku nam szalupę ratunkową.

ROZDZIAŁ 16

SADIE

Nie znosiłam tego głosu w tyle głowy, który bez przerwy powtarzał mi, że to nieprawda, ale z jakiegoś powodu nie potrafiłam do końca uwierzyć, że protocyлина jest prawdziwa. Myślni wciąż krążyłam wokół ostatnich dwóch przypadków, kiedy naukowcy ogłosili powstanie surowicy odpornościowej z antygenem leczącym gruźlicę.

Za pierwszym razem ktoś z piętra Nicka znalazł informację w internecie i wydrukował artykuł z „Daily Mail”. Do wieczora wieść zdążyła już obieć całe Latham. Tylko że wkrótce okazało się, że to było oszustwo. Jakiś badacz w Korei podrobił dane, a następnego dnia rano co najmniej w sześciu artykułach obwołano go hochsztaplerem. Ta historia wydarzyła się podczas mojego szóstego miesiąca w Latham. A kilka miesięcy później zaczęły się rozchodzić plotki o kolejnym superleku. Pozwoliłam sobie na iskierkę nadziei, która jednak prędko zgasła, gdy lek poniósł miazdzącą porażkę w testach laboratoryjnych.

Teraz więc nie zamierzałam robić sobie nadziei z protocyliną, mimo że tym razem to wyglądało wiarygodnie. Mimo że po południu już huczało

o tym w mediach.

Stałam w zatłoczonym pokoju socjalnym i razem ze wszystkimi gapiłam się w telewizor. W wiadomościach pojawiało się coraz więcej informacji o grupie naukowców ze szpitala przy Uniwersytecie Pensylwanii, którzy opracowali lek pierwszego rzutu na hipergruźlicę uznawaną do tej pory za nieuleczalną. To miał być pierwszy nowy lek na gruźlicę od pięćdziesięciu lat i przełom w medycynie, która weszła w epokę określaną już definitywnie przez lekarzy jako „postantybiotyczna”.

Ktoś przełączył na inny kanał, ale mówili na nim o tym samym: właśnie leciał raport o pacjentach i opiekunach w placówkach długotrwałego leczenia, którzy jako pierwsi zostaną poddani terapii protocyliną. Lekarze pracowali też nad szczepionką, którą można byłoby wprowadzić do obiegu publicznego.

Po raz pierwszy, odkąd sięgałam pamięcią, korespondenci nie wyglądali na przerażonych, kiedy wyjaśniali, że choroba zakaźna nazywana hipergruźlicą została dwa lata temu zaklasyfikowana przez Centrum Kontroli i Prewencji Chorób jako epidemia – tylko w tym roku w samych Stanach Zjednoczonych odnotowano dwieście osiemdziesiąt tysięcy aktywnych przypadków. Teraz jednak w głosie reporterów pobrzmiwała nadzieja, jakby katastrofa była już za nami, jakby już prawie nie było powodu do zmartwienia.

Ale jeśli tak, to dlaczego byłam taka przerażona?

Kończył się październik. Spędziłam w Latham już siedemnaście miesięcy. Przegapiłam koniec drugiej klasy liceum. Świątowałam szesnaste urodziny w szpitalu, grając w uno z mamą i siostrą, które siedziały ze mną w maseczkach chirurgicznych na twarzach. Byłam w Latham chyba najdłużej ze wszystkich mieszkańców ośrodka.

Nie byłam nawet pewna, czy wiem, jak opuścić sanatorium. Nigdy nie

pozwoiliam sobie uwierzyĆ, że na pewno stąd wyjdę, ani nie zastanawiałam się, kiedy to nastąpi. A teraz wszyscy mówili, że do stycznia będziemy już w domu. Nie miałam pojęcia, jak się z tym czuć, czy w ogóle coś czuję, a może jestem tylko oszołomiona.

Przy kolacji nikt nie miał ochoty na rozmowę. Byliśmy zbyt zajęci rozmyślaniami o tym, co się właśnie wydarzyło. Myśleliśmy też o konsekwencjach: jak to będzie, kiedy nasze życie wróci na dawne tory, podczas gdy my będziemy siedzieć cicho w ławkach, starając się nie kaszleć na zeszyty. Nie byliśmy już nieuleczalnie chorzy – a przecież dla wielu mieszkańców Latham choroba od dawna stanowiła fundament tożsamości.

Przyjęcie do wiadomości, co jest ze mną nie tak, było bolesnym zadaniem. Ale nadzieja bolała jeszcze bardziej.

Nie chciałam, żeby protocyлина była prawdziwa, bo nie miałam ochoty wracać do domu, do smętnego, burego życia, które za sobą zostawiłam. Marzyłam, żeby Latham na zawsze zostało takie samo, żebyśmy mieli przed sobą jeszcze milion dni na grę w karty w słońcu, szeptanie do słuchawki telefonu i pewność, że kiedy się obudzę, Lane będzie czekał na mnie na ganku, z włosami wilgotnymi po prysznicu.

Latham było moim Hogwartem, a protocyлина miała wyleczyć mnie z magii. Zmieniłaby mnie znowu w mugolkę, która będzie musiała się martwić o ustandaryzowane testy kompetencji, wredne koleżanki i usprawiedliwienia nieobecności.

Kiedy już odstawiliśmy tace na wózek, poszłam z Lane'em na spacer nad jezioro. Przez jakiś czas co chwila zerkał na mnie nieśmiało, jakby sądził, że tego nie zauważę, aż w końcu wziął mnie za rękę. Doszliśmy tak aż do najdalszego krańca jeziora, tam gdzie na wodzie unosiła się na wpół zatopiona łódka, i położyliśmy się na brzuchu w wysokiej trawie.

Spojrzałam na Lane'a, na prawie niewidzialny biały puszek pokrywający

płatki jego uszu, na pieprzyk pośrodku jego szyi i na ten absolutny zachwyty malujący się na jego twarzy. Powtarzałam sobie w duchu, że muszę stłumić ten niezrozumiały mrok, który się we mnie kłębi. Kiedy więc Lane się uśmiechnął i trącił mnie tenisówką, odwzajemniłam ten gest, zmuszając zdradliwe macki beznadziei, żeby się cofnęły.

Przed nami rozciągał się idealny widok na Latham po drugiej stronie jeziora. Domki ustawione w podkowę, budynek szkoły wyglądający jak wyjęty z uniwersyteckiego kampusu, stołówka z witrażami w oknach, dzwonnica nad salą gimnastyczną, a za nią biały skrawek budynku medycznego.

– Jak myślisz, zamkną Latham? – zapytałam.

– Pewnie tak. A może znów zrobią tu szkołę z internatem. Uczniowie będą się straszyć historiami o duchach dzieciaków, które tu umarły.

– Albo powstanie tu taka okropna kolonia artystyczna, na której goście będą malować miski z owocami – podsunęłam, tylko częściowo żartując.

Lane z uśmiechem potrząsnął głową.

– Będziemy musieli wpaść w odwiedziny, żeby się przekonać – oznajmił.

– A potem pójdziemy na kremowe piwo do Starbucksa.

Zapewniłam, że to brzmi wspaniale, ze wszystkich sił starając się utrzymać na twarzy uśmiech.

– To gdzie ty mieszkasz? W Calabasas? – zapytał, a ja przytaknęłam. – To jakieś sto czterdzieści kilometrów ode mnie. Nic takiego. W każdą sobotę będę czekał przed twoim domem ze świeżymi bajglami.

– Nie wiedziałam, że masz samochód.

– A, tak. Tata dał mi swoją starą hondę. Ma milion politycznych nalepek, ale jest w niej dusza.

Uśmiechnęłam się na myśl, że Lane parkuje pod moim mieszkaniem,

żeby zabrać mnie na plażę albo do któregoś z pobliskich kanionów na piknik. To była cudowna wizja, ale gdzieś w duszy obawiałam się, że nic z tego nie będzie. Że Lane przyjedzie raz albo dwa z grzeczności. A potem zacznę wymyślać jakieś wymówki.

– Nie mogę uwierzyć, że o tym rozmawiamy. – Zamyśliłam się. – Że za dwa miesiące będziemy w domu, a w sobotę rano zobaczę cię na swoim podjeździe.

– No, najpierw bym do ciebie napisał.

Idea posiadania telefonów, z których moglibyśmy do siebie pisać, wydała mi się tak absurdalna, że aż zachichotałam.

– Strasznie dziwnie się z tym wszystkim czuję. A najbardziej z myślą o powrocie do szkoły – wyznałam.

– No, studia wydają mi się jeszcze dziwniejsze – zgodził się Lane. – Wiesz, wcześniej nie chciałem robić sobie nadziei.

Wyjaśnił, że nie miał pewności, czy władze Uniwersytetu Stanforda pozwolą mu zamieszkać w akademiku, czy według doktora Baronsa kiedykolwiek nada się do podjęcia studiów, czy nie będzie mieć nawrotu choroby, przez który wyleciałby z uniwersytetu.

Ale protocyлина miała to wszystko zmienić. Nasze płuca już zawsze pozostaną słabe, więc nie marzyliśmy o karierze maratończyków, ale wiedzieliśmy, że będziemy żyć.

Chciałam bardziej się z tego cieszyć, ale myślałam tylko o tym, że właśnie powinnam kończyć klasę maturalną, a za dwa miesiące wrócę do domu i znów wyląduję na początku liceum. Że zostanę z tyłu, bo raczej nie zdołam nadążyć za uczniami, którzy chodzili na zajęcia z całek i rozszerzonej chemii. Wiedziałam, że teraz będę uczennicą specjalnych potrzeb zamiast prymuską tak jak kiedyś. Nie miałam prawa jazdy. Nawet nie zaczęłam się przygotowywać do egzaminów wstępnych.

Wszystkie te rzeczy tak dawno zniknęły z mojego życia, że zapowiedź ich nagłego powrotu mnie przerażała.

Nowy chłopak mamy, którego nigdy nie poznałam – ale moja siostra twierdziła, że jest miły – ponoć już u nas pomieszkiwał. Nie mieściło mi się w głowie, że będę miała w domu jakiegoś faceta, który nie jest tatą. Że świat w ogóle na mnie nie zaczekał, wszystko się pozmieniało i jakiś księgowy o imieniu Drew wypełnia teraz naszą lodówkę koktajlami proteinowymi.

Lane i ja mieliśmy dla siebie jeszcze tylko kilka tygodni, zanim wszystko się zmieni. Kilka krótkich tygodni na bycie tą wersją nas samych, wersją z Latham. I zamierzałam zrobić wszystko, żeby te ostatnie chwile były wartościowe. Chciałam się nacieszyć ostatnimi strzępami radości, dopóki wciąż potrafiłam odnajdywać je w ruinach.

Byłam pewna, że już nie będę taka fajna i oryginalna jak w Latham. Zniknie dziewczyna z czerwoną szminką i ostrym językiem, która pyskowała nauczycielowi od francuskiego i kpiła sobie z reguł na stołówce. W prawdziwym świecie nie było miejsca dla Sadie z aparatem fotograficznym, wymykającej się do lasu z przyjaciółmi, jakby mieli tam załatwiać jakieś swoje szemrane sprawy. Dla tej dziewczyny, która zawsze najgłośniej się śmiała i sprawiała takie wrażenie, jakby nawet zamknięta w swoim pokoju robiła same ciekawe rzeczy. Wszystko to miało zniknąć w jednej chwili jak zdmuchnięte. Wiedziałam, że w jednym momencie zmienię się w tę dziwną nową, która tak długo siedziała w sanatorium, że wszyscy o niej zapomnieli, nawet jej rodzina.

Mama rozplakała się do słuchawki, choć słyszałam, że uśmiecha się przez łyzy. Zapewniła, że mój pokój na mnie czeka i że wypierze mi pościel, zanim wrócę, tak jakby pod moją nieobecność prześcieradło i poszewka na kołdrę prowadziły jakieś wyjątkowo dekadentkie życie. Że pójdziemy na tacos i że

nie może się doczekać, aż Drew mnie pozna, że Erica ma popis gimnastyczny zaraz przed świętami i nie ma mowy, bym przegapiła jej występ. Była tak szczęśliwa, że nie chciałam jej przerywać. Jej podekscytowane paplanie sprawiało wrażenie, że już dawno pogodziła się z myślą, że nigdy nie będzie musiała pracować tej pościeli.

W czwartek miałam wizytę u doktora Baronsa – potrzebowałam nowej baterii w sensorze. Należało ją wymieniać co parę miesięcy, a cała ta procedura sprawiała, że czułam się jak robot. Nosiałam opaskę już tak długo, że kiedy lekarz na chwilę zdejmował mi ją z nadgarstka, czułam się zbyt lekka, jakby mi coś amputowano.

Gdy byłam młodsza, miałam taki łańcuszek z gwiazdką, którego nigdy nie zdejmowałam, nawet do kąpieli. Dostałam go od taty. Rozpięłam go dopiero tamtego wieczora, kiedy rodzice powiedzieli, że się rozwodzą, a potem podsłuchiłam prawdę: tata kochał jakąś kobietę ze swojego biura, najwyraźniej bardziej od nas, bo wolał być z jej rodziną. Przez kolejny tydzień bez przerwy sięgałam ku szyi, żeby jak zawsze chwycić za wisiołek. Zapominałam nie tylko o tym, że go zdjęłam, ale też o tym, że to już nie jest Gwiazda Polarna mojego ojca, bo on już nie chciał znaleźć drogi do domu.

Chyba się zamyśliłam, bo nagle usłyszałam głos Baronsa:

– No, złotko, muszę ci ją jeszcze założyć z powrotem.

– Och, przepraszam.

Wyciągnęłam rękę przed siebie, patrząc, jak lekarz bierze w dłoń maleńki śrubokręt i przykręca płytkę zabezpieczającą baterię. Uśmiechnął się do mnie uspokajająco i chwilę grzebał przy zapięciu. Następnie przykręcił tylną część sensora, ale zielone światełko się nie zapaliło. Patrzył chwilę na sensor ze skrzywioną miną.

– Hmm. Chyba trzeba go zresetować – stwierdził, po czym wyjął

z kieszeni spinacz do papieru i wsunął końcówkę do jednej z małych dziurek z boku opaski. Chwilę potrzymał spinacz w dziurce, aż w końcu coś kliknęło i na bransoletce znów zamigło zielone światełko. – Czasami same się wyłączają – wyjaśnił. – Ale wystarczy reset i znowu chodzą jak należy.

– Mhm, teraz Gatsby powinien mnie łatwo znaleźć – odparłam, a doktor Barons posłał mi rozkojarzony uśmiech.

– Gotowe – oznajmił i włączył tablet, żeby upewnić się, że znów jestem online. Ale kiedy popatrzył na wyniki, znów zmarszczył brwi.

– Wszystko w porządku? – zapytałam, zeskakując z kozetki.

– Masz trochę podwyższoną temperaturę – odparł, przewijając coś na tablecie. – I przyspieszony rytm serca.

Odwrócił się do komputera, postukał w klawisze, otworzył serię rentgenów i zaczął przeskakiwać od jednego do drugiego.

– To moje? – chciałam wiedzieć.

Pokiwał głową i przekreślił się na stołku, żeby siedzieć twarzą do mnie.

– Coś nie tak? – Nie dawałam za wygraną.

Tylko się uśmiechnął.

– Nie, nie... Nic, z czym dawka protocyliny by sobie nie poradziła.

ROZDZIAŁ 17

LANE

Latham nigdy nie przypominało letnich kolonii tak bardzo jak przez te pierwsze kilka dni po ogłoszeniu wieści o odkryciu lekarstwa. Nagle wszyscy zaczęli rozmawiać o przyszłości i żartować, że wyślą sobie zaproszenia na Facebooku. Wakacje w Latham zbliżały się ku końcowi i każdy drobiazg wywoływał fale przesadnej nostalgii.

W piątek było Halloween. Wprawdzie Sadie co jakiś czas rzucała żarty o wspólnym malowaniu dyń ozdobnych, ale jakoś jej nie wierzyłem. Pod koniec tygodnia okazało się jednak, że to wcale nie był żart. Pielęgniarki ustawiły na trawniku stoły, po czym zakleiły je tysiącem worków na śmieci, żebyśmy niczego nie pobrudzili.

Dynia Charliego oczywiście okazała się arcydziełem. Marina zrobiła ze swojej Daleka z *Doktora Who*. Nick odwrócił jej dynię, by skopiować wzór, a Marina siedziała nadąsana i patrzyła na niego z oburzeniem. Moja dynia, na której namalowałem koślawego ducha, wyszła tak beznadziejnie, że Sadie westchnęła teatralnie i skwitowała moje dzieło kąśliwą uwagą, jakie to szczęście, że nie chodziłem w liceum na plastykę.

– Przepróś! – nalegałem, wywijając pędzlem.

– Nie mam za co przeproszać. Ocena się nie zmieni. Dwa minus. Żegnaj, Stanfordzie.

Machnąłem pędzlem w jej stronę i pomazałem jej policzek farbą. Zapiszczała i próbowała się wytrzeć, ale tylko rozsmarowała sobie plamę koloru na twarzy.

– Oj, pożałujesz – zagroziła, po czym wychyliła się przez stół i namalowała mi pomarańczowy pasek wzdłuż nosa.

Ani się obejrzałem, a już cała nasza piątka walczyła na pędzle. No, czwórka, bo Charlie w tym czasie chronił swoją dynię własnym ciałem, błagając, żebyśmy jej nie zniszczyli.

Ale dziełu Charliego przypadł w udziale ten sam los, który dopada wielu niewinnych cywili na każdej wojnie.

– Eksterminować? – powiedziała niewinnie Marina, trzymając przed sobą pędzel, nadal ociekający farbą.

– Zabiję cię! – sapnął wściekle Charlie, wpatrując się w swoją okaleczoną dynię. Po czym złapał za pędzel i dołączył do walki.

Kiedy wreszcie skończyliśmy, wszyscy gapili się na nas, jakbyśmy oszaleli. I może mieli rację. Byliśmy cali upaprani farbą, a wokół nas walały się porozwalane dynie. Potem przyszła pielęgniarzka i strasznie się na nas wkurzyła, a ja jeszcze wieczorem czułem w uchu zaschniętą farbę, kiedy siedzieliśmy na sali gimnastycznej i oglądaliśmy *Hokus-pokus*.

– Ten film jest beznadziejny – wyszeptała Sadie, potrząsając głową.

– Uwielbiałam go, kiedy miałam sześć lat – odparła Marina i wszyscy zgodziliśmy się, że owszem, jako dzieci uważaliśmy, że jest świetny.

Nick znów przyniósł alkohol, ale powiedział, że to już końcówka. W następny piątek miał uzupełnić zapasy.

– W przyszłą sobotę są moje urodziny, więc będziemy potrzebowali

konkretnych procentów – oznajmiła Marina, a Nick obiecał, że się tym zajmie.

Charlie zasnął. Oddychał płytko i chrapliwie, może dlatego, że skulił się na poduszce z głową odrzuconą do tyłu.

– Nic mu nie jest? – zapytałem.

Nick zerknął na Charliego.

– E, nie. Zawsze zasypia na filmach.

– Chyba całymi nocami pisze różne rzeczy w tym swoim notesie – dorzuciła Sadie.

Nick trącił Charliego stopą, a on zmienił pozycję, pokaszując trochę przez sen.

– Nie jedzcie morsa, jest zatruty – wymamrotał, podrygując lewą nogą.

– Aha, wszystko z nim okej – ocenił Nick.

Znów skoncentrowaliśmy się na filmie, który był jednak dość tandetny. Przypominał mi o Roku Kostiumu Goryla – nie mogłem uwierzyć, że opowiedziałem o tym Sadie. Świetna robota, Lane. Ty to wiesz, jak zdobyć serce wybranki.

Przed nami siedziały trzy dziewczyny w piżamach i z kocimi wąsikami namalowanymi na twarzy. Co chwila chichotały, wpatrzone w ekran, jakby film naprawdę im się podobał. Grupa chłopaków z piętra Charliego przyglądała im się z zainteresowaniem. Podawali sobie bidon i co chwila zanosili się takim kaszlem, jakby ciągnęli z niego czysty alkohol.

Sadie siedziała obok mnie i popijała swój soczek z kartonika. Nasze bose stopy leżały splecione razem. Jej paznokcie u nóg były pomalowane na niebiesko, włosy miała rozpuszczone i wilgotne po prysznicu i była taka piękna, że nie miałem pojęcia, co zrobić, kiedy nie będę mógł jej codziennie widywać i zamiast spędzać z nią czas wieczorami, będę ślęczał nad zaległościami z rozszerzonych przedmiotów.

Sadie zauważyła, że się na nią gapię, i posłała mi szeroki uśmiech.

– Cukierek albo psikus? – zagadnęła.

– Psikus? – odparłem z nadzieją.

– Niestety, mam tylko cukierka.

Wsunęła mi w dłoń ostatniego miniaturowego twiksa. Rozerwałem opakowanie, a czekolada wypłynęła ze środka, brudząc wszystko wokół.

– Cały się roztopił – jęknąłem, a Sadie tylko uśmiechnęła się smutno.

– Nawet czekolada nie trwa wiecznie – powiedziała.

Charlie nie chciał z nami siedzieć w niedzielę wieczorem. Twierdził, że musi wymyślić przejście w nowej piosence. Nie miał weny, i nie, nie mógł tego po prostu tak zostawić, bo wypadłby z rytmu.

Zostaliśmy więc tylko Nick i ja. Nick nadal nie był zadowolony, że spotykam się z Sadie, ale powoli mu przechodziło. Chyba przestało mu to tak przeszkadzać, kiedy okazało się, że niedługo stąd wyjdziemy. Bez przerwy powtarzał, że dziewczyny w szkole będą myślały, że jest taki mroczny i tajemniczy, więc jego największym problemem będzie radzenie sobie z popularnością. Nie chciałem psuć mu fantazji, więc kiwałem głową i mówiłem, że jasne, właśnie tak będzie.

Tamtego wieczora Nick w przypiływie nostalgii uparł się, żebyśmy zegrali w Mario Kart. Tylko że pożyczył swoją grę Carlosowi z pierwszego piętra, więc poszliśmy do niego, żeby ją odzyskać. Ale Carlos nie mógł jej znaleźć. Sterczeliśmy w drzwiach, podczas gdy Carlos przerzucał nieskończone sterty badzewia w szufladach w bezskutecznych poszukiwaniach Mario Kart.

– Przysięgam, że jeszcze trzy dni temu miałem ją w rękach – upierał się.
– Czekajcie. Może być tylko w pięciu miejscach.

Otworzył szafę i zaczął wyrzucać ubrania na łóżko, jakby myślał, że

może przypadkiem odwiesił grę Nicka na wieszak.

Nick tylko wzniosł oczy do nieba.

– Może pogramy w coś innego – zasugerowałem. – Nie chcesz mi pokazać, jak robisz tę sztuczkę z kuszą w Głodzie Krwi?

Wtedy z pokoju obok rozległ się przenikliwy elektroniczny pisk. Brzmiał jak budzik albo alarm w telefonie. Tylko głośniejszy i jakoś bardziej złowroźbny.

Piiip-piiip-piip! Piiiiiiip! Piiip-piiip-piip! Piiiiiiip!

Nick i Carlos natychmiast zeszywnieli.

– O, szlag – rzucił Carlos. Bluza, którą trzymał w dłoniach, upadła na podłogę.

Pisk nie ustawał. Nie rozumiałem, dlaczego nikt tego nie wyłączy – ani dlaczego moi koledzy tak dziwnie się zachowują.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Sensor medyczny – wyjaśnił Nick ponuro.

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Na twarzy Nicka malował się strach.

– Chodź. – Pociągnął mnie na korytarz.

Sensor dalej pisał. Drzwi otwierały się jedne po drugich, mieszkańcy wychodzili z pokoi. Kilku chłopaków z drugiego piętra weszło na schody i patrzyło w dół, z głowami wytkniętymi za poręcz.

– Kto to? – zapytał ktoś w końcu.

Jakiś Azjata owinięty ręcznikiem wypadł z łazienki. Nadal miał szampon na włosach.

– Chandler?! – zawołał.

– To nie ja, stary – odparł jego zwalisty kumpel.

– O cholera – wyszeptał Nick. – Pielęgniarka idzie!

Do tego czasu już prawie wszyscy chłopcy zdążyli wyjść na korytarz,

więc pielęgniarka Monica musiała przepychać się przez tłum.

Nasze sensory wszczynały alarm tylko wtedy, gdy funkcje organizmu drastycznie odbiegały od normy, żeby zasygnalizować konieczność natychmiastowej interwencji medycznej. Większość osób w tak poważnym stanie przebywała już na stałe w skrzydle szpitalnym.

– Proszę się odsunąć! – strofowała nas pielęgniarka. – Ktoś potrzebuje pomocy!

– A gdzie Charlie? – zapytałem.

– O Boże. – Nick zbladł.

Hałas dobiegał z pokoju Charliego.

Nick i ja zaczęliśmy się przeciskać do przodu. Nie pamiętam, żebym kiedyś był tak przerażony. Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe i myślałem, że zaraz zwymiotuję. To nie mógł być Charlie. Niemożliwe.

Pielęgniarka rzuciła się do drzwi i otworzyła je gwałtownie.

Charlie siedział zgarbiony nad biurkiem. Na gigantycznym ekranie komputera zobaczyliśmy dwóch facetów robiących swoje. W zestawieniu z wielką butelką balsamu do poślizgu i brakiem spodni było zupełnie oczywiste, czym się zajmował.

Tłum chłopaków na korytarzu oszalał z uciechy.

– Och – bąknęła pielęgniarka. Chyba spodziewała się trochę innej katastrofy.

– Kurwa! – Charlie o mało nie spadł z krzesła. – Zamknijcie te drzwi!

– Ej, tam jest facet z facetem! – krzyknął Preston, jakby sądził, że wykazuje się niezwykłą spostrzegawczością.

– Obrzydliwe! Cała w tył! – zawołał ktoś inny.

– Ty też lubisz w tył? – zakpił ktoś z tłumu.

– Wystarczy! – przerwała pielęgniarka. – Wynosić mi się stąd! Wszyscy

do swoich pokojów! – Po tych słowach bezceremonialnie wtargnęła do pokoju Charliego i zamknęła za sobą drzwi.

Ze środka dochodził jej stłumiony głos. Próbowwała uspokoić Charliego, a on krzyczał:

– Boże, niech mnie pani zostawi! Nic mi nie jest!

– To chyba mój najgorszy koszmar – stwierdził Nick.

– Co z nim będzie? – zapytałem.

– Och, nigdy się po tym nie podniesie – odparł radośnie Nick, ale potem zauważył moją minę. – No, wszystko z nim w porządku. Po prostu tak ostro sobie walił, że sensor mu zwariował.

– Myślałem, że to tylko legenda.

Przecież ja nigdy nie miałem tego problemu. No i domyślałem się, że biorąc pod uwagę, hm, wachlarz aktywności na moim piętrze, takie alarmy nie były czymś typowym. Słyszałem, jak chłopaki z tego żartują, ale uznałem, że chcą tylko w ten sposób przestraszyć nowego.

– E, czasami się zdarza, jeśli za mocno pojedziesz. Najważniejsze to się nie spieszyć. Trzeba dostatecznie obniżyć sobie puls, żeby...

– Zamknij się – przerwałem.

– Wiesz, musisz oddychać jak na jodze.

– Poważnie, stul dziób.

– Ej, ja ci daję darmowe porady – zaprotestował Nick. – Żebyś nie został następną ofiarą monitoringu medycznego.

– Bez urazy, ale nie mam ochoty myśleć o tobie, kiedy będę trzymać fiuta w dłoni.

– Aha! – zawołał triumfalnie Nick. – Aha! Więc jeszcze nie wyczochraliście z Sadie zakochanych małych boberków!

Nie wiedziałem nawet, co na to odpowiedzieć. Ani dlaczego Nick uważa,

że mamy małe boberki do wyczochrania. Może mieliśmy wielkie bobry. Skąd mógłby to wiedzieć?

– To jest najgorszy z możliwych światów – skwitowałem, potrząsając głową, kiedy szliśmy z powrotem na górę.

– Oczywiście. Wszyscy jesteśmy chorymi prawiczkami. Poza Charliem, który jest chorym gejem prawiczką, w dodatku na tyle durnym, żeby ustawić sobie komputer ekranem do drzwi – stwierdził Nick. – Nie chciałbym być jutro na jego miejscu.

Kiedy Charlie wślizgnął się następnego ranka na stołówkę, było oczywiste, że chciałby rozpląnąć się w powietrzu. Wcałe mnie to nie dziwiło. Chłopaki z naszego domu nadal miały ubaw po pachy z jego nieszczęścia, a cała historia pewnie zaczynała już zataczać coraz szersze kręgi.

– Co jest grane? – zapytała podejrzliwie Marina, przyglądając się nam spod zmrużonych powiek.

– Nic. – Wzruszyłem ramionami.

Ale Nick musiał się uśmiechnąć, bo Marina tak długo naciskała, aż pękł.

– Eee, mieliśmy wczoraj wieczorem alarm w domu, sensor Charliego się włączył – powiedział i szybko wziął ogromny kęs babeczki, żeby nie musieć mówić nic więcej.

Marina gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Charlie, nic ci nie jest? – zapytała Sadie z niepokojem.

Charlie osunął się jeszcze niżej na krześle, aż prawie dotykał brodą stołu. Wyglądał koszmarnie, jakby całą noc nie spał.

– Niechcęotymgadać – wymamrotał.

Wtedy obok naszego stolika przeszedł Preston.

– Ej, pedzio, rączki na stół! – zawołał ze śmiechem.

– Ej, Preston, palant z ciebie! – odkrzyknął Nick.

Charlie położył głowę na stole i westchnął ciężko.

– Nick – powiedziała surowo Sadie – masz nam wszystko wytłumaczyć.

Nick opowiedział więc całą historię, co chwila parszając śmiechem. Kiedy skończył, Marina uśmiechała się szeroko, a Sadie z trudem utrzymywała powagę.

– Kolejny powód, dla którego lepiej być dziewczyną – stwierdziła, a ja mało nie oszalałem na samą myśl, że ona też to robi.

– Całe piętro widziało? – dopytywała Marina. – W sensie, że wszyscy?

– Jakies siedemdziesiąt pięć procent. A poza tym Lane i ja – odparł Nick.

– To nie jest zabawne – zawył Charlie. – I jeszcze to siostra Monica mnie nakryła, a nie Jamie! Monica jest jak mama!

– Ona jest mamą – wtrącił Nick. – Jej dzieci są przesłodkie. Widziałem na zdjęciach.

– Och, zamknij się – odparł Charlie. – Nienawidzę tego ustrojstwa. Żeby chociaż dało się to jakoś wyłączyć.

– Tak się składa... – zaczęła Sadie, a my wlepiliśmy w nią wzrok.

– Wiesz, jak to zrobić? – zapytał podekscytowany Charlie.

Sadie wzruszyła ramionami. Ten sam gest widziałem u niej, kiedy rzucała na łóżko paczkę przeschumowanych słodyczy albo kiedy Finnegan kazał jej zostać po lekcjach. Jakby to nie było nic wielkiego, więc próbowała zachować pozory nonszalancji. Ale zdradził ją cień uśmiechu w kąciку ust.

– Oczywiście – odparła. – Barons zmieniał mi baterię i sensor się zawiesił, więc trzeba było go zresetować.

– Pokażesz mi? – Charliemu aż zaświeciły się oczy.

– Proste. Musisz tylko wsadzić spinacz do papieru w środkową dziurkę,

aż kliknie w środku.

– Wspaniale. – Charlie uśmiechnął się szeroko.

– Super. – Nick przewrócił oczami. – Stworzyłaś potwora.

– Ej, ja tylko chcę móc się nacieszyć własnym pokojem – zaprotestował Charlie. – W domu mam wspólną sypialnię z bratem, a on ma dziewięć lat. Dziewięć.

– I co, myślisz, że twoje życie jest do dupy? Mnie zapisali do katolickiej szkoły dla dziewcząt – wtrąciła Marina z pretensją w głosie. – Takiej z mundurkami i zakonnkami. I jestem tam jedyną czarną osobą.

Kolejny chłopak z piętra Charliego przeszedł obok naszego stolika, parszcząc śmiechem. Charlie westchnął, po czym dostał ataku kaszlu. Brzmiał koszmarnie, a pod koniec zupełnie zabrakło mu tchu. Wepchnął chusteczkę z powrotem do kieszeni, nawet na nią nie patrząc, choć sądząc po odgłosach, chyba wykaszłał trochę krwi.

– Idę do siebie, może chociaż uda mi się przerobić to gówna na muzykę – oznajmił i wstał, podnosząc swoją tacę.

– Za dziesięć minut mamy lekcję – zauważyłem.

Charlie wydał z siebie absurdalnie fałszywy, piskliwy kaszel.

– Nie mogę zostać, jestem chory – odparł z uśmiechem.

We wtorek pan Finnegan czekał na nas w klasie. Na jego biurku stały papierowa torebka i miska pełna miniaturowych halloweenowych słodczy. Kiedy weszliśmy, uśmiechnął się szeroko.

– *Bonjour, classe* – powiedział, wciąż z zadowoloną miną. – *Ça va bien? Vous avez passé un bon Halloween?*

Posłałem Sadie pytające spojrzenie, ale ona tylko wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że też nie rozumie. Nigdy nie widziałem Finnegana

w takim dobrym humorze. A te słodycze już zupełnie zbiły nas z tropu. Jakby coś się w nim obudziło i przypomniało mu, że jest nauczycielem i że ma z nami francuski. A może chodziło o zapowiedź protocyliny, która – jeśli teoria Sadie była zgodna z prawdą – wyleczyłaby jego problem z zatrudnieniem.

– Dzisiaj zrobimy coś innego – oznajmił Finnegan. – Podzielimy się na dwa zespoły, a zwycięzcy dostaną w nagrodę wszystkie halloweenowe słodycze z przeceny. W tej torebce mam francuskie łamańce językowe. Każdy wylosuje jeden i przeczyta na głos. Jeśli się uda, drużyna dostaje punkt. A jeśli się pomyli, to minus jeden dla zespołu.

– A jak mamy się dobrać w drużyny? – zapytał Nick.

– Czy możemy uznać chłopcy kontra dziewczęta za uczciwy podział? – zapytał nauczyciel.

Stwierdziliśmy, że tak. Reszta lekcji upłynęła nam na zmaganiach z takimi *les virelangues* jak „*Ces cerises sont si sûres qu'on ne sait pas si c'en sont*”.

Dziewczyny wygrały i triumfalnie rzuciły się na miskę ze słodyczami.

– Wasza praca domowa – oznajmił Finnegan, kiedy się pakowaliśmy.

Wszyscy zastygli na swoich miejscach, a Nick nawet prychnął śmiechem, myśląc, że to żart.

– Wasza praca domowa – ciągnął Finnegan – to wymyślić własny *virelangue*. Słowniki francusko-angielskie są w szafce z tyłu klasy, jeśli chcielibyście z nich skorzystać.

Gapiliśmy się na niego ze zdumieniem.

– No cóż – powiedział, jakby to było zupełnie oczywiste – jeśli macie w przyszłym semestrze wrócić do szkoły, powinniście zacząć się przyzwyczajać do pracy domowej. Koniec lekcji.

Charliego nie było na francuskim, nie przyszedł też na lunch, więc nasza czwórka zjadła prędko, po czym ulotniliśmy się ze stołówki i poszliśmy sprawdzić, jak się czuje.

Nie dziwiło mnie, że unika towarzystwa, bo wielu chłopaków z naszego domu nadal mu dokuczało. Nick powiedział, że gdyby w porno były dwie dziewczyny, Charlie zostałby obwołany bohaterem. Bardzo mi się nie podobało, że prawdopodobnie tak właśnie by było.

Z okna Charliego dobiegało wściekłe solo na ukulele. Na zmianę rzucaliśmy w szybę kamykami, aż wreszcie muzyka umilkła.

Charlie podszedł do okna. Włosy miał w nieładzie, oczy podkrążone. Popatrzył na nas tak, jakby nie miał pewności, co tu robimy ani jaki jest w ogóle dzień tygodnia.

– Żyjesz? – zapytała Sadie.

– Pracuję – odparł, spoglądając na nas z góry. – Muszę wycisnąć z siebie tę piosenkę, zanim emocje do końca wyparują.

Zniknął w głębi pokoju. Po chwili ze środka rozległ się kaszel, a potem znowu dobiegły nas dźwięki muzyki.

– Wspaniale – mruknęła Marina, po czym poszła z Nickiem sprawdzić, czy komputer w bibliotece jest wolny.

Zamierzałem iść razem z nimi, ale Sadie złapała mnie za rękę.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

Ostatnio wydawała się jakaś zmartwiona, jakby czymś się gryzła i nie chciała mi o tym powiedzieć. Miałem nadzieję, że po prostu jest oszołomiona perspektywą powrotu do domu i przyszłości bez gruźlicy.

– Oczywiście – odparła Sadie, a ja aż zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem coś mi się nie przywidziało. – Mam dla ciebie pewną propozycję.

– Zamieniam się w słuch.

– Nie masz ochoty przemycić dziewczyny do swojego pokoju? – zapytała z szerokim uśmiechem.

– Chyba już znasz odpowiedź.

Przemknęliśmy się po schodach na drugie piętro. Kiedy otworzyłem drzwi do swojej sypialni, nadal było słychać muzykę Charliego i jego wysoki, smutny wokal przy rozdzierającym akompaniamencie ukulele. Nie potrafiłem ocenić, czy to dobra muzyka, ale z pewnością płynęła prosto z serca.

– *Sorry*. – Westchnąłem. – Jego pokój jest prawie dokładnie pod moim.

– Nie szkodzi. Puść jakąś muzykę, zagłuszemy to – odparła Sadie, więc włączyłem playlistę Belle and Sebastian na komputerze.

Sadie rozejrzała się z uśmiechem po moim pokoju.

– Zamierzałeś się tu wprowadzić? – dogryzła mi.

– Rozpakowałem się! – zaprotestowałem, choć rzeczywiście wszystko tu wyglądało jak w hostelu.

Mój pokój nie przypominał sypialni Nicka, pełnej elektroniki i figurek postaci z filmów i kreskówek, ani Charliego, w której każdy skrawek przestrzeni zajmowały płyty i najdziwniejsze instrumenty. Miałem trochę ciuchów w szafie, zeszyty na biurku, a przy lampce do nauki wydrukowane zdjęcie, które Sadie zrobiła nam tamtego wieczora na sali gimnastycznej.

Sadie wzięła zdjęcie do ręki i się uśmiechnęła.

– Nasza udawana studniówka – powiedziała.

– To był całkiem miły wieczór.

– Prawie nie zdążyłam do domu na ciszą nocną. – Roześmiała się.

– Ja też. Musiałem wskoczyć do łóżka w koszuli i krawacie.

Mój pokój był bardzo wąski, a ona stała tuż przy mnie i miała na sobie obcisłe ciemne dzinsy, więc ledwie byłem w stanie skupić się na

czymkolwiek innym.

– Cóż, gdybyśmy mieli więcej czasu... – powiedziałem i schyliłem się, żeby ją pocałować.

Jej usta były ciepłe, miękkie i smakowały kokosem. Oplotła nogę wokół mojej, co było tak seksowne, że nie mogłem dłużej wytrzymać, chciałem przycisnąć ją do siebie tak blisko, żeby nie została między nami żadna wolna przestrzeń, żebyśmy nie wiedzieli, gdzie ona się kończy, a ja zaczynam.

– Przez ciebie moja opaska zaraz zacznie wyć na alarm – zażartowałem.

– Wiesz, puls trochę spowalnia, kiedy leżysz – zasugerowała niewinnie.

Uśmiechnęła się, patrząc na mnie figlarnie spod rzęs. Boże, miałem taką ochotę rzucić ją na łóżko. Chciałem zrobić wszystko, o czym myślałem, kiedy byłem w pokoju sam na sam ze swoją wredną opaską medyczną i musiałem pilnować, żeby się nie rozpędzić.

– No? – Głos Sadie wyrwał mnie z zamyślenia. – Jak uważasz?

Jak uważam?

– Tak, to byłoby spoko – odparłem, a Sadie zachichotała, widząc moją desperacką próbę udawania, że wcale nie wyłażę z siebie.

Usiadła na krawędzi łóżka, a ja wypaliłem:

– W domu jest większy.

Nie mam pojęcia, dlaczego to powiedziałem. Sadie o mało nie umarła ze śmiechu.

– Lane, anatomia chyba tak nie działa.

– Miałem na myśli swój pokój – wyjaśniłem z zażenowaniem. – I są w nim plakaty, i mam z okna widok na...

W tym momencie przestałem mówić, bo Sadie mnie pocałowała, a ja nie byłem w stanie już o niczym myśleć, tylko przez cały czas z przerażeniem i zachwytem jednocześnie próbowałem oddychać jak na jodze.

ROZDZIAŁ 18

SADIE

Z biegiem czasu zaczynałam się godzić z myślą, że pobyt w Latham nie będzie trwać wiecznie. Zastanawiałam się nawet, czy udałoby mi się zachować jakąś część Sadie z Latham po powrocie do domu. Nie musiałam iść z powrotem do swojej starej szkoły. Mogłabym się zapisać do innej albo do liceum plastycznego, albo po prostu podejść do matury i mieć święty spokój.

Ten pomysł częściowo zawdzięczałam Lane'owi, który patrzył w przyszłość z niezachwianym optymizmem i nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłby coś przegapić. A częściowo dlatego, że wreszcie miałam odpowiedź na pytanie, ile piasku jeszcze zostało w mojej klepsydrze, na ile planów mogę sobie pozwolić.

Spróbowałam wyobrazić sobie nas wszystkich lata później, podczas ferii zimowych na którymś roku studiów, jak siedzimy w otwartej do późna knajpie i opowiadamy sobie, co się u nas zmieniło. Charlie opowiada o swojej muzyce, Marina o projektowaniu ubrań, Nick już rozkręca własny biznes, a Lane robi karierę akademicką i nadal patrzy na mnie tak, jakby nie

dostrzegając nikogo innego. Może to miało szansę powodzenia – studiowałabym fotografię na jakiejś uczelni artystycznej w San Francisco, niedaleko Uniwersytetu Stanforda. Może jeździlibyśmy razem z Lane’em na obiad.

W piątek musieliśmy iść odebrać kolejną porcję zakupów z przemytu. Nick poszedł ze mną – pewnie domyślał się, że mogłabym „niechcący” zapomnieć o jego alkoholu, gdyby znowu mnie wystawił. Była zimna, ciemna noc. Las wydawał się nie tyle mroczny, ile gęsty i trudno było nam znaleźć drogę.

Nick prawie się nie odzywał, aż kiedy byliśmy mniej więcej w połowie drogi, westchnął głośno.

– Co? – zapytałam.

– Więc ty i Lane.

– To nie jest stwierdzenie, opinia ani pytanie – poinformowałam go.

Nick prychnął, niespecjalnie rozbawiony moją uwagą.

– No to powodzenia.

– O czym ty mówisz?

– Chyba nie sądzisz, że zostanieie razem po wyjściu z Latham, co? – powiedział, otwierając szeroko oczy z udawanym niepokojem, ale ja przejrzałam go na wylot, aż do jego rozdygotanej, zawistnej duszyczki.

– Może. Co cię to obchodzi?

– Po prostu nie chcę patrzeć, jak dzieje ci się krzywda.

– Rany, dzięki za troskę. Wspaniały z ciebie przyjaciel.

Nie chciałam, żeby to zabrzmiało aż tak sarkastycznie, ale było już za późno. Nick posłał mi krzywe spojrzenie w świetle księżyca.

– Nigdy nie chciałem się przyjaźnić – wymamrotał.

– Nikt ci nigdy nie powiedział, że życie to pasmo rozczarowań? Przykro

mi, że nie udało ci się odhaczyć mojego imienia na liście dziewczyn, które chciałbyś zaliczyć.

– Sądziś, że na tym mi zależało? – Nick był zszokowany. – Myślałem, że wiesz.

Jego twarz złagodniała. Pociągnął mnie ku sobie i nachylił się do pocałunku.

– Zostaw mnie! – Odepchnęłam go. – Nie wierzę, że to zrobiłeś!

– Przepraszam – bąknął zawstydzony. – Naprawdę przepraszam.

– Wiesz co, Nick, czasami naprawdę straszny z ciebie pajac – oznajmiłam.

– Po prostu zapomnijmy, że to się wydarzyło. Proszę.

– Okej. – Westchnęłam. – Jak sobie chcesz.

Dotarliśmy na miejsce, gdzie zwykle spotykaliśmy się z Michaelem, ale jego jeszcze nie było. Stałam pod drzewem. Wszystko gotowało się we mnie ze złości. Chciałam, żeby Nick wreszcie sobie odpuścił. Albo może raczej mnie.

Po chwili usłyszałam w oddali chrzęst suchych liści, po czym na pniach drzew zamigotało światło latarki. Michael z naszymi zakupami.

– *Sorry* – powiedział, kaszląc i pociągając nosem jednocześnie. – Coś mnie złapało. Macie kasę?

Nick podał mu kopertę, a Michael przeliczył pieniądze. Kasował za wszystko potrójną cenę – wprawdzie trzydzieści dolarów za wódkę kosztującą dychę to słaba okazja, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Tak naprawdę wypadałoby, żebyśmy naliczali jeszcze z Nickiem marżę, ale nigdy tego nie robiliśmy. No, może tylko osobom, których naprawdę nie znosiliśmy. Z Genevieve wyciskaliśmy pięć dolców za każdą paczkę m&m'sów.

– Wygląda w porządku – stwierdził Michael, chowając kopertę do kieszeni kurtki. – Zobaczymy się za dwa tygodnie.

– Spoko – odparłam.

– Nie pakujcie się teraz w żadne kłopoty. – Mówiąc to, Michael spojrział mi prosto w oczy, jakby to było ostrzeżenie.

W sobotę Marina miała urodziny. Kończyła siedemnaście lat – była najmłodsza z naszej paczki i zawsze się z niej przez to nabijaliśmy, kiedy oglądaliśmy filmy dla dorosłych albo przemycaliśmy alkohol Nicka, choć akurat na to wszyscy byliśmy za młodzi.

Nie znosiłam swoich urodzin w Latham, bo nigdy nie miałam pewności, czy kogokolwiek to naprawdę obchodzi, czy może po prostu wszystkim ulżyło, że przetrwałam kolejny rok. Marina obchodziła swoje pierwsze urodziny w Latham, więc ominęła ją niezręczna atmosfera, która towarzyszyła mnie, Nickowi i Charliemu przed pojawieniem się protocyliny. Ale i tak zafundowaliśmy jej naszą tradycyjną celebrację.

Wetknęliśmy niezapaloną świeczkę w stertę grubych naleśników i zaśpiewaliśmy jej *Sto lat* przy śniadaniu.

– Jeszcze raz, jeszcze raz, niech żyje, żyje nam... Niiieech żyje nam!

– Tym razem na poważnie, bo mamy lekarstwooo – dośpiewał Charlie, po czym rozkaszał się w chusteczkę. Trzymał przed sobą notes, a oczy tak mu błyszczały, jakby całą noc przejechał na nielegalnych red bullach.

– Jak idzie praca? – zapytałam.

– Dobrze – odparł Charlie. – Niedługo będziecie mogli posłuchać całej płyty.

– Już słyszeliśmy – przypomniał mu Lane. – Przecież zawsze grasz przy otwartych oknach, nie zauważyłeś?

– To tylko surówka. Wszystko składam potem na komputerze, dodaję warstwy, wirtualne instrumenty i w ogóle. Sami się przekonacie.

– Och, serio? Właśnie to robisz na komputerze? – wtrącił Nick i wszyscy się roześmialiśmy.

– Spadaj – burknął Charlie. – Ja tu próbuję stworzyć jakieś dziedzictwo. W różnych momentach gromadzi się konkretna energia. Jeśli raz ucieknie, to jej nie odzyskasz. Albo to nagrasz, albo zostaniesz z niczym.

Wstał, żeby odnieść swoją tacę.

– A ty dokąd? – spytał Nick.

– Do pracy – odparł Charlie, po czym zniknął w drzwiach.

Marina uparła się, żebyśmy wyprawili przyjęcie urodzinowe. Postanowiliśmy, że wymkniemy się nocą i spotkamy w lesie na sekretną celebrację. Mieliśmy się zebrać nad wyschniętym strumykiem nieco na zachód od skały. Było to dostatecznie daleko od kampusu, żeby światła naszych latarek nie dało się dostrzec z budynków Latham, ale nie na tyle, żebyśmy mieli problem z powrotem. Marina wymyśliła imprezę w togach, które mieliśmy zrobić z naszych prześcieradeł. Po powrocie z lasu wystarczyłoby się ich pozbyć w zrzucie na skażoną pościel – na przykład taką, którą ktoś zapluł krwią – więc nie musieliśmy się obawiać, że je zniszczymy.

Marina i ja spędziłyśmy całe popołudnie na klejeniu liści, z których chciałyśmy zrobić wieńce laurowe na przyjęcie. Przed wszystkim jednak zepsułyśmy sobie manicure, bo klej wlaził wszędzie i nie chciał wyschnąć. Ostatecznie po prostu szczepiłyśmy liście zszywaczem, co zajęło jakieś trzydzieści sekund. Czułyśmy się jak idiotki, że od razu o tym nie pomyślałyśmy.

Wieczorem obie jak zwykle włożyłyśmy piżamy, żeby nadać całemu przedsięwzięciu ducha jeszcze większej konspiracji, po czym wróciłyśmy do swoich pokojów, by poczekać na obchód pielęgniarstwa.

Lane zadzwonił jak zawsze.

– No to co masz na sobie? – zapytał.

– Lane! – oburzyłam się.

– Myślałem, że jesteś ubrana do wyjścia.

– Mhm, jasne – droczyłam się z nim.

– Czyli mogę liczyć na bardziej interesującą odpowiedź?

Zachichotałam w odpowiedzi. Nagle usłyszałam kroki na korytarzu.

– Pielęgniarka – wyszeptałam. – Włóż dzinsy i bluzę. Zobaczymy się później.

Rozłączyłam się i spróbowałam przybrać niewinną minę.

– Oj, słonko, masz lekką gorączkę – oceniła pielęgniarka Heather. – Weź to.

Rozpuściła aspirynę w szklance wody, a ja przewróciłam oczami i posłusznie wypiałam.

– Wspaniale – pochwaliła i zgasiła światło. – Dobranoc.

Ale oczywiście nie miałam zamiaru spać.

Godzinę później do moich drzwi zapukała Marina. Przez ramię miała przewieszony plecak.

– Gotowa? – wyszeptała.

Chwyciłam swoją torbę, naciągnęłam na głowę kaptur i razem przemknęłyśmy się przez korytarz. Po całym piętrze odbijały się echem odgłosy kaszlu. Zaczęłam się zastanawiać, czy ja też kaszlę przez sen – i czy to brzmi równie źle.

Wydostanie się z domu po ciszy nocnej nie było bardzo trudne, tylko trochę niewygodne. Drzwi zamykano, ale okien nie. Wystarczyło więc wyslizgnąć się przez okno wychodzące na tylny ganek i zeskoczyć na trawę. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz tak naprawdę wymknęłyśmy się nocą. Na

poważnie, a nie tylko do pokoju chłopaków przed ciszą nocną.

Przecisnęliśmy się przez okno i zeskoczyliśmy z ganku, a potem ruszyliśmy w bladym świetle księżyca przez trawnik ku skrajowi lasu.

Włączyłam latarkę, kiedy tylko nabrałam odrobinę śmiałości. Promień światła padł na pnie drzew i gęsty dywan butwiejących liści. Najbardziej lubiłam las latem. Był wtedy ciepły i gościnny, a przez gałęzie przebijały się złote struny światła. Ale teraz, w listopadzie, wszystko wyglądało inaczej. Las stawał się zimny i smętny, prawie jakby umierał.

Polana znajdowała się dalej, niż się spodziewałam, a las wydawał się tej nocy jakiś ciemniejszy, bardziej mokry i przesycony zapachem rozkładu.

Marina i ja nadeszliśmy jako pierwsze. Wyjęliśmy prześcieradła z plecaków i spróbowałyśmy upiąć je na sobie jak togi. Prędko doszliśmy do wniosku, że trzeba było wcześniej poćwiczyć. Lane dotarł na miejsce zaraz po tym, jak skończyliśmy. Kiedy nas zobaczył, na jego twarzy odmalowała się ulga.

– Myślałem, że się zgubiłem – wyznał.

– Druga gwiazda na prawo, i prosto, aż do poranka – doradziłam.

– Nie jestem zagubionym chłopcem, tylko zgubiłem się w lesie. – Lane z uśmiechem potrząsnął głową. – Sto lat, Marino.

– Dziękuję – odparła, prezentując swoją togę w zgrabnym piruecie. – Witamy na przyjęciu. Będziemy się bawić niczym Jay Gatsby.

Lane parsknął stłumionym śmiechem.

– Co? – zapytałam.

– No chyba nikt nie chciałby się bawić jak Jay Gatsby – wyjaśnił. – On przecież nawet nie bywał na własnych przyjęciach. A kiedy już przychodził, stał trzeźwy i nieszczęśliwy pod ścianą i czekał na dziewczynę, która nie miała się nigdy pojawić.

Marina się skrzywiła.

– Ma rację – przyznałam przeproszającym tonem.

– Proszę bardzo – stwierdziła Marina. – Będziemy się bawić jak goście na przyjęciach Jaya Gatsby’ego, ale nie jak sam Jay Gatsby.

– Tak, będziemy imprezować jak anonimowi drugoplanowi bohaterowie w powieści o kimś innym – zgodziłam się.

– Doskonale. W takim razie tematem przewodnim moich urodzin są togi i nieistotne postaci z niezrozumianych klasyków literatury.

Lane tylko potrząsnął głową.

– Mogłabyś mi z tym pomóc? – zapytał, wyciągając z plecaka prześcieradło i patrząc na mnie błagalnym wzrokiem.

Nie spodziewałam się, że owijanie chłopaka prześcieradłem okaże się tak intymnym doświadczeniem. Że moje dłonie będą się przesuwają nad tak niewłaściwymi miejscami i że on będzie się cały czas uśmiechać, jakbyśmy oboje uczestniczyli w jakimś prywatnym żarcie, zbyt nieprzyzwoitym, żeby powiedzieć go na głos.

– Toga! Toga! – zawołał nagle Nick.

Właśnie kończyłam upinać prześcieradło Lane’a, więc Nick oczywiście nie mógł odpuścić sobie komentarza:

– A tych dwoje już w pościeli.

– Jaki ty jesteś zabawny – odcięłam się. – Chcesz, żeby Marina ci pomogła?

– Sam sobie poradzę – oznajmił Nick, po czym zawiązał sobie prześcieradło wokół szyi jak pelerynę.

– Wyglądasz idiotycznie – poinformowała go Marina.

– A kto wyprawia greckie przyjęcie w lesie? To dopiero idiotyczne – odbił piłeczkę.

– Nie martw się, za rok będziesz mógł biegać w togach na imprezki

pierwszego roku informatyki. – Marina nie pozostała mu dłużna.

Takie małe, rzucane mimochodem uwagi o przyszłości nie były w Latham czymś normalnym. Nadal czułam się dziwnie, kiedy słyszałam coś takiego. Nie byłam przyzwyczajona do żartów o powrocie do domu, a już na pewno nie o dorastaniu.

– Owszem – zgodził się Nick. – Co tydzień będę biegał w innym prześcieradle!

Rozpiął plecak i wyjął butelkę rumu Captain Morgan, po czym zamaszystym gestem podał ją Marinie.

– Wszystkiego najlepszego.

– Dziękuję, kapitanie Moczymordo.

Musiałam przyznać, że to bardzo miłe z jego strony. Na popitkę mieliśmy tylko lemoniadę, więc zapowiadały się drinki o interesującym smaku.

– Nie powinniśmy poczekać na Charliego? – zapytała Marina, chwytając za butelkę rumu tak, jakby naprawdę nie miała ochoty tego robić.

– Mowy nie ma, jeśli zasnął, to jego strata – stwierdził Nick.

Włożyliśmy na głowy wieńce laurowe, które ostatecznie wyszły naprawdę niezłe. Chłopcy zebrali trochę gałęzi i kamieni, a potem Nick rozpałił ognisko, bo kiedyś był harcerzem.

Marina przyniosła ze sobą bębenek, pożyczony od jednego z chłopaków, którzy udawali hippisów. Ciągnęliśmy rum z butelki, na zmianę graliśmy na bongo i tańczyliśmy w togach wokół ogniska. Z początku wydawało mi się to trochę głupie, ale im więcej było rumu i bębnienia, tym bardziej dawałam się w to wciągnąć. Las wirował, jakbyśmy mieli wylecieć w powietrze i zabrać nasz małeńki osobisty świat w bańce prosto w kosmos.

– Chodź ze mną – powiedział nagle Lane, odciągając mnie od ogniska.

Staął za drzewem. Światło ogniska sprawiało, że las dookoła wydawał się tańczyć i migotać. Lane wyglądał wspaniale w swojej todze –

pożałowałam, że nie mam ze sobą aparatu, żeby to uwiecznić. Ale wtedy wziął moją twarz w dłonie i mnie pocałował, a moje myśli o zdjęciach zeszyły na dalszy plan.

Nasze wargi były słodkie i lepkie od rumu, w jego oddechu pobrzmiewała ledwie wyczuwalna nuta pasty do zębów i było w tym coś takiego, że cała się rozpuściłam. Całowałam go tak, jakby jutra miało nie być, jakbyśmy mieli dla siebie tylko tę jedną chwilę w lesie, choć to przecież nie była prawda. Mieliśmy po siedemnaście lat, przed sobą maturę i studia. Wiedziałam, że mamy czas, żeby zmienić się w nudnych staruszków, opowiadających historie o tym, jak byliśmy młodzi, chorzy i zakochani. Pobyt w Latham nie oznaczał już tego, co dawniej. Zasady, program leczenia – wszystko to stanowiło teraz tylko oprawę, żeby wypełnić nam czymś czas do pierwszej dawki protocyliny. I może rzeczywiście mieliśmy szansę stać się parą jak z *Dumy i uprzedzenia*, z naszym własnym szczęśliwym zakończeniem, w którym nikt nikogo nie oplakuje nad grobem ani nie zapomina.

– Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię uwielbiam, prawda? – wyszeptał Lane.

– Ja ciebie też... Szaleję za tobą – wyznałam, opierając czoło na jego piersi.

Żałowałam, że nie jesteśmy dość odważni, by wybrać prawdziwy świat, zamiast świadomie ukrywać się w tym zmyślonym. Ale mieliśmy jeszcze czas, by się przełamać. Mnóstwo czasu.

Wróciliśmy do ogniska i znów rzuciliśmy się do tańca. Cała nasza czwórka podskakiwała i wirowała w togach, ogień trzaskał, a my śmiałyśmy się do utraty tchu, z każdą chwilą coraz bardziej pijani. Wprawdzie las spowijał mrok, ale my byliśmy bezpieczni w naszej doskonałej maleńkiej bańce światła.

– Będę za wami tęsknić – powiedziała Marina, gdy przystanąła na chwilę, żeby złapać oddech.

– Nie mów takich rzeczy – zganiłam ją. – Nie wolno opłakiwać przyszłości.

Lane przestał uderzać w bongo.

– Ale przecież cały czas tylko tym się zajmujemy, nie? – zapytał.

– Graj dalej! – nalegałam, już konkretnie wstawiona.

Lane zaczął wybijać łagodny rytm.

– Mówię poważnie – upierał się. – Opłakujemy przyszłość, bo to łatwiejsze niż przyznanie, że jesteśmy nieszczęśliwi w teraźniejszości.

Dźwięk bębena i przejmująca głębia tego, co właśnie powiedział, sprawiły, że jego słowa zabrzmiały jak poezja, a ja przez chwilę zaczęłam się nad nimi zastanawiać, może poważniej, niżby należało.

– Więc może wcale nie opłakujemy przyszłości – stwierdziłam – tylko siebie samych.

– Okej, wam już wystarczy rumu na dziś – ocenił Nick, zabierając mi butelkę. Potrząsnął zawartością. – Kurde, prawie się skończył.

Las nadal wirował, choć staliśmy teraz w miejscu. Wszyscy byliśmy dość mocno pijani. Nie miałam pewności, czy to wina rumu, czy późnej pory, ale nagle poczułam przejmujące zimno i zmęczenie i zapragnęłam znaleźć się w pościeli, a nie tylko w prześcieradle.

– Charlie naprawdę nie przyjdzie? – zapytała Marina.

– Pewnie zasnął – stwierdził Lane, ziewając rozdzierająco.

Ziewanie, podobnie jak gruźlica, jest zaraźliwe. Po chwili dopadło nas wszystkich.

– Lane! – Posłałam mu oskarżycielskie spojrzenie.

– *Sorry*, to przez ten rum. Cienki byłby ze mnie pirat.

Spakowaliśmy nasze rzeczy, a Nick zasypał ognisko nogą.

– Ściągamy to? – zapytał Lane, wskazując na swoją togę.

– Nie, zostawiamy – zakomenderowała Marina, więc posłusznie zostaliśmy w prześcieradłach.

– Nikt nie ściąga swojej togi aż do powrotu do domów – ostrzegłam. – Albo będzie dupą wołową. Nick już jest dupą wołową, bo ma na sobie pelerynę.

– Nikt nie mówił o togach, tylko że mamy założyć prześcieradła – zaprotestował Nick.

– Mhm, na greckie przyjęcie – fuknęła Marina.

Ruszyliśmy w stronę kampusu, wykończeni i nadal ubrani w togi.

Lane wziął mnie niepostrzeżenie za rękę.

– Hej – szepnął.

– Hej – odparłam z uśmiechem.

Wyglądał w swojej todze tak cudownie, z tymi rozczochranymi przydługimi włosami i wieńcem z liści na głowie, jakby wyszedł prosto z greckiego Akropolis, czy jak to się nazywało. Jakby gdzieś daleko stąd stał jego posąg, cały z marmuru, z odłupanymi częściami intymnymi.

– Słodki jesteś.

– A ty pijana.

– Tylko dlatego jesteś słodki, że przez resztę czasu bardziej przypominasz ziemniaka. – Zachichotałam. Rany, naprawdę byłam nieźle wcięta.

Po mojej lewej trzasnęła głośno gałązka. Serce zabiło mi gwałtownie. Natychmiast skierowałam tam promień latarki, ale zobaczyłam tylko królika, jakich pełno w lesie. Oczy lśniły mu w ciemności.

– Nic takiego – powiedziałam.

– Szkoda, że Charlie nie przyszedł. – Lane westchnął.

– Wiem. – Ścisnęłam go za rękę, po czym przeszliśmy z chlupotem przez błotną kałużę, zasłoniętą stertą liści. Dla naszych prześcieradeł nie było już ratunku.

Marina i Nick trochę zboczyli z trasy.

– Ej, u was też takie błoto?! – zawołałam.

Nie odpowiedzieli. Zamarli w bezruchu, a w świetle mojej latarki to oni wyglądali teraz jak marmurowe posągi.

– Halo? – powtórzyłam, świecąc latarką na Marinę.

Na jej twarzy malowało się przerażenie.

Coś było nie tak. Wiedziałam to już wtedy, kiedy Lane i ja biegliśmy w ich stronę, a nasze togi zahaczały o gałęzie i rozdzierały się na kamieniach. Chyba wtedy zrozumiałam, dlaczego ludzie zawsze biegną ku katastrofie – do tragedii nie da się podejść spokojnym krokiem.

Po chwili zobaczyłam, na co patrzą.

Nie na co – na kogo.

Ciało Charliego leżało w nienaturalnej pozie na posłaniu z liści.

ROZDZIAŁ 19

LANE

Nagle obudziliśmy się w koszmarze. Oświetlaliśmy latarkami ciało Charliego, ale ledwie docierało do nas, że to naprawdę się dzieje. Był zaplątany w prześcieradło, na białym płótnie odznaczały się rozbryzgi jaskrawoczerwonej krwi tętniczej. Wargi też miał umazane krwią. Leżał w nienaturalnym bezruchu na dywanie butwiejących liści.

Nic nie powiedziałem. Nie byłem w stanie się odezwać. Stałem nad nim, zamarły w absolutnym przerażeniu. Nie docierał do mnie ogrom tego, co się wydarzyło.

– Charlie! – zawyła Sadie. Opadła na kolana i zaczęła nim potrząsać. – No weź, Charlie. Nic ci nie jest, nie wygłupiaj się. Proszę!

Ale Charlie się nie wygłupiał. To było oczywiste.

– Czy on... – zaczęła Marina, choć już знаła odpowiedź. Jak my wszyscy.

Nick odszedł kawałek dalej chwiejnym krokiem. Usłyszeliśmy, jak wymiotuje.

Byliśmy pijani, przemarznięci i umazani błotem, z prześcieradłami

upiętymi na ubraniach. Aż do tej chwili to wydawało się takie zabawne. Wymykanie się z pokojów, wycieczki do lasu i do miasta, Charlie przyłapany bez gaci przez pielęgniarkę. Nigdy do końca nie wierzyliśmy w stawkę, o jaką toczy się gra. Ale wtedy wreszcie to do mnie dotarło. Po raz pierwszy w życiu stałem nad zwłokami – nad ciałem znanej mi osoby, która umarła.

– Niemożliwe, on na pewno żyje. Przecież jego sensor by oszalał! – upierała się Sadie. Sięgnęła po nadgarstek Charliego.

W pierwszej chwili sądziłem, że chce sprawdzić mu puls, ale ona podciągnęła rękaw jego bluzy.

Światelko na sensorze Charliego nie było zielone ani nie migąło ostrzegawczo na żółto. Lampka w ogóle się nie paliła. Zwykła czarna silikonowa bransoletka.

– To dlatego nikt nie przyszedł – zorientowała się Sadie. – Charlie wyłączył sensor!

Kiedy dotarło do mnie, co to oznacza, poczułem, jak żołądek skręca mi się w zimny supeł przerażenia, jakbym też miał się za chwilę porzygać. Podśmiewaliśmy się z Charliego na stołówce po fałszywym alarmie, zamiast pomyśleć, dlaczego jego sensor tak gwałtownie zareagował. Teraz było już za późno na niepokój. Na wszystko było za późno – pozostał tylko żal.

Kiedy my tańczyliśmy wokół ogniska w naszych togach z prześcieradeł, graliśmy na bębenu i piliśmy rum wielkimi haustami, Charlie leżał tu i umierał. Sam. W lesie.

Nie zdawałem sobie sprawy, że płaczę. Dopiero kiedy położyłem Sadie dłoń na ramieniu, żeby ją uspokoić, zorientowałem się, że cały dygoczę. Z trudem przełknąłem ślinę i spojrzałem na Marinę. Na jej poszarzałej twarzy zobaczyłem te same uczucia, które kotłowały mi się w żołądku.

Nick wrócił do nas, zataczając się lekko. Był blady i cały spocony.

– Kurwa, Charlie, nie można wyłączać sensora! Nigdy, przenigdy,

słyszysz?! – krzyknął.

Ale Charlie oczywiście nie słyszał. Zmarli nigdy nie słuchają, kiedy próbujemy im coś powiedzieć.

Charlie nie miał umrzeć. Wszyscy mieliśmy żyć dalej.

Przecież wreszcie pojawiła się szczepionka, nasza choroba stała się uleczalna. Już za cztery krótkie tygodnie mieliśmy otrzymać lek, który przywróci nas do zdrowia.

Nawet nie przyszło mi do głowy, że nie w każdym z nas został zapas czterech tygodni życia.

– To moja wina – wykrztusiła Sadie przez łyżę. – To ja mu pokazałam, jak wyłączyć sensor. Nie sądziłam, że coś mu się stanie.

– Nikt się tego nie spodziewał – odparłem, nie pojmując, jak Sadie może w ogóle tak myśleć.

– Charlie był bardzo chory – wtrącił Nick. – Dobrze wiedzieliśmy, że był w najgorszym stanie z nas wszystkich.

– Najgorsze symptomy jeszcze nic nie znaczą – zaprotestowała Marina. – Przecież nie widzieliśmy jego wyników ani rentgenów. Czasami ktoś wygląda na zupełnie zdrowego i umiera. A czasami ktoś wydaje się strasznie chory, aż któregoś dnia po prostu wraca sobie do domu.

Za dużo wypilem. Wszyscy za dużo wypiliśmy. Las wirowała nieprzyjemnie, przyprawiając mnie o mdłości. Spróbowałem oprzeć się dłonią o drzewo, ale pień był lepki od żywicy. To miejsce przestało być naszym azylem.

Teraz las był mroczny, niebezpieczny i pełen złowrogich cieni. Wreszcie pojąłem, dlaczego wszyscy poza nami trzymali się wąskich granic Latham, zapuszczali się między drzewa tylko podczas popołudniowych spacerów i nie wychodzili poza wyraźnie oznaczone ścieżki.

Noc w jednej chwili zmieniła się z radosnego, absurdalnego snu

w upiorny koszmar. Nie potrafiłem w to uwierzyć. Spodziewałem się, że lada chwila otworzę oczy i zobaczę, że jestem we własnej sypialni, z walącym sercem i mokrą od potu koszulką, i cały ranek będę się zastanawiać, co jest nie tak z moją podświadomością.

– Skoro tylko my o tym wiemy, musimy kogoś zawiadomić – powiedziałem. – Pielęgniarkę. Kogoś, kto będzie wiedział, co zrobić.

Cała reszta popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakbym chciał zadzwonić na policję.

– Nie możemy – odparł Nick. Głos mu się łamał.

– Nick ma rację – przytaknęła Sadie. – Nikt nie może się dowiedzieć, że go tu znaleźliśmy.

Zapadła obezwładniająca cisza. Wszyscy myśleliśmy o tym samym.

– Więc mamy tak po prostu wrócić do środka? – zapytała Marina.

– Właśnie tak – odparła Sadie. – Wracamy do domów i kładziemy się do łóżek. Kiedy rano Charlie nie przyjdzie na śniadanie, pielęgniarki zaczną go szukać.

– Nie możemy go tutaj tak po prostu zostawić – sprzeciwiłem się.

– Owszem, możemy. – Nick popatrzył hardo, jakby próbował mnie sprowokować. – Chyba że masz jakiś lepszy pomysł.

– Może pielęgniarka by zrozumiała – wtrąciła nieśmiało Marina.

– Niby co by zrozumiała? – zapytał Nick ze złością. – Masz ochotę opowiedzieć Baronsowi, jak postanowiliśmy uciec nocą z domów, żeby się narąbać w lesie, a tak przy okazji Charlie wyłączył swój sensor i umarł, ale nas przy nim nie było, chociaż nie potrafimy tego udowodnić, ale słuchajcie, znaleźliśmy jego ciało i możemy was do niego zaprowadzić, chociaż wolelibyśmy nie zostać ukarani za złamanie, sam nie wiem, wszystkich zasad w Latham, które tak naprawdę się liczą?

Kiedy tak to powiedział, wszystko zabrzmiało jeszcze gorzej. Jakbyśmy

uknuli coś okropnego. Jakby to była nasza wina.

– Ale przecież nie mogą nas jakoś strasznie ukarać, prawda? – zapytałem.

Cała trójka popatrzyła na mnie tak, jakby nie wierzyli, że naprawdę muszą mi to tłumaczyć.

– Jaja sobie robisz? – spytał w końcu Nick. – Wywalą nas z Latham. Czyli wylecimy z grupy testowej na protocylinę.

Grupa testowa. To był przecież jeden z powodów, dla których rodzice wysłali mnie do Latham zamiast do któregoś z tańszych, publicznych ośrodków leczenia. Zamiast umieścić mnie w holistycznych gorących źródłach albo w jakimś homeopatycznym sanatorium, w którym wszyscy śpią w jurtach i hodują własny jarmuż. W Latham dostaliśmy sensory medyczne, które wysyłały dane do naukowców, dzięki czemu znajdowaliśmy się na samym szczycie listy pacjentów do pierwszych testów medycznych. Byliśmy pierwsi w kolejce do takich leków jak protocyлина. Przeprowadzka do Latham tak wiele odebrała nam z życia, że nie zdawałem sobie sprawy, jak wiele mamy jeszcze do stracenia.

Nick miał rację i wszyscy o tym wiedzieliśmy.

– Okej – powiedziała Marina. – Więc wracamy do domu.

– Wracamy do domu – przytaknąłem.

– Jakby nigdy nas tu nie było – dodała ochryple Sadie.

– Jakbyśmy nie mieli zielonego pojęcia, że Charlie może znajdować się gdziekolwiek poza swoim łóżkiem – zakończył Nick. – Nikt nie pakuje się w kłopoty, a za kilka godzin będzie po wszystkim.

Tylko że ze śmiercią – i z obcowaniem z nią – nigdy nie jest tak po prostu po wszystkim. Postaliśmy nad Charliem jeszcze chwilę. A potem odeszliśmy, powoli i z żalem.

Następnego ranka obudziłem się przekonany, że przyśniło mi się coś strasznego. Ale potem zobaczyłem na podłodze splątane ubłocone prześcieradło i brudne trampki. Uświadomiłem sobie z przerażeniem, że wszystko wydarzyło się naprawdę.

Było jeszcze wcześniej, a do tego niedziela – w weekendy śniadanie zaczynało się trochę później. Czułem pulsowanie w głowie i obrzydliwy smak w ustach, ale w końcu zwlokłem się z łóżka. Wywaliłem brudne prześcieradło do zrzutu na zanieczyszczoną pościel, a buty opłukałem pod prysznicem.

Śniadanie było męczarnią. Nie mam pojęcia, jakim cudem zdołaliśmy utrzymać jakieś pozory normalności. Wszyscy byliśmy bladzi i poszarzali od alkoholu, a na sam widok jajek i naleśników zaburczało mi nieprzyjemnie w brzuchu. Mimo to naładowałem sobie wielką porcję na talerz, bo nie wiedziałem, co zrobić, jeśli Linda znów wyśle mnie na koniec kolejki. A potem cała nasza czwórka usiadła przy stole i zjedliśmy śniadanie w umęczonej ciszy, podczas gdy cała stołówka aż wibrowała od energii, rozmów i śmiechu.

Nick nie czekał długo.

– Powinniśmy wracać – powiedział, patrząc mi w oczy. – Musimy to załatwić.

Poszedłem za nim, żeby zwrócić tacę, a potem ruszyliśmy przez trawnik z powrotem do szóstki. Nick się nie odzywał. Nie musiał. Wiedziałem, co mamy do załatwienia – trzeba było posprzątać u Charliego przed sterylizacją.

Któregoś razu siedzieliśmy wieczorem we trzech i rozmawialiśmy o tym, jak w wojsku po śmierci żołnierza koledzy usuwają wszystkie pornosy z jego komputera, zanim sprzęt zostanie zwrócony rodzinie zmarłego.

– Zrobilibyście to dla mnie, prawda? – zapytał Nick.

Wszyscy zgodziliśmy się, że zrobilibyśmy to dla siebie nawzajem. Wtedy

to brzmiało jak jeden z wielu makabrycznych żartów, którymi się przierzucaliśmy. Robiliśmy wszystko, na co mieliśmy ochotę, bo nigdy nie przytrafiło się nam nic złego. Ale teraz okazało się, że padliśmy ofiarą własnego żartu.

Wchodząc do pokoju Charliego bez zaproszenia, miałem wrażenie, że robimy coś niewłaściwego. Jakby ta sypialnia nadal należała do niego, a nie tylko do jego rzeczy.

– Ty sprawdź kompa, ja poszukam pendrive’a – zakomenderował Nick.

Przytaknąłem i uruchomiłem komputer Charliego. Szybko zorientowałem się, że wszystko zostało przywrócone do oryginalnych ustawień, łącznie z tapetą na pulpicie.

– Nick – odezwałem się.

Nick trzymał w dłoniach pudełko po butach. Nie potrafiłem rozszyfrować wyrazu jego twarzy.

– Już wszystko mam – oznajmił.

– Tak szybko?

– Wszystko jest w środku. Idziemy.

Wróciliśmy do jego pokoju i położyliśmy pudełko na łóżku. Na pokrywce napisano cienkopisem: „WŁASNOŚĆ NIKHILA PATELA”. Natychmiast rozpoznałem jednak charakter pisma Charliego.

– Co tam jest? – zapytałem.

Nick podniósł pokrywkę. W środku leżały stosik notesów Moleskine, paczka m&m’sów, iPod i dwa pendrive’y. Jeden został dość podejrzanie opisany jako „Matematyka, zadania”, a drugi – „*Leży w wąskim łóżku, Charlie Moreau*”.

Nick wyjął z pudełka drugi pendrive i podłączył go do komputera.

Na pendrivie był album. Album Charliego. Z ręcznie rysowaną, starannie

zaprojektowaną okładką. Skończył.

Nick włączył odtwarzanie. Przez chwilę nic się nie działo, ale potem z głośników popłynęła znajoma melodia. Tyle razy słyszałem, jak Charlie gra tę piosenkę, ale ostateczna wersja brzmiała inaczej. Była mroczniejsza, głębsza, pełna udręki.

Charlie śpiewał o chorobie, o sztuce i o czasie, którego nigdy nie mamy wystarczająco dużo. Zamknąłem oczy i słuchałem, czując, że z każdym utworem moje serce rozpada się na coraz drobniejsze kawałki.

„Dzieci się bawią na moim cmentarzu / Gonią po grobach i krzyczą z radości / Czas położyć spać te zbyt młode kości / Jeśli ktoś zapyta, będę w moim wąskim łóżku”.

Ucichły tony ostatniej piosenki, a kiedy otworzyłem oczy, zorientowałem się, że płaczę. Nick też miał oczy pełne łez.

– Kurwa – westchnął, pociągając nosem. – A ja przez cały czas myślałem, że on pisze ballady dla chłopców z One Direction.

Roześmiałem się, ale natychmiast zrobiło mi się okropnie wstyd. Coś mi tu nie pasowało. Przez ostatnie kilka tygodni Charlie niemal bez przerwy pracował nad swoją płytą – z zacięciem, którego nie pojmowałem. Opuszczał lekcje, prawie nie wychodził z pokoju, ledwie jadł...

– Jak myślisz, Charlie wiedział? – zapytałem.

– Że nie zostało mu wiele czasu?

Skinąłem głową. Nick chwilę milczał.

– No – przytaknął w końcu. – Tak mi się wydaje. Chyba po prostu nie chciał nas niepokoić, bo wszyscy zaczęliśmy gadać o powrocie do domu i w ogóle.

Przez moment siedzieliśmy w zamyśleniu.

– Zostawił pudełko na wierzchu, na łóżku – dodał Nick. – Żebyśmy je znaleźli, kiedy tylko wejdziemy z misją do pokoju. Jakby chciał nam ułatwić

zadanie.

– Więc dlaczego akurat notesy i muzyka? Po co czyścił dysk, skoro wszystkie pliki dla dorosłych trzymał na pendrivie?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałeś? Nad tym, co chciałbyś po sobie zostawić?

– Raczej nie – przyznałem.

Nawet nie przyszło mi do głowy, że miałbym w ogóle cokolwiek do zostawienia. Wszystko, co dotąd zrobiłem, było skoncentrowane na przyszłości: chciałem wyrzucić wrażenie na komisji rekrutacyjnej Uniwersytetu Stanforda, ale to sprowadzało się tylko do świstka papieru. Do kilku cyferek na świadectwie i listy kółek naukowych, do których należałem.

Przypomniałem sobie, co Charlie powiedział o usunięciu swojego konta na Facebooku: działanie prewencyjne, żeby jego tablica na portalu społecznościowym nie zmieniła się w ścianę płaczu. Wciąż powtarzał, że musi skończyć swoją płytę. Że chce pozostawić po sobie jakieś dziedzictwo, bo jeśli nie nagra tych piosenek, to nic po nim nie zostanie.

– Skoro wiedział, że jest z nim aż tak źle, to dlaczego nie został wczoraj w łóżku?

– A ty byś został? – odparł Nick.

Przez chwilę nie rozumiałem, o co mu chodzi. Aż wreszcie pojąłem całą koszmarną prawdę.

Charlie nie chciał umierać w szpitalu, marnować ostatnich dni na czekanie na śmierć, zamiast spędzić je na życiu. Nie chciał też odchodzić we własnym łóżku przy wyjąłym alarmie i zbiegowisku chłopaków pod jego drzwiami, tłoczących się przy wejściu, żeby zobaczyć, co się stało.

Poszliśmy do lasu. Wiedział o tym, ale nie miał nikogo innego. Wyłączył swój sensor, żeby nikt go nie przyłapał, i poszedł nas szukać. Po prostu nie zdążył na czas.

Nic więcej nie zdołalibyśmy dla niego zrobić. Nie mieliśmy o niczym pojęcia. Charlie nie chciał, żebyśmy wiedzieli, aż do samego końca – aż było za późno.

– Gdyby Bóg naprawdę istniał, chyba dałby Charliemu jeszcze pięć minut, żeby nas znalazł – powiedziałem.

Nick tylko potrząsnął głową.

– To wszystko jest takie okropne, że już nawet nie jestem smutny. Tylko wściekły. Barons powiedział, że nas wyleczą. Nie dodał, że musimy tylko przeżyć jeszcze sześć tygodni, ale, niespodzianka, dzieciaki, nie wszystkim tyle zostało.

Siedział na podłodze, oparty o szafę. Podciągnął kolana pod brodę, zwijając się w kłębek.

– Może uważał, że lepiej będzie dać wszystkim nadzieję – zaryzykowałem.

– A może po prostu jest gnojem – mruknął Nick. – Wiedziałem, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Wszyscy wracamy do domciu i napieprzamy ze sobą na Skypie. Cztery tygodnie do rozpoczęcia leczenia. Zostało jeszcze sto czterdzieści dziewięć osób.

Wstał, wyciągnął z szuflady biurka bidon z wódką i pociągnął długi łyk.

– Chcesz? – zapytał, pokaszując.

Pokręciłem głową, a Nick uniósł butelkę w geście toastu.

– Za Charliego – powiedział. – I za jego ukończone dzieło.

ROZDZIAŁ 20

SADIE

Zapowiadał się pochmurny dzień. Stałam przy oknie w swoim pokoju i patrzyłam, jak pielęgniarki i lekarze biegają w panice tam i z powrotem w poszukiwaniu Charliego. Próbowалаm udawać, że jestem na tyłach sceny, a chaos, który widzę, to aktorzy i techniczni przygotowujący się pośpiesznie do spektaklu, choć dobrze wiedziałam, że to nieprawda. Że przez noc wszystkie nasze wygłupy i zabawy przepoczwarzyły się w koszmar na jawie.

Nie mogłam spać. Po prostu siedziałam i patrzyłam w niebo, słuchając jakiegoś ptaszka, który nie rozumiał, że przecież jest noc. Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek uda mi się zasnąć. Byłam przerażona na samą myśl o tym, co mogłoby mi się przyśnić. Czyje trupy zobaczę, kiedy zamknę oczy.

To wszystko była moja wina. Charlie umarł przeze mnie. Nie miałam takich intencji, ale to nic nie zmieniało. Chciałam się tylko popisać, że wiem, jak rozbroić sensor. Ale gdybym choć chwilę się nad tym zastanowiła, dotarłoby do mnie, że to bardzo zły pomysł.

Charlie był w najgorszym stanie z nas wszystkich. Nigdy nie robiliśmy z tego wielkiego halo, bo takie rzeczy mogą się zmienić z dnia na dzień.

Każde z nas mogło wrócić z rutynowej wizyty u doktora Baronsa, z przerażeniem w oczach spakować najpotrzebniejsze rzeczy i przenieść się do skrzydła szpitalnego pod stałą opiekę lekarską. Dyrekcja musiałaby wezwać naszych rodziców i odtąd aż do końca jechalibyśmy na dożylnie podawanej morfinie zamiast aspiryny. Ale równie dobrze każde z nas mogło wrócić z ostatnim zdjęciem klatki piersiowej i datą wypisania z ośrodka. Czekałam na to drugie. Spodziewałam się, że bliscy mi ludzie będą znikać po kolei, jakbym była niewidzialną przyjaciółką, z której wreszcie wyrosli. Nie brałam pod uwagę innego sposobu na odejście, nie przewidziałam drzwi zamkniętych na klucz ani karawanu wyjeżdżającego cicho przez tylną bramę.

Przecież my byliśmy inni. Rano wkładaliśmy normalne ubrania, zamiast snuć się całymi dniami w dresach i piżamach. Kradliśmy internet, a w czasie przeznaczonym na popołudniową drzemkę wymykaliśmy się do lasu na sesje zdjęciowe. Przemycaliśmy telefony do łóżek i chodziliśmy do miasta na kawę. My nie byliśmy z tych, którzy tu umierają. To nie miało sensu.

Podczas lunchu wszyscy na stołówce gapili się na nasz stolik. Albo już wiedzieli, albo się domyślali. Charlie nie pojawił się już na dwóch posiłkach, pielęgniarki całe rano biegały do lasu. Miejsce, które dotąd zajmował Charlie Moreau, ziało bardzo oczywistą pustką.

Wbiłam wzrok w kanapkę, porcję owoców i sałatkę na talerzu. Wiedziałam, że powinnam to zjeść, mimo że wcale nie byłam głodna. Kątem oka widziałam krzesło Charliego. Tak bardzo pragnęłam zobaczyć, jak siedzi tam zgarbiony i bazgrze coś w notesie. Kiedy wracaliśmy do domu, nasłuchiwałam wysokich tonów ukulele płynących z jego okna. Chciałam, żeby puścił mi jakąś piosenkę na winylu, pragnęłam ujrzeć jego szeroki uśmiech, gdy z zachwytem pochyla się nad tym przestarzałym sprzętem. Marzyłam, by jeszcze raz zobaczyć go w aksamitach i z powiekami pociągniętymi eyelinerem. Jeszcze raz usłyszeć, jak przedrzeźnia doktora

Baronsa, prosząc, żebyśmy ocenili nasz poziom bólu w skali od jednego do dziesięciu.

Tylko że w tej chwili nie chciałam oceniać swojego bólu, chciałam ocenić żalobę. Na to jednak brakowało skali.

Wyszłam ze stołówki pierwsza. Wróciłam do swojego pokoju i z płaczem rzuciłam się na łóżko. Szlochałam tak długo, aż zaczęłam się krztusić i kaszleć, a kiedy oderwałam chusteczkę od ust, zobaczyłam na niej ślady krwi. Byłam jednocześnie zaskoczona i przygotowana na taki obrót sytuacji. Nie uważałam na siebie. Żadne z nas nie stosowało się do zasad Latham. Zamiast tego tylko przewracaliśmy oczami i wymykaliśmy się z pokojów podczas przerw na drzemkę, siedzieliśmy do późna i piliśmy wódkę u Nicka.

Nic dziwnego, że Charliemu tak się pogorszyło. Boże, Charlie.

Przed oczami stanęły mi wspomnienia poprzedniej nocy. Zwinęłam się w kłębek, ściskając kurczowo tę okropną chusteczkę, i znów zanosłam się płaczem. Wiedziałam, że Natalie Zhang usłyszy mnie przez ścianę, ale miałam to gdzieś. Bolało mnie to, jak umarł Charlie i że nie zdążyłam się z nim pożegnać. Płakałam, bo ostatnią rzeczą, jaką ode mnie usłyszał, było: „Lepiej nie zaśpij”. Płakałam nad tym, że Charlie umierał samotnie w lesie, podczas gdy byłam tak blisko, oparta o pień drzewa i przyciśnięta do Lane’a. Charlie leżał w ciemności, a ja całowałam się z Lane’em, jakby nie liczyło się nic poza naszymi uczuciami, i naiwnie sądziłam, że wszyscy mamy jeszcze tak wiele czasu.

Wieczorem do stołówki wszedł doktor Barons z ogłoszeniem: nikomu nie wolno wyłączać sensorów ani przy nich grzebać. Od tej pory pielęgniarki będą regularnie sprawdzać przesył naszych danych w dzień i w nocy, żeby mieć pewność, że działają prawidłowo. Dodał też, że wszystkie okna na parterze zostaną zabezpieczone siatką.

Kiedy wyszedł, w pomieszczeniu rozległy się głośne jęki. Miałam wrażenie, że wszystko rozpadło się w drobny pył – jakbym mrugnęła i przegapiła ten ułamek sekundy, w którym świat wokół mnie legł w gruzach.

Ruszyłam w stronę wózka na brudne tace. Lane poszedł za mną.

– Sadie, poczekaj.

Wyglądał okropnie. Jak my wszyscy, choć do tej pory nie zwracałam na to szczególnej uwagi. Teraz jednak nie potrafiłam ocenić, czy cienie pod jego oczami są sygnałem czegoś poważnego, czy nie kaszle gorzej niż wczoraj. Niedobrze mi się robiło na myśl, że patrzę na Lane'a i szukam w nim objawów zamiast uczuć.

Wepchnęłam tacę w puste miejsce na wózku.

– Co?

– Cały dzień cię nie widziałem.

– Bo cały dzień nie miałam ochoty się z nikim widzieć.

– Nawet ze mną? – zapytał, przygryzając wargę. Posłał mi rozbrajające spojrzenie.

Nie chciałam, żeby wyglądał przy tym tak uroczo. Marzyłam, by wrócił już do domu, zostawił mnie za sobą i nigdy nie zadzwonił. Żebym nie miała gorączki, żeby on nie wyglądał na tak wyczerpanego i żebyśmy nie spędzili właśnie całej kolacji w gęstej ciszy, rozmyślając nad śmiercią przyjaciela.

Nie mogłam znieść myśli, że jestem jednocześnie zakochana i pogrążona w żałobie, bo nie wiedziałam, jak pogodzić te dwie rzeczy. To było za wiele. Za dużo spraw mogło pójść nie tak. Ryzykowaliśmy zbyt wielkie cierpienie, żeby ciągnąć to dalej.

Nie wiem, co mnie do tego popchnęło – chyba po prostu smutek zmieszany ze złością i z tą durną gorączką, której nie mogłam się pozbyć, i jeszcze to wrażenie, że wszyscy w Latham gapili się na nasz stolik i przemykali obok na palcach – ale tylko westchnęłam i potrząsnęłam głową.

– Przepraszam – powiedziałam i uciekłam ze stołówki.

Finnegan zadał nam pracę domową, ale kompletnie o niej zapomniałam. Mieliśmy wymyślić jakiś wierszyk czy coś w tym rodzaju. Zrobiło mi się strasznie głupio, kiedy wszyscy wokół wyjęli kartki. Tak dawno nie byłam w prawdziwej szkole, że zupełnie odzwyczaiłam się od odrabiania zadań. Zastanawiałam się, czy mogłabym użyć żałoby jako usprawiedliwienia – ale przecież byliśmy w Latham, więc chyba niekoniecznie.

Wtedy jednak wszedł Finnegan. Wyglądał tak samo żałośnie, jak ja się czułam. Bez słowa odstawił kubek z kawą na biurko, wziął w dłoń marker i nabazgrał na tablicy zadania na dziś: „Rozdz. 15, zad. 8, zad. 9”.

– Kiedy skończycie, możecie wyjść z klasy, nie musicie oddawać niczego do sprawdzenia.

Pociągnął łyk kawy i znów zniknął za drzwiami.

– Co to miało być? – mruknął Nick. – Przecież mieliśmy czytać wierszyki.

– No właśnie – wtrąciła Marina. – Nie powinniśmy czasem przygotowywać się na powrót do szkoły?

– A jak wam się wydaje? – odparłam kwaśno. – Praca domowa to niepotrzebny stres. A Finnegan nie chciałby, żeby ktoś z nas przypadkiem się rozchorował przez zadanie z francuskiego.

Lane westchnął. Znów wpatrywał się we mnie błagalnym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „Czy możemy porozmawiać?”, ale ja udawałam, że tego nie dostrzegam.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Teraz, kiedy czekaliśmy na lekarstwo, wszystko w Latham się zmieniło. Nikt nie mógł nas dłużej karmić głodnymi kawałkami w rodzaju „możemy leczyć objawy, a nie chorobę, więc jeśli

czujesz zmęczenie, to sobie poleż”. Żaden lekarz nie mógł już nigdy więcej tego powiedzieć. Teraz wszyscy gorączkowo koncentrowali się na nowym zadaniu: utrzymać chorych przy życiu, aż dostaną protocylinę. Jakby każde z nas mogło kipnąć w dowolnym momencie i z jakiegoś powodu było to pięćdziesiąt razy tragiczniejsze niż jeszcze miesiąc temu.

Żałoba to dziwna sprawa. Przez bardzo długi czas uważałam, że pobyt w Latham sam w sobie stanowi okres żałoby nad niepewną przyszłością.

Życ albo umrzeć. Wrócić do domu – albo się poddać. Ale to wcale nie była żałoba, tylko lęk.

Przynajmniej tyle zdołałam pojąć po śmierci Charliego. Na samą myśl o tym, co się wydarzyło, ledwie byłam w stanie oddychać. Ale pod powierzchnią rozpaczę czułam przeszywający strach, że nasz przyjaciel nie był ostatni w kolejce do trumny. Za bardzo przywiązałam się do tej myśli, że my – Nick, Lane, Marina, Charlie i ja – jesteśmy nietykalni, podczas gdy niewidzialna dłoń gruźlicy przez cały ten czas leżała każdemu z nas na ramieniu, niecierpliwie postukując palcami.

Przypomniało mi się, z jaką miną doktor Barons oglądał moje rentgeny. Jak przy kolacji na policzki Lane’a wystąpił niezdrowy rumieniec, a Marina czasami odchodziła podczas napadu kaszlu, żebyśmy nie słyszeli, jak źle to brzmi. Pomyślałam o tym, że Nick nieraz wykręca się z odbierania przemyconych paczek, bo regularnie odwiedza pielęgniarkę, żeby uzupełnić zapasy leków, od których zdążył się już uzależnić.

Kiedy ktoś przyjeżdżał do Latham, lekarze zawsze zapewniali, że wkrótce stąd wyjdzie. Nikt nie dodawał, że wyjść można na dwa sposoby. Miałam własną teorię na temat tego, którymi drzwiami ja opuszczę to miejsce, ale nie zamierzałam przewidywać niczyjej przyszłości poza własną.

Lane dzwonił co wieczór, a ja z uporem go ignorowałam. Odwracałam

się plecami do telefonu i podkreślałam muzykę, żeby go zagłuszyć. To nie było najlepsze wyjście z sytuacji, ale nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym zrobić. Na samą myśl, że miałabym chichotać i flirtować z nim po tym, co się wydarzyło, robiło mi się niedobrze. Jakby coś we mnie pękło. Dostrzegałam emocje unoszące się gdzieś we mnie, tuż pod powierzchnią, ale nie byłam w stanie się do nich przebić. Byłam oślepiała i przerażona, czasami wściekła – i to wszystko.

Ale nie mogłam unikać telefonów Lane'a w nieskończoność. Nie da się zakończyć związku, po prostu go ignorując – w ten sposób tylko go raniłam i jeszcze pogarszałam sprawę. Zrozumiałam, co Lane miał na myśli, kiedy rozmawialiśmy w altanie tamtej pierwszej nocy: o tym, że jesteś czymś eks, uświadamiasz sobie natychmiast. To nie jest stan, który można odkryć po pewnym czasie jego trwania, jak chorobę.

W czwartek w końcu więc do niego zadzwoniłam.

– Halo? – Odebrał po trzecim sygnale. W jego głosie pobrzmiwała niepewność.

– To ja – powiedziałam.

– Cieszę się.

Usłyszałam radość w jego głosie. Żałowałam, że to powiedział. Chciałam, żeby nie rozmawiał ze mną tak, jakbym była jego ulubioną osobą na całym świecie. To jeszcze potęgowało moje poczucie winy.

Wzięłam głęboki oddech, próbując zebrać się na odwagę. Nie chciałam tego robić. Nienawidziłam samej siebie za to, że to robię. Ale nie miałam innego wyjścia.

– Lane – szepnęłam. – Nie mogę tego dłużej ciągnąć.

Lane chwilę milczał.

– Czego ciągnąć? – zapytał niepewnie.

– Nie możemy być ze sobą – wyjaśniłam.

Po drugiej stronie linii zapadła bardzo, bardzo głęboka cisza.

– Nie możemy? Czy nie chcesz? – odezwał się wreszcie.

– Jedno i drugie.

– Przepraszam.

– Ty mnie przepraszasz? – powtórzyłam, zbита z tropu.

– Przepraszam, ale nie przyjmuję twojej informacji o zerwaniu. Widzimy się za chwilę w altanie smutku i rozstań.

– Już prawie...

– Mamy dwadzieścia minut, więc lepiej się pospiesz – przerwał mi, po czym się rozłączył.

Narzuciłam kurtkę na pizamę, przyglądałam kucyk i wyszłam z pokoju. Kiedy dotarłam do altany, już siedział zgarbiony na schodach.

– Co się dzieje? – odezwał się na powitanie.

Usiadłam przy nim i oboje wlepiliśmy wzrok w ciemną granicę lasu. Aż mnie zemdliło na ten widok, jakby między drzewami było pełno trupów. Zerknęłam na Lane'a. Wyglądał pięknie, policzki miał zaróżowione od zimna, włosy niesforne i przydługie. Siedział z dłońmi złożonymi w łódkę, jakby chował w nich jakiś maleńki sekret.

Latham przypominało mi teraz statek, który idzie na dno – nie wiedziałam, ile szalup czeka na tonących. Nie chciałam, żeby któremuś z nas stała się krzywda, gdybyśmy nagle zobaczyli, że zostało już tylko jedno miejsce. Na wszelki wypadek postanowiłam położyć temu kres wcześniej, zanim przekroczymy ostateczny próg bólu.

– Nie możemy już być ze sobą – oznajmiłam, próbując powstrzymać łzy.

– Trochę się zabawiliśmy i było super. Ale tutaj jest jak na koloniach: takie rzeczy nigdy nie wytrzymują próby czasu.

Lane przez chwilę siedział nieruchomo. Milczał.

– Myślałem, że kiedy wyjdziemy, będę ci przywozić świeże bułki w weekendy. I że będziemy do siebie pisać. Spodziewałem się, że coś z tego wyjdzie – powiedział w końcu.

– Nic z tego nie wyjdzie, nie rozumiesz? – odparłam ze złością. – Wrócisz do domu i rzucisz się do nauki, żeby skończyć szkołę na czas, więc szybko uznasz, że nie warto spędzać kilku godzin w samochodzie tylko po to, żeby mnie odwiedzić, skoro i tak jesienią zaczniesz studia.

– Oczywiście, że będzie warto – zaprotestował.

– Mówisz tak tylko dlatego, że jesteś miłą osobą.

– Mówię tak, bo to prawda – upierał się.

– I co? Będiesz przyjeżdżał do mnie na śniadanie? Żebym mogła ci opowiadać, jak fajnie być najstarszą osobą w klasie i jedyną bez prawa jazdy?

– Wcale tak nie będzie.

– Nie wiadomo. Ty dostaniesz swoje życie z powrotem, ale ja nie.

– Tylko że ja już go wcale nie chcę. Nawet z niego nie korzystałem. Po prostu... czekałem, aż wszystko się zmieni. Ale kiedy trafiłem do Latham, dalej zachowywałem się tak samo. Nie chciałem się zmieniać, ale się zmieniłem, więc teraz muszę się uczyć wszystkiego na bieżąco. Zależy mi, żebyś została w tym moim nowym życiu.

W świetle księżyca wyglądał tak poważnie. Jakby naprawdę wierzył, że świat jest miejscem, w którym dobrym ludziom przytrafiają się dobre rzeczy – a jeśli nie, to tylko przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Żałowałam, że pozwoliłam sprawom zajść tak daleko. Zawsze doskonale radziłam sobie w pojedynkę. Byłam pewna, że teraz też sobie poradzę. Jeśli zerwiemy, to będzie tylko rozstanie, nic więcej. Po rozstaniu człowiek nie popada w żałobę. W każdym razie tak mi się wydawało, bo przecież nigdy dotąd z nikim nie zerwałam.

– Cóż, ja już nie chcę, żebyś ty został w moim – oznajmiłam, czując, jak rozpadam się na kawałki. Płakałam, bo to były jednocześnie prawda i kłamstwo. I dlatego, że miałam rację, wątpiąc w szczęśliwe zakończenia i historie o miłości, w których nikomu nie dzieje się krzywda. Zawsze na końcu ktoś cierpi. Ale jest jedna rzecz, o której nikt nie mówi: cierpieć można więcej niż raz.

Wstałam więc i ruszyłam z powrotem do swojego domku, zostawiając za sobą chłopaka, dzięki któremu poczułam, że nie jestem sama. Odeszłam, bo nie mogłam znieść myśli, że miałabym go stracić albo rozczarować – albo przyglądać się, jak przestaje być we mnie zakochany, kiedy wyjdę z Latham i znów stanę się zwykłym małym ziemniakiem.

ROZDZIAŁ 21

LANE

Następnego dnia Sadie traktowała mnie jak powietrze. Nadal siedzieliśmy razem na stołówce, ale ponieważ została nas tylko czwórka, mieliśmy dla siebie dużo przestrzeni i dwa puste krzesła. Jeszcze wczoraj byliśmy zwartą grupą, jednak moje rozstanie z Sadie kompletnie nas rozbiło. Nad stołem unosiła się niezręczna, gęsta cisza, która pojawiła się już po śmierci Charliego, ale teraz wydawała się otaczać nas hermetyczną powłoką, jakby miała nas na stałe zamknąć w nieuleczalnym żalu.

Cały weekend przesiedziałem w swoim pokoju, czytając stare książki znalezione w bibliotece. Miałem właśnie zajawkę na Kurta Vonneguta i okazało się, że jego powieści idealnie pasują do mojego obecnego nastroju. Były pełne okropnego czarnego humoru – Vonnegut pisał o wojnie, śmierci i wszelkich tragediach w tak prześmiewczy sposób, jakby człowieka nie czekało w życiu nic poza nieszczęściem. Nigdy dotąd nie odczuwałem potrzeby, żeby się nad sobą użalać, ale w ten weekend nie zajmowałem się niczym innym. Leżałem na łóżku z zamkniętymi oczami i słuchałem najbardziej dołujących kawałków, jakie miałem na iTunes. Nie zmieniałem

ciuchów ani się nie goliłem, choć wyrósł mi przez to taki dziwny, trochę francuski wąsik.

Nic nie miało sensu. Charlie umarł, Sadie postanowiła odciąć się od całego świata, Nick próbował zaćpać smutek lekami na kaszel, a Marina siedziała z nosem w *Harrym Potterze*, jakby wierzyła, że jeśli dostatecznie się postara, to przekona samą siebie, że jest w Hogwarcie.

A ja czytałem Vonneguta, słuchałem Mountain Goats, dużo spałem i jeszcze więcej czasu spędzałem pod prysznicem. Właśnie tak miało wyglądać Latham dla grzecznych pacjentów – bez nielegalnych wypraw do lasu, przemykania dziewczyn do domu chłopaków i wygłupów na lekcjach. I nie mogłem tego znieść. Samotności, strachu, żałoby.

Zastanawiałem się, co robi Sadie. Chciałem do niej zadzwonić. Kilka razy podnosiłem słuchawkę, ale zawsze odkładałem ją z powrotem. Tchórzostwo w najczystszej postaci.

Sadie przestała się pojawiać na zajęciach zdrowotnych, a mnie nawet to nie dziwiło. Serio, po co się wysilać? Latham stało się dokładnie tym, czego chciałem, zanim nie odkryłem, że istnieją lepsze rzeczy. Stało się miejscem, które trzeba jakoś przetrwać, żeby wrócić do domu.

Za każdym razem, kiedy widziałem Sadie idącą do swojego pokoju po kolacji albo stukającą ołówkiem w zeszyt na francuskim, ze wzrokiem wbitym w okno, czułem w piersi ból, który nie miał żadnego związku z chorobą. Jakie to dziwne – nigdy nie sądziłem, że można stracić coś, co przecież wcale nie zniknęło. Teraz jednak rozumiałem, że w każdej chwili przed człowiekiem może stanąć niewidzialna ściana, odgradzająca go od wszystkiego, czego pragnął. I że najbardziej boli to, co kiedyś było nasze.

Tęskniłem za Sadie. Chciałem znów być razem z nią i spróbować utrzymać nasz związek po wyjściu z Latham. Nawet jeśli to był zły pomysł, nawet jeśli ona nie chciała, żeby coś przypominało nam o tym miejscu. Ja

chciałem pamiętać, kim stałem się dzięki niej, bo o wiele bardziej lubiłem tę nową wersję siebie. Lane z Latham stał mi się o wiele bliższy niż ten, którym byłem wcześniej. Chciałem być chłopakiem, który całował się z dziewczyną w togach z prześcieradeł, podkładał internet i przychodził pod krawatem na imprezę w piżamach. Chciałem być tym Lane'em, który należał do Sadie, a nie gościem prowadzącym kółko redukcji śladu węglowego tylko po to, by móc napisać w podaniu na studia, że był przewodniczącym czegoś.

Bąłem się, że bez Sadie nie potrafię być jej Lane'em – że nie będę mieć dość odwagi, by odłożyć podręcznik i wyruszyć na poszukiwanie przygody, jeśli ona nie pociągnie mnie za rękę w stronę lasu z uśmiechem obiecującym, że wszystko będzie dobrze.

Zacząłem spacerować wieczorami po Latham. Chodziłem między budynkami i myślałem o wszystkim: o Sadie, o Charliem, o tym, co chciałbym po sobie zostawić, kiedy przyjdzie na mnie czas. Miałem dosyć bycia pustym pudełkiem, koncentrowania się na liście zadań zamiast na pasjach. Żałowałem, że przegapiłem tyle rytuałów przejścia – dopiero teraz rozumiałem, że coś w moim życiu przepadło na zawsze.

Któregoś wieczora zostałem na dworze trochę dłużej, niż zamierzałem. Dochodziła już godzina ciszy nocnej, kiedy wróciłem do budynku. Gdy przechodziłem przez opustoszały pokój socjalny, usłyszałem, jak ktoś mnie woła z dyżurki pielęgniarki.

Podszedłem do otwartych drzwi i zajrzałem do środka. Nick leżał w piżamie i szlafroku na jednym z łóżek i czytał *Nawałnicę mieczy*. Był sam.

– Hej. Tak myślałem, że to ty – powiedział.

– Wszystko w porządku? – Zaniepokoiłem się.

– Spoko. Prawie skończyła mi się wódka, więc zacząłem się zastanawiać, co tu zrobić, aż nagle poczułem... Że coś mnie kłuje w płucach. Normalnie

napiernicza jak diabli. – Mówiąc to, Nick uniósł brwi i spojrzał znacząco w sufit.

– Więc przyszedłeś do pielęgniarki na leżankę? – Nie rozumiałem.

– Chłopie, kodeina. Nawet nie zadają pytań. Po prostu musisz leżeć tutaj zamiast u siebie w pokoju, i tyle. – Uśmiechnął się, zadowolony z siebie. – Jest ekstra, wszystko sobie pływa.

– No to miłego pływania.

– Czekaj. – Uniósł się na kozetce. – Jak się trzymasz?

– Będę żyć – mruknąłem. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało ironicznie, ale Nick tylko prychnął.

– Słuchaj, przykro mi, że tak wyszło z Sadie.

– Poważnie? – wyrwało mi się, zanim zdążyłem pomyśleć, co mówię.

Zapadła niezręczna cisza.

– Nie, tak naprawdę się cieszę, bo chciałbym, żeby wszyscy moi przyjaciele byli tak samo zdołowani i samotni jak ja – odgryzł się kwaśno. Znów położył się na plecach i zamknął oczy. – Na pewno nie chcesz trochę kodzi? Jest super, zobaczysz. Świat się kręci jak na trampolinie.

– Trampoliny się nie kręcą – zauważyłem.

– Nieważne, powinny się kręcić. A Sadie nie powinna ci robić czegoś takiego. Kurde, dlaczego dziewczyny muszą być takie niemożliwe?

– Nie wiem. – Westchnąłem. – Wszystko świetnie się układało, aż nagle Sadie zerwała ze mną, już teraz, tak na wszelki wypadek, bo uważa, że nasz związek i tak nie przetrwa.

– Prawdopodobnie nie – przyznał Nick.

– Wielkie dzięki.

– Nic nie trwa wiecznie. Nawet to wspaniałe uczucie, kiedy sobie pływasz na kodzi. Wszyscy szukamy czegoś, co trochę złagodzi ból, czasami

nawet tego nie chcemy, po prostu zależy nam, żeby na chwilę było trochę mniej okropnie, czaisz? No, w każdym razie *sorry*, że zachowałem się jak żłób.

– Spoko – odparłem.

– Cicho, ja teraz pokutuję. Mamy w Latham jeszcze siedem tygodni i koniec. Jak w maturalnej. Teraz jest ostatnia szansa, żeby czegoś spróbować. Bo inaczej będziesz się całe życie zastanawiać. – Przesunął się na łóżku, nieco pokaszując. – Nie zamierzam mieć z nikim kwasu, bo chciałbym, żebyśmy zostali w kontakcie, gdy wyjdziemy. Tylko to nam zostanie, czaisz? Tylko my.

Nick miał rację. Niedługo zamkną Latham, a gruźlica stanie się zwykłą, uleczalną chorobą. Wiedziałem, że trudno będzie wytłumaczyć komukolwiek z zewnątrz, jak to jest mieszkać w sanatorium i bać się o wyniki testów krwi zamiast tych z matematyki.

– Nie mamy żadnego kwasu – zapewniłem. – Nie musisz się przejmować.

– Pytałem już, czy chcesz trochę kodzi? Bo to takie super uczucie, jak na trampolinie...

– Może innym razem. Ale dzięki za propozycję.

W drodze do pokoju zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem od Nicka, choć miał niezły odlot. Nie chciałem rozmyślać o Sadie, chciałem po prostu z nią być. Ale przecież nigdy nie dałem jej do zrozumienia, że nasz związek to dla mnie poważna sprawa.

Nie poprosiłem oficjalnie, żeby została moją dziewczyną. I nie wyznałem, że ją kocham. Zamiast tego zachowałem się jak tchórz, powiedziałem tylko, że ją uwielbiam, że za nią szaleję – wszystko, żeby tylko nie nazwać rzeczy po imieniu.

A teraz, nawet gdybym zebrał się na odwagę, by to powiedzieć, ona i tak nie zechciałaby mnie słuchać. Może nawet w ogóle by mi nie uwierzyła.

ROZDZIAŁ 22

SADIE

Nie spodziewałam się, że pobyt w Latham bez Lane'a będzie aż tak bardzo boleć. Popełniłam błąd. Przez cały tydzień uświadamiałam to sobie na nowo, kiedy kładłam się do łóżka w przeraźliwej samotności, za towarzystwo mając jedynie własne okropne myśli. Nie mogłam zasnąć, więc zazwyczaj zwijałam się w kłębek i godzinami wpatrywałam w ciemną gęstwinę drzew za oknem. Próbowałam przeniknąć wzrokiem za las, za Whitley i za pokrytą kurzem drogę stanową, usianą na poboczach straganami z awokado, i przelecieć wzdłuż wybrzeża aż do Los Angeles, do domu.

Nic z tego. Przed oczami miałam tylko twarz Lane'a, siedzącego na schodach sponiewieranej altanki, jak zapadał się w siebie i wpatrywał we mnie tak, jakbym rozerwała cały wszechświat na kawałki i wręczyła mu strzępy.

Nie spodziewałam się, że to będzie tak wyglądać. Nie miałam doświadczenia z chłopakami – właściwie w niczym nie byłam doświadczona, z wyjątkiem chorowania na gruźlicę. Ale teraz Latham miało przestać istnieć. Nick powtarzał, że to ostatnie dni imperium.

Nie miał racji. Słońce zdążyło już zająć nad naszym małym imperium – tym jedynym, które miało jakieś znaczenie. Nasza paczka się rozpadła, a energia, dzięki której nasz stolik stanowił kiedyś centralny punkt stołówki, wyparowała. Nie było już imperium, tylko ruiny dawnej świetności. Tylko wspomnienia po wspaniałych przyjaźniach.

Minęły trzy dni, zanim odważyłam się choć zerknąć na Lane’a i przestać udawać, że moją uwagę bez reszty pochłania jakieś przypadkowe zdjęcie w kolorowym magazynie.

A kiedy już na niego spojrzałam, natychmiast zebrało mi się na płacz. Wyglądał tak samo jak zawsze – mój Lane z niesforną czupryną i zielonobrazowymi oczami, z tą jedną różnicą, że wcale nie był mój. Już nie.

W czwartek po moim zerwaniu z Lane’em zapukała do mnie Marina. Leżałam w łóżku i słuchałam w kółko jednego albumu Adele, skulona w małym gniazdku elektroniki, książek i ładowarek. Marina aż prychnęła na ten widok.

– Widzę, że urządziłaś sobie prawdziwą norę – podsumowała.

– Cofam się w rozwoju. W przyszłym tygodniu wyrosną mi skrzela i zamieszkać w stawie.

Marina potrząsnęła głową.

– Co się dzieje, Sadie? Wydawało mi się, że właśnie tego chciałaś.

– Chyba sama nie wiem, czego chcę! – Westchnęłam. – Poza użalaniem się nad sobą w swojej norze.

– Cóż, teraz masz towarzystwo.

Marina zamknęła drzwi i pokazała mi pendrive.

– Przed chwilą rozmawiałam z Nickiem. Słuchałaś już?

– Co to jest?

– To... to album Charliego.

Usiadłam prosto na łóżku.

– Charlie nagrał album?

– Tak, zdążył skończyć przed śmiercią – przytaknęła Marina. – Zostawił go w pudełku po butach.

Nie znosiłam rozmów o Charliem. Sprawiały, że wracałam myślami do tamtej chwili w lesie, kiedy stałam nad jego ciałem i szukałam zielonego światełka na silikonowej opasce.

Ale to było coś innego. Coś nowego.

– Możemy go włączyć? – zapytałam.

– Nick zrobił ci kopię. Masz. To twoje. Od rana słucham go w kółko.

Marina rzuciła pendrive na pościel. Wlepiłam wzrok w drobny przedmiot u swoich stóp.

– Dzięki – wykrztusiłam.

– Wiesz, on chciał nas znaleźć. Próbował się pożegnać. Po to wyszedł do lasu, a nie dlatego, że zmusiliśmy go do udziału w greckim przyjęciu.

Wpatrywałam się w Marinę bez słowa. Ona tylko uśmiechnęła się smutno.

– Nie żeby to coś znaczyło – dodała. – Po prostu uznałam, że powinnaś wiedzieć.

I wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Wetknęłam pendrive do laptopa, założyłam słuchawki i włączyłam pierwszy utwór.

Słyszałam już wcześniej urywki piosenek Charliego. Jakiś refren, sekwencję akordów, akustyczną wersję z akompaniamentem ukulele. Teraz jednak miałam przed sobą skończone dzieło, a nie szkic. Jakby Charlie wrócił do życia i usiadł tuż przy mnie, żeby opowiedzieć, jak to jest umierać tak wcześniej i czuć paralizujący strach, że czegoś się nie skończyło, że może

nam nie starczyć czasu.

Kiedy umilkła ostatnia piosenka, zanosiałam się już szlochem. Charlie ledwie z tym zdążył. A ja byłam taka głupia, że porzuciłam Lane'a. Nawet nie zdołaliśmy nic razem stworzyć, bo tak bardzo się bałam, że to wszystko jest tylko na chwilę.

I tak bardzo się pomyliłam. Rzeczy chwilowe wcale nie mają mniejszej wartości, bo w życiu nie chodzi o to, jak długo coś trwało, tylko że się wydarzyło. Tak jak starożytna Grecja. Jak Latham. Jak Lane i ja.

Wygładziłam kucyk najlepiej, jak umiałam, pomalowałam wargi resztką ulubionego błyszczyku, którą trzymałam na specjalną okazję, po czym popędziłam w dół po schodach, wybiegłam na zewnątrz i zapukałam do drzwi wejściowych domu numer 6.

Był wieczór, choć jeszcze niezbyt późno. Drzwi otworzył mi chłopak o imieniu Tim, który popatrzył na mnie z zaskoczeniem.

– Dzięki – powiedziałam, przeciskając się do środka.

– Nie powinnaś tu wchodzić! – zawołał za mną, ale nawet się nie odwróciłam.

Wbiegłam na drugie piętro i popędziłam przez korytarz do pokoju Lane'a.

Zapukałam.

– Proszę – dobiegł ze środka jego głos.

– Hej – bąknęłam, otwierając drzwi.

Jego pokój wyglądał jak pobojuwisko. Wszędzie walały się książki i ciuchy, a w powietrzu było aż gęsto od żalu. To w niczym nie przypominało pedantycznej sypialni, z której podśmiewałam się kilka tygodni temu. Teraz było widać, że ktoś tu naprawdę mieszka.

Popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakbym była ostatnią osobą, którą spodziewał się zobaczyć na progu.

– Hej – powiedział ostrożnie.

Zamknęłam drzwi i stanęłam przy wejściu. Wpatrywałam się w niego niepewnie, zastanawiając się, co teraz myśli.

– Przepraszam – wypaliłam. – Tak bardzo przepraszam. Nie chciałam z tobą zrywać.

– Naprawdę? – zapytał, jakby nie do końca mi wierzył.

– Tak. To był największy błąd mojego życia, a nie zapominajmy, że przez całe kolonie chodziłam w hippisowskich szortach, więc poprzeczka była wysoko postawiona.

– Pamiętam te spodenki – odparł Lane z szerokim uśmiechem.

A potem przyciągnął mnie blisko do siebie, obejmując tak mocno, że prawie czułam dziury wyżarte w moich płucach przez gruźlicę. Lane sprawiał, że znów czułam się kompletna.

– A ja pamiętam twój aparat na zęby – odgryzłam się żartobliwie.

– A ja twój, miałaś w nim fioletowe gumki.

– A ty nosiłaś czerwone okulary przeciwsłoneczne.

– A ja gapiłem się na ciebie, kiedy pływaliśmy w jeziorze, i myślałem sobie, jaka jesteś piękna.

– Nieprawda! – zaprotestowałam.

– Okej – przyznał Lane pokornie. – Zmyślam, ale trzeba było się gapić. I już dawno należało powiedzieć, że cię kocham.

Podniosłam głowę i popatrzyłam na niego z niedowierzaniem, a on spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się promiennie. Cały świat nagle zniknął, zostały tylko te jego długie rzęsy i linia szczęki, aż dreszcz przebiegł mi po całym ciele.

– Nawet kiedy z tobą zerwałam?

– A, czekaj, o tym nie pomyślałem – odparł przekornie.

– Ej! – przerwałam mu w udawanej złości. Ale natychmiast zarzuciłam mu ramiona na szyję i wspięłam się na palce, żeby go pocałować, a zaraz przedtem wyszeptałam: – Ja też cię kocham.

I pocałowałam go tak, jakbym chciała wysadzić oba nasze sensory w powietrze.

– Wow – wydyszał Lane, kiedy oderwaliśmy się od siebie.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Nie musimy przestawać.

– Eee, chyba powinniśmy – odparł, wskazując na swoją bransoletkę. – Bo jeszcze chwila i odpalimy pociski jądrowe.

– Oddychaj jak na jodze – doradziłam. – Powoli, głęboko. Wdech, wydech.

– Kto by pomyślał, że zajęcia zdrowotne na coś się przydadzą – skwitował Lane z rozbawieniem.

– Cicho, próbuję cię pocałować – upomniałam go, udając niezadowoloną.

Już po chwili moje wargi znalazły jego usta – i nic więcej nie trzeba było mówić.

W piątek znów mieliśmy odebrać paczkę, a Nick oczywiście znowu wycofał się w ostatniej chwili. Lane zaproponował, że pójdzie ze mną, ale powiedziałam, że wolę zrobić to sama.

Od urodzin Mariny ani razu nie byłam w lesie. Unikałam tego miejsca, podobnie jak ludzi. Ale przecież Charlie nie chciał zniszczyć mojej więzi z lasem. Zgniotłam więc cały swój strach w malutką, zbitą kulkę i ruszyłam w drogę. Na głowie miałam wełnianą czapkę, na ramieniu pusty plecak, a w dłoni latarkę, rzucającą blade światło na drzewa wzdłuż znajomej ścieżki. Próbowałam się pogodzić z lasem – i go pożegnać.

Był już prawie grudzień, większość drzew zdążyła się zmienić w szkielety. Łatwiej było mi teraz dostrzec niebo pośród gałęzi, zauważyłam nawet kilka gwiazd. Kiedyś czytałam, że wszyscy jesteśmy tylko martwymi gwiazdami, które patrzą w niebo, bo wszystko, z czego jesteśmy stworzeni – nawet hemoglobina w naszej krwi – powstało na moment przed śmiercią gwiazdy.

Nie wiem, dlaczego zaczęłam nad tym rozmyślać, ale zrozumiałam wtedy, że tak jak gwiazdy świecą najjaśniej w momencie śmierci, tak muzyka Charliego była jego blaskiem. I że gwiazdy na niebie kiedyś się wypalą i zmienią w atomy w ciałach ludzi umierających na choroby, których jeszcze nie potrafiliśmy sobie wyobrazić.

Michael czekał na mnie na polanie, zgarbiony i opatulony w grubą kurtkę, choć wcale nie było tak zimno.

– Hej – przywitałam się, machając latarką w górę i w dół.

Odwrócił się w moją stronę. Miał dziwny wyraz twarzy.

– Sama przyszłaś?

– Nick okazał się beznadziejnym partnerem biznesowym – wyjaśniłam, wznosząc oczy do nieba. – Osobiście uważam to za szczególnie ironiczną sytuację, bo jestem pewna, że to właśnie on będzie miał kiedyś własny interes.

Michael zakaszłał. Brzmiało to dość niepokojąco.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

– Nie bardzo. Jestem chory.

– Sezon na grypę, co?

On tylko wbił we mnie przeszywające spojrzenie. Nagle zorientowałam się, że nie ma ze sobą reklamówek. Nie przyniósł naszych zakupów.

– Tak się składa, że złapałem gruźlicę – odparł z dziwnym półuśmiechem.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w ciemności. Nie wiedziałam, czego ode mnie chce. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. I nie rozumiałam, dlaczego nagle poczułam taki niepokój.

– Przykro mi – powiedziałam.

– Tobie jest przykro? – Michael roześmiał się, ale jakoś strasznie. – Przykro? I co mi da to twoje „przykro”? Zwróci mi pracę? Zapłaci czynsz? Albo alimenty?

– Nie, ja... – Urwałam. Sama nie wiedziałam, co chciałam powiedzieć.

– Co? – Michael podniósł głos. – Co „nie”?

– Nie, nic ci nie da, ale właśnie wchodzi nowy lek.

– A, tak, ta cała protocyлина. O ile to nie jakaś ściema – syknął i zrobił krok w moją stronę. – Zresztą nieważne, czy ten lek w ogóle istnieje. Tacy jak ja jeszcze długo nie będą mieli do niego dostępu. Będę musiał siedzieć i grzecznie czekać. Chyba że umrę, zanim wprowadzą go do masowej produkcji.

Michael naprawdę mnie przerażał. Nie wyglądał na przestraszonego swoją sytuacją – był wściekły. Podszedł jeszcze bliżej.

– Ty mi to zrobiłaś! – rzucił oskarżycielsko. – Zaraziłaś mnie. Zniszczyłaś mi życie. Nie mogę się widywać z własnym dzieckiem. Mam zakaz wychodzenia z domu. I jeszcze mnie to zabije! Umrę w samotności!

Cofnęłam się niepewnie, myśląc o ucieczce. Ale on rzucił się na mnie i uderzył pięścią w żebra, tak mocno, że odebrało mi dech. Miałam wrażenie, że świat kruszy się na kawałki. Czułam, jak lecę w tył. Moja czaszka uderzyła z głośnym chrupnięciem o pień drzewa. We włosach miałam coś mokrego i lepkiego jak żywica. Tylko że to raczej nie była żywica.

Dopiero po chwili pojawił się ból. Obezwładniający. Ogarnął całe ciało, jakbym w nim tonęła. Jakby zapadały się we mnie całe galaktyki, jakby gwiazdy spalały się na popiół, mimo że i tak już dawno były martwe.

Wypełniały mnie dwukrotnie zmarłe gwiazdy, wszystko zaczęło się rozmywać, próbowałam coś powiedzieć, cokolwiek, ale zdołałam tylko skulić się na boku i zanieść gwałtownym, rozdzierającym kaszlem. Usłyszałam, jak Michael mamrocze: „Boże, Boże, Boże”, a potem rozległo się wycie mojego sensora, wściekłe „biiip-biiip-biiip-biiiiiiiiiiiiiiip!”. Później wszystko rozplynęło się w gęstej ciemności.

ROZDZIAŁ 23

LANE

Sadie powiedziała, żebym czekał na nią w altanie, ale robiło się późno, a ona nie wracała. Siedziałem posłusznie w wyznaczonym miejscu i zastanawiałem się, gdzie ona się podziała. Żałowałem, że nie mogę po prostu wysłać jej esemesa.

Nie wiedziałem, co będzie, jeśli Sadie nie zdąży przed ciszą nocną. Uznałem, że pewnie wymyśli jakąś wymówkę. Miałem tylko nadzieję, że nic jej się nie stało. Ostatnio była bledsza niż zwykle i wyglądała na bardziej zmęczoną – ale może tylko tak mi się wydawało, bo jeszcze nie otrząsnąłem się po Charliem.

Niepotrzebnie się nakręcałem: było późno, robiło się chłodno, a ja siedziałem sam po ciemku. Sadie za chwilę wróci. Będzie miała na głowie tę swoją śmieszoną czerwoną czapkę. Usiądzie przy mnie, zrzucając z ramion plecak ciężki od przeschmuglowanych butelek wódki i słodczy, i powie zirytowana, że koleś od zakupów się spóźnił. A potem oprze mi brodę na piersi, uśmiechnie się szeroko, pocałujemy się szybko na dobranoc i popędzimy do swoich domów, żeby wskoczyć pod kołdrę w ubraniu,

w ostatniej chwili zdążywszy przed kontrolą pielęgniarki.

Siedziałem ze słuchawkami na uszach, skoncentrowany na playliście, którą ułożyłem specjalnie dla Sadie. To była nasza historia zamknięta w muzyce, jeszcze nieskończona. Zamierzałem co miesiąc dodawać nową piosenkę, żeby lista mogła się rozwijać razem z nami. To było trochę jak elektroniczna alternatywa dla adopcji drzewa (zrobiłem to w ramach działalności w kółku redukcji śladu węglowego, ale tylko dlatego, że to dobrze wyglądało na papierze – w rzeczywistości wcale mnie to nie interesowało). Podtrzymywanie przy życiu playlisty było mi o wiele bliższe.

Popatrzyłem na pusty kampus, podniosłem wzrok ku wieży zegarowej. Pięć minut do ciszy nocnej. Wiedziałem, że powinienem wracać do swojego domu, choć nie miałem na to najmniejszej ochoty. Ale nie ruszyłem się z miejsca.

No weź, Sadie, pomyślałem, bawiąc się iPodem. Będzie tu przed końcem tej piosenki, stwierdziłem. A potem: przyjdzie przed końcem następnej. Sadie jednak nie wracała.

Dotarłem do połowy utworu, kiedy nagle zobaczyłem, że z domów wysypują się pielęgniarki i pielęgniarze. Z przerażeniem na twarzach gnali w stronę lasu. W pokojach paliły się światła. Wszyscy wybiegli w piżamach na ganki.

Zdjąłem słuchawki. Usłyszałem przerażający skowyt alarmu.

Biiip-biiip-biiip-biiiiiiiiiiiiiiip! Biiip-biiip-biiip-biiiiiiiiiiiiiiip!

Wycie sensora dobiegało z lasu. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że pisk doprowadzi pielęgniarki do Sadie.

Wszystko zamarło w bezruchu – z wyjątkiem czasu, który bezlitośnie parł naprzód, bo huczało mi w uszach i w głowie, serce tłukło mi się w piersi i wiedziałem, po prostu wiedziałem, że Sadie stało się coś bardzo złego. Wezbrała we mnie panika, otaczając wszystko niczym gęsty, duszący dym.

Chwiejnie podniosłem się na nogi. Gęstwinę drzew oświetlał tylko słaby blask księżyca. Desperacko pragnąłem, żeby ten koszmarny pisk wreszcie ucichł, choć w rzeczywistości chciałem po prostu, żeby nigdy go nie było.

Cały personel medyczny ruszył do lasu. Pielęgniarz Jamie włączył latarkę. Bez zastanowienia pobiegłem za nimi między drzewa.

Nie miałem przy sobie kompasu, ale mniej więcej pamiętałem drogę na polanę, którą pokazała mi kiedyś Sadie. Nie wiedziałem na pewno, czy Sadie tam będzie, ale musiałem spróbować.

– Czekaście! – zawołałem.

Jamie przystanął i odwrócił się za siebie.

– Lane, wracaj do środka! – nakazał.

Wysoka, ciemnowłosa pielęgniarka minęła mnie i wbiegła między drzewa. Po chwili wróciła, kręcąc głową.

– Nie podaje mi dokładnej lokalizacji – powiedziała. – Sygnał jest za słaby.

– Wszyscy mamy ten problem – odparł Jamie. – Musimy się rozdzielić, i to szybko – dodał, posyłając mi wściekłe spojrzenie. – Do środka, już!

– Ale ja wiem, dokąd ona poszła! – nalegałem desperacko. – Proszę! Mogę pokazać.

Nie zamierzałem czekać, aż odmówią. Po prostu zacząłem biec. Płuca płonęły mi żywym ogniem, czułem klucie w piersi. Nie miałem pojęcia, że wysiłek fizyczny sprawi mi aż taki ból. Już po chwili oparłem się dłonią o drzewo i spazmatycznie wciągnąłem powietrze.

– Tędy – wydyszałem, znów ruszając naprzód. Tylko siłą woli trzymałem się na nogach, ale z każdą chwilą byłem bliżej przerażającego pisku.

Wiedziałem, że coś jest nie tak. Miałem ochotę sam sobie przywalić za to, że nie zorientowałem się wcześniej. Za to, że z nią nie poszedłem. Że nie nalegałem. I jeszcze jedno – Boże kochany, jak ja chciałem zabić Nicka.

– Sadie! – wrzeszczałem. – Sadie!

Ale gdzieś w głębi duszy miałem już pewność, że nie usłyszę odpowiedzi.

W lesie było bardzo, bardzo ciemno. Wąskie białe smugi światła z latarek trzymany przez pielęgniarki niewiele pomagały. Słyszałem, jak krzyczą do siebie, że nie mają sygnału z GPS-u Sadie, a koszmarnie wycie nie ustępowało, stawało się coraz głośniejsze, aż cały las wibrował od alarmu.

Polana, o której opowiadała mi Sadie, była już przed nami. Popędziłem w tamtą stronę.

– Sadie! – zawołałem jeszcze raz.

Wtedy wreszcie ją zobaczyłem. Leżała skulona pod drzewem obok pustego plecaka. W pierwszej chwili pomyślałem, że śpi, ale kiedy padło na nią światło z latarki pielęgniarza Jamiego, dostrzegłem jej włosy zlepione krwią. To nie była jasna krew tętnicza, tylko inna – ciemniejsza i jeszcze bardziej przerażająca.

– Nie – wyszeptałem, padając na kolana tuż przy niej.

Miała głęboką ranę z tyłu głowy, jakby ktoś rzucił nią o drzewo. Była tak blada, że jej skóra wydawała się niemal przezroczysta.

Wziąłem ją w ramiona. Była zimna, oddech miała płytki, ale nadal żyła.

– Sadie – powtarzałem. – To ja. Błagam cię. Sadie.

Dyszałem ciężko. Nigdy w życiu serce nie waliło mi tak szybko, tak głośno. Nigdy nie słyszałem, żeby mój własny puls tak huczał mi w uszach.

Sadie jęknęła cicho.

– Musisz się odsunąć – powiedział pielęgniarz, ale przecież nie chodziło mu o mnie, niemożliwe.

Wtedy poczułem jego ręce na ramionach. Podniósł mnie i odciągnął od Sadie, a ja krzyczałem i zanosilem się szlochem, nie mogłem złapać

powietrza, ale to nie było ważne, nie liczyło się nic poza tym, żeby Sadie była cała i zdrowa, żeby nie umarła.

– Co ona tu robiła? – zastanawiała się któraś z pielęgniarek.

Wszystko zaczęło wirować. Oparłem się jedną dłonią o drzewo, a drugą przycisnąłem do walącego w piersi serca, z trudem chwytając oddech.

– Co z nią będzie? – pytałem w kółko. – Wszystko w porządku? Niech mi ktoś odpowie.

– Musisz się uspokoić – powiedział pielęgniarz. – Daj rękę, to ci pomoże. Poczulem ukłucie, po czym świat rozplynął mi się przed oczami.

Obudziłem się w skrzydle szpitalnym Latham. Właśnie minęła czwarta rano, na oddziale panowała nienaturalna cisza. Coś zaswędziało mnie w nosie. Sięgnąłem ręką do twarzy i odczepiłem rurkę z tlenem.

Nadal byłem oszołomiony po środku usypiającym. Zwleczenie się z łóżka i podniesienie na nogi bez zataczania kosztowało mnie żenująco dużo wysiłku. Mózg miałem tak zamglony, że nie pamiętałem nawet zbyt dobrze, co tutaj robię – ani gdzie właściwie jest „tutaj”. Aż nagle mgła ustąpiła i wspomnienie wydarzeń z poprzedniego wieczora uderzyło mnie z pełną siłą.

Sadie leżąca na leśnym poszyciu. Potworna rana na jej głowie. Płytki oddech. Pielęgniarki zbite nad nią w ciasnym wianuszk, jakby w jednej chwili zmieniła się z osoby w tragiczny wypadek.

Musiałem ją znaleźć. Upewnić się, że nic jej nie jest.

Wymknąłem się na pusty korytarz. Dyżurka pielęgniarek była na samym końcu. Telewizor grał cicho, ekran migotał za szkłem.

Nigdy wcześniej nie byłem na piętrze skrzydła medycznego. Oddział był niewielki, mniejszy niż w szpitalu. Znalazłem imię Sadie zapisane odręcznie

na tabliczce na drzwiach dwa pokoje od mojego.

Wszedłem do środka na palcach z rozpaczliwą nadzieją, że zastanę ją przytomną. Wyobraziłem sobie, jak śmieje się z moich potarganych włosów i pyta z sennym uśmiechem, czy mam ochotę położyć się przy niej i poprzytulać, aż nie przyłapie nas pielęgniarka.

Ale oczywiście nic takiego się nie wydarzyło.

Sadie spała, a może była nieprzytomna – nie jestem pewien. W szpitalnym łóżku sprawiała wrażenie uderzająco drobnej i delikatnej, spod jej kołdry wystawała płatanina kabli i rurek. Zupełnie nie przypominała tej dziewczyny z czerwoną szminką na ustach i w wełnianej czapce na głowie, która nieustraszenie przemierzała nocami las z plecakiem ciężkim od przeschmuglowanych zakupów.

– Hej – wyszeptałem, ale ona nie odpowiedziała.

Wziąłem ją za rękę. Chciałem poczuć jej obecność, choćby przez chwilę. Przypomniało mi się, jak zapisałem na tej dłoni swój numer telefonu, jak wodziła palcami po mojej twarzy, kiedy całowaliśmy się w lesie. Jak wykręcałem się za siebie na karuzeli, próbując złapać ją za rękę, jak ona wyciągała dłoń w moją stronę, rzucając mi wyzwanie, obiecując w zamian życzenie rozmiarów średniej coli.

Przydałoby mi się teraz to życzenie. Chociaż coś mi mówiło, że potrzebowalibyśmy czegoś dużo większego niż średnia cola.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem, ale w końcu Sadie jęknęła cicho i otworzyła oczy.

– Hej. Nie śpisz – powiedziałem, ściskając jej dłoń.

Skrzywiła się, twarz miała bladą i wymizerowaną.

– Gdzie jestem? – zapytała szeptem.

– W skrzydle medycznym.

Znów zamknęła oczy.

– Wszystko mnie boli – wychrypiała. – Chyba jestem cała zrobiona z bólu.

Rozejrzałem się, szukając czegoś, co mogłoby jej pomóc. Jest.

– Dozownik z morfiną – wyjaśniłem, kładąc jej dłoń na przycisku. – Nick umarłby z zazdrości.

Czekałem, aż coś odpowie, ale nagle do pokoju weszła pielęgniarka. Była młoda, ładna, ciemnowłosa. Kiedy zobaczyła, że Sadie jest przytomna, uśmiechnęła się na powitanie.

– Dzień dobry, złotko – powiedziała, a następnie przeniosła wzrok na mnie i zmarszczyła czoło. – A ty jesteś pacjentem?

– Eee – bąknąłem, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Niestety miałem na sobie szpitalną piżamę, więc niewiele pozostało do wyjaśniania.

– Proszę wyjść – nakazała tonem niedopuszczającym dyskusji.

Podniosłem się niepewnie na nogi. Nadal było mi słabo po lekach.

– Wrócę – obiecałem, zerkając na Sadie przez ramię, ale ona znów miała zamknięte oczy. Nie byłem pewien, czy mnie w ogóle usłyszała.

ROZDZIAŁ 24

SADIE

Obudził mnie zapach szpitala, pisk elektroniki i ból. Lane siedział przy mnie – a może tylko go sobie wyobraziłam – i wyjaśnił, że leżę w skrzydle medycznym, że nadal jestem w Latham. Ale to była ta zła część Latham – miejsce, w którym nikt nigdy nie chciał się znaleźć.

Poczułam ukłucie i zobaczyłam płyn w rurce kroplówki. Wszystko było zamglone i niewyraźne, jak rozmazana fotografia, jak źle uchwycony moment na kliszy, a potem znów zapadła ciemność.

Wydawało mi się, że mam w sobie pełno noży, które próbują się ze mnie wygrzebać. W głowie mi pulsowało, jakby ktoś zrobił mi dziurę w czaszce. Wyobraziłam sobie, jak uciekam przez ten otwór, wylatuję z klatki cierpienia, ze swojego ciała, że już jest po wszystkim.

Ale wiedziałam, że to nie koniec. Tyle rzeczy trzymało mnie jeszcze przy życiu. Miałam coś... w dłoni. Przycisk. Pielęgniarka mówiła do mnie, tłumaczyła... że kiedy go nacisnę, dostanę dawkę morfiny.

Pokazała mi, jak z niego skorzystać, wyjaśniła, że to złagodzi ból. Wiedziałam jednak, że to nieprawda – spędziłam dość czasu w Latham, by

zrozumieć, że bólu nie da się zagłuszyć. Musi odejść sam. Tylko że nie wydawało mi się, by ten konkretny rodzaj udręki zamierzał mnie opuścić.

Gdy znów odzyskałam przytomność, miałam wrażenie, że jest o wiele później, ale nie byłam pewna. Popatrzyłam w sufit i zamrugałam kilka razy, próbując się nie rozplakać od koszmarnego bólu w piersi.

Jęknęłam cicho. Lane znów był przy moim łóżku. Nachylił się nade mną, w jego oczach malował się niepokój.

– Hej – odezwał się.

– Jesteś tu – wychrypiałam.

– Próbowali mnie wykopać, ale się nie dałem – oznajmił wesoło, po czym wzruszył ramionami. – No, niezupełnie. Leżę dwa pokoje od ciebie, więc po prostu się tu przekradłem, kiedy nikt nie patrzył.

– Łamiesz zasady – wymruczałam.

– Cóż, uczyłem się od najlepszych.

Pokazał mi, jak podnieść łóżko, żebym mogła usiąść bez wysiłku. Zauważyłam, że też ma na sobie szpitalną piżamę.

– Coś ci się stało – wymamrotałam.

– E, nie. Dali mi tylko lek na sen i przytrzymali tutaj, żeby wszystko ze mnie zeszło. Udaję, że jeszcze mnie trzyma, żebym mógł zostać dłużej – wyjaśnił z przewrotnym uśmiechem.

Chciałam odwzajemnić uśmiech, ale chyba tylko się skrzywiłam.

Lane podsunął mi do ust kubek z wodą. Spróbowałam się napić.

– Oj, gorące – zażartował, kiedy trochę się rozlało.

– Żeby tobie nie zrobiło się za gorąco w tej piżamce – odbiłam piłeczkę.

Zaśmiał się lekko, ale nagle spowaźniał.

– Sadie, co się stało wczoraj w nocy?

W pierwszej chwili to pytanie zbiło mnie z tropu. Właśnie, co się stało? Byłam w lesie... i wtedy... wtedy... Boże.

– Michael – wyszeptałam. Na to wspomnienie znów zaczął wzbierać we mnie duszący strach.

Opowiedziałam Lane’owi wszystko, co zapamiętałam: że poszłam na spotkanie z Michaeliem, a on powiedział, że przeze mnie ma gruźlicę.

– Gówno prawda – syknął Lane ze złością. – Skąd on może wiedzieć, od kogo się zaraził?

– No właśnie – przytaknęłam. – Ale to... On nie był sobą. Dostał szalu. Rzucił się na mnie.

– Zabiję go. – Potrząsnął głową.

– Marina miała rację – wymamrotałam, nagle wyczerpana długą rozmową. – Ludzie się nas boją. Jesteśmy dla nich potworami. Tylko że to oni boją się tego, czego nie rozumieją. To oni wszystko niszczą.

Poczułam, że znów odpływam.

– Sadie? – usłyszałam głos Lane’a.

– Obudź mnie, gdy ten koszmar się skończy – poprosiłam, po czym otuliła mnie ciepła wata morfinowego snu.

ROZDZIAŁ 25

LANE

Chciałem zostać przy Sadie, ale doktor Barons wykopał mnie z pokoju, zapowiadając, że niedługo przyjedzie jej rodzina. Kiedy zapytałem, czy Sadie wyzdrowieje, uśmiechnął się protekcyjnie i odparł, że ma taką nadzieję.

Dziwnie się czułem, wychodząc ze skrzydła medycznego. Było sobotnie popołudnie i kiedy szedłem przez kampus, wszędzie wokół widziałem mieszkańców wylegujących się na trawie ze słuchawkami na uszach, czytających książki albo grających w planszówki. Znowu wypadłem z rytmu Latham. Nie byłem już częścią systemu.

Poszedłem prosto do szóstki i zapukałem do drzwi Nicka. Wyglądał okropnie. Był owinięty wyliniałym szlafrokiem, włosy sterczały mu na wszystkie strony. Bez okularów jego twarz wydawała mi się jakaś naga.

– Jak ona się czuje? – zapytał z desperacją w głosie. – Nie chcieli mnie wpuścić.

Był tak zaniepokojony, jakby miał prawo do Sadie i do martwienia się o nią. Ale ja w tej chwili czułem do niego wyłącznie nienawiść. Nie przyszedłem, żeby przekazać mu wieści o jego przyjaciółce. Po prostu – cóż

– to była jego wina, że Sadie leżała w skrzydle szpitalnym z dwoma złamanymi żebrami i wstrząśnieniem mózgu, jak usłyszałem od pielęgniarki, a ponieważ nie mogłem zabić Michaela, Nick był następny w kolejce.

– Niedobrze – odparłem.

– Powinienem być z nią pójść.

– No – zgodziłem się zimno. – Powinieneś.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że trzeba było iść z Sadie, tak jak obiecałeś, zamiast upijać się w samotności w swoim pokoju.

– Pierdol się.

– Sam się pierdol.

Nie pamiętam, jak się zamachnąłem i go uderzyłem, ale musiałem to zrobić, bo Nick cofnął się chwiejnie kilka kroków, trzymając się za twarz i klnąc, a mnie zapiekła dłoń. Natychmiast poczułem się lepiej. O Nicku nie dało się tego powiedzieć.

– Kurde! To boli! – zawył, a kiedy odsunął rękę, zobaczyłem, że nad brwią pociekła mu strużka krwi.

– Lepiej to zdezynfekuj – rzuciłem na odchodne. – Całe szczęście, że masz w pokoju alkohol.

Wieczorem wróciłem do Sadie. Z początku pielęgniarka nie chciała mnie wpuścić, ale podniosłem taki raban, że doktor Barons przyszedł zobaczyć, co się dzieje.

– Ach, Lane. Pozwól na chwilkę, chciałbym z tobą porozmawiać.

Ruszyłem za nim przez korytarz do jego gabinetu. Zaczął mi wiercić dziurę w brzuchu pytaniami, skąd wiedziałem, gdzie znaleźć Sadie. Wyznałem wszystko, co wiedziałem: że miała się spotkać z jakimś facetem

z miasteczka, który ma na imię Michael i pracuje w Starbucksie – nie znałem jego nazwiska. Potem dodałem szczegóły, które usłyszałem od Sadie: że Michael oskarżył ją o zarażenie gruźlicą i się na nią rzucił.

Doktor Barons westchnął ciężko. Miał grobową minę.

– Jesteś pewien, że tak było?

– Na sto procent.

Lekarz zawołał do gabinetu dwóch policjantów w średnim wieku, którzy przed wejściem włożyli na twarze maseczki chirurgiczne. Kazali mi opowiedzieć wszystko jeszcze raz. Myślałem, że to się nigdy nie skończy. Nie mogłem się doczekać, kiedy mnie wreszcie wypuszczą i pozwolą sprawdzić, jak się czuje Sadie.

– Czy z kimś jeszcze powinniśmy porozmawiać? – zapytał ten bardziej przypakowany.

Bez najmniejszych skrupułów nakablowałem na Nicka.

Barons wreszcie się zlitował i pozwolił mi iść do Sadie, choć najpierw kazał mi włożyć maseczkę i wyszorować ręce do czerwoności.

Jej rodzina już tam była. Mama – młoda i ładna, o takich samych blond włosach jak córka – siedziała na krześle i wypełniała dokumenty. Młodsza siostra Sadie, dwunastoletnia Erica, była ciemnowłosa, o patykowatych nogach, z nosem przyklejonym do jakiejś gry na telefonie.

– Ty pewnie jesteś Lane – powiedziała mama Sadie, uśmiechając się do mnie pod maseczką. – Naomi, mama Sadie.

– Miło mi panią poznać. – Odruchowo prawie podałem jej rękę, ale w ostatniej chwili się opamiętałem.

– Bardzo ci dziękuję, że byłeś przy niej rano.

– Drobiazg.

Mama Sadie wprawdzie nie była zachwycona moim towarzystwem, ale przynajmniej mnie nie wygoniła. Powiedziałem jej, że byłem z Sadie na koloniach kilka lat temu. Zapytała, jak mi się podobało. Skłamałem uprzejmie i starałem się podtrzymać rozmowę. Zależało mi, żeby mnie polubiła, bo obawiałem się, że zaraz zostanę wyproszony.

Musiałem się zdrzemnąć na krześle przy łóżku, bo kiedy otworzyłem oczy, Sadie patrzyła prosto na mnie.

– Nie śpisz. – Przeciągnąłem się.

– Ćśśś – wyszeptała.

Wyglądała nieco lepiej, ale nadal była strasznie blada. Przechyliła głowę w stronę korytarza, nasłuchując dobiegających z niego głosów.

Doktor Barons stał tuż za drzwiami i rozmawiał z jej mamą. Najpierw wspomniał o złamanych żebrach i wstrząśnieniu mózgu. A potem zniżył głos i dodał, że z powodu napaści Sadie miała w lesie niewielki krwotok. Obawiał się, że jeśli nastąpi kolejny, Sadie może tego nie przeżyć.

– Rentgen nie wygląda obiecująco, pani Price – dodał, a ja dopiero po chwili przypomniałem sobie, że rodzice Sadie się rozwiedli. – Mamy problem z żebrami. Przy każdym napadzie kaszlu istnieje ryzyko, że kość się przesunie i przebije płuco.

Kiedy do Sadie dotarła powaga sytuacji, jej oczy wypełniły się łzami.

– W połączeniu ze spustoszeniami, jakich zdążyła już dokonać gruźlica, złamania stanowią poważne zagrożenie – dokończył Barons.

– Czy da się coś zrobić? – zapytała mama Sadie.

– Potrzebna jej protocyлина – odparł ponuro lekarz.

– Ale pierwsze dawki dotrą dopiero za trzy tygodnie.

– Owszem. I niestety nie mamy aż tyle czasu. Ogromnie mi przykro, pani Price.

Sadie zamknęła oczy, próbując powstrzymać łzy. Ścisnąłem jej dłoń, żałując, że zachciało nam się podsłuchiwać. Niektórych rzeczy nie powinno się słyszeć – są zbyt potworne, zwłaszcza kiedy ktoś z boku rozmawia na nasz temat. Sadie nie wyglądała na pogrążoną w żalu, raczej na pokonaną. Nie wiem, jak zdołałem zachować spokój. Jakim cudem mogłem przy niej siedzieć i gładzić ją po wierzchu dłoni, oddychając urywanie, ale bez płaczu. Nie zamierzałem okazywać jej własnej rozpacz.

– Lane – odezwała się po dłuższej chwili.

– Hmm?

– To takie smutne. Zawsze czułam, że coś jest ze mną nie tak, a teraz już wiem. Jestem wadliwym egzemplarzem.

Kiedy usłyszałem, jak to mówi, coś znów we mnie pękło.

– Nie wygłupiaj się.

– Więc dlaczego nie da się mnie naprawić? – zapytała, dygocząc od powstrzymywanych łez. – Jeśli nie jestem wadliwa, to dlaczego nic nie można ze mną zrobić?

Po jakimś czasie mama Sadie wróciła do pokoju. Było widać, że płakała. Doktor Barons wszedł za nią, miał poważną minę.

Sadie ścisnęła mnie za rękę, a ja odwzajemniłem jej uścisk. Ani na chwilę nie wypuszczałem jej dłoni, jak na wycieczkach poza obóz, kiedy kazano nam trzymać się za ręce, jakby to miało nas uratować przed ostatecznym rozdzieleniem.

– Sadie, cieszę się, że już się obudziłaś – powiedział doktor Barons.

– Słyszałam was. Jak rozmawialiście na korytarzu.

Lekarz zbladł. Mama Sadie popatrzyła na nas z przerażeniem.

– Jeśli masz jakieś pytania, chętnie na nie odpowiem – oznajmił lekarz,

próbując przywołać na twarz uśmiech.

– Tylko jedno – odparła Sadie. – Czy mogłabym dostać leki, które działały przy starszych szczepach gruźlicy?

Takiego pytania się nie spodziewałem. Ale kiedy tylko to powiedziała, rozbłysła we mnie mała iskierka nadziei. Przypomniałem sobie naszą dyskusję na francuskim o ryzykownych metodach leczenia, wyjątkowych okolicznościach ratowania życia.

Mama Sadie popatrzyła na Baronsa. On tylko westchnął i przeczesął włosy palcami.

– To ostatnia deska ratunku, po którą zresztą wolimy nie sięgać. Ryzyko jest zbyt duże.

– Ale to mogłoby jej pomóc – wtrąciłem.

Oboje wbiliśmy wzrok w lekarza – mama Sadie i ja. Barons potrząsnął głową.

– Ta metoda wymaga naprawdę wyjątkowych okoliczności. Statystyki przeżywalności są zbyt niskie, tak samo jak małe są szanse, że leczenie przyniosłoby rezultaty.

– Ale jakaś szansa istnieje! – powiedziałem. – Proszę!

– Panie Rosen, wygląda pan na niezdrowo podekscytowanego – zbeształ mnie Barons. – Czy potrzebuje pan znów czegoś na uspokojenie? Łóżko w pokoju obok znowu jest wolne.

Założyłem ręce na piersi i popatrzyłem na niego spode łba.

– Nie obchodzą mnie statystyki – wtrąciła Sadie. – To przecież moja decyzja, prawda? – dodała, patrząc na mamę, która tylko pokiwała głową w bolesnym milczeniu.

– Oczywiście, kochanie.

– A ja chcę spróbować – oznajmiła Sadie rzeczowo. – Dwadzieścia pięć

procent szans, że leki mi pomogą. Ryzyko, że mnie zabiją, też dwadzieścia pięć procent. A jeśli w ogóle nie zadziałają, to i tak wiemy, czego się spodziewać. Mamo, proszę...

Mama Sadie znów zaczęła pociągać nosem. Przycisnęła dłonie do twarzy, jakby próbowała w ten sposób utrzymać rozpacz pod масечką. Doktor Barons podał jej jeszcze jedną chusteczkę. Zauważyłem, że w kieszeni białego kitla ma całą paczkę. Zastanawiałem się, czy zawsze je przy sobie nosi, czy zabrał opakowanie specjalnie przed przekazaniem złych wieści.

– Może zastanów się do końca dnia, a jutro porozmawiamy jeszcze raz, kiedy emocje trochę opadną? – zaproponował.

– Nie zmienię zdania – poinformowała go Sadie, kaszląc cicho.

Przytrzymała sobie przy tym żebra poduszką, którą przyniosła jej pielęgniarka. Zrobiła się tak blada, że obawiałem się, że zemdleje.

Doktor Barons poklepał mamę Sadie pocieszająco po ramieniu i zatrzymał się w drzwiach.

– Nie powinieneś już wracać, młody człowieku?

– Do czego? – zapytałem.

Ale miałem wrażenie, że mama Sadie chce, żebym już sobie poszedł. Pielęgniarka, która zabrała Ericę na kolację, mogła w każdej chwili wrócić.

– Chyba najlepiej będzie, jak resztę wieczora Sadie spędzi z rodziną – powiedziała pani Price.

– Dobrze. – Ustąpiłem.

Ściągnąłem z twarzy масечkę i nachyliłem się nad Sadie, żeby pocałować ją w policzek. Zatrzymałem się na chwilę ze skronią przy jej twarzy, czując jej płytki oddech, ciepło skóry – zapewnienie, że ona tu jest, że żyje. Że może jeszcze z tego wyjdzie.

– Wszystko będzie dobrze – obiecała Sadie, kiedy wychodziłem.

– Wiem – odparłem, choć miałem świadomość, że to tylko puste słowa, których trzymamy się kurczowo, bo alternatywa jest zbyt bolesna, by w ogóle o niej myśleć.

ROZDZIAŁ 26

SADIE

Lek pomoże. Byłam tego pewna. Oczywiście mamę cechował większy sceptycyzm – w kółko nawijała o jakichś cudownych ziołach, których koniecznie powinnam spróbować. Odparłam, że to świetny pomysł, by wreszcie odpuściła, bo tylko mnie tym dołowała.

Kiedy doktor Barons zajrzał do mojego pokoju następnego dnia, okazałam, że nie zmieniłam zdania. Nadal chciałam się poddać leczeniu. Był zaskoczony – i chyba nie do końca uradowany – że jestem gotowa zaryzykować. Ale przecież nie miałam wyboru. To była moja jedyna nadzieja, a jeśli czegokolwiek nauczyłam się w Latham, to tego, że z drugiej szansy się nie rezygnuje.

Poza tym chyba w głębi duszy byłam zadowolona, że mój los nadal jest niepewny. Że wróciłam do tego stanu, w którym znajdowałam się przez ostatnie osiemnaście miesięcy, gdy nie wiedziałam, czy Latham to mój ostatni przystanek, czy jednak wrócę stąd do swojego dawnego życia. Tylko że teraz wiedziałam na pewno: jeśli mi się poprawi, spakuję swoje rzeczy, zacznę przyjmować protocylinę, wrócę do liceum, a co wieczór przed

zaśnięciem będę dzwonić do Lane'a i jakoś wspólnie sobie z tym wszystkim poradzimy. Może nawet będziemy jeździć w weekendy na pikniki, wybierzemy się zobaczyć jakieś przedstawienie Mariny albo odwiedzimy Nicka, żeby przekonać się na własne oczy, jaki ma wypasiony dom – kiedyś wysnęło mu się coś o korcie tenisowym na podwórku. Może nawet kupimy parę winyli w antykwariacie i zostawimy je w Modesto, na grobie Charliego. Albo wrócimy do Latham i usiądziemy na ganku zabitego deskami domku, żeby sobie powspominać.

Doktor Barons pozwolił moim przyjaciółom przyjść po południu w odwiedziny. Ubrali się na galowo, tak jak na wieczór filmowy, kiedy wszyscy inni byli w piżamach, a my wyglądaliśmy, jakbyśmy zatrzymali się na sali gimnastycznej tylko na chwilę, w drodze na studniówkę.

Od Nicka bił charakterystyczny zapach, jakby zafundował sobie trochę za dużo odwagi w płynie – po minie Lane'a poznałam, że zdążył już wziąć Nicka na słówko.

– Wow, ktoś tu nieźle zatankował – skwitowała Marina. – Masz gumę.

Rzuciła mu opakowanie, a Nick włożył drażetkę do ust i wymamrotał niezdarne podziękowanie.

Marina nerwowo wygładziła sukienkę. Było widać, że w skrzydle szpitalnym czuje się najbardziej niekomfortowo z nas wszystkich. Siedziała na samym brzeżku krzesła, jakby w każdej chwili zamierzała się z niego zerwać i wybiec.

– Pięknie wyglądacie – powiedziałam. – Czyj to pogrzeb?

Cała trójka popatrzyła na mnie z przerażeniem.

– Żartuję.

Oparłam się o poduszkę i zamknęłam oczy, tylko na chwilę. Tak łatwo

się teraz męczyłam, a leki przeciwbólowe sprawiały, że nie mogłam się do końca rozbudzić.

Lane niezręcznie poprawił krawat. Wyglądał cudownie: włosy miał przydługie i trochę rozwichrzone, akurat tyle, ile trzeba. Przypomniał mi się ostatni raz, kiedy był tak ubrany – do naszego zdjęcia ze studniówki na niby.

Dzięki Bogu mamy nie było w pokoju. Zabrała Ericę na lunch do miasta, więc zostaliśmy we czwórkę: ja w piżamie, moi przyjaciele w eleganckich strojach i maseczkach na twarzach. Wiedziałam, że to miało być zabawne, ale myśl, że oni wyglądają inaczej, trochę zapiekła. Bolało mnie, że jestem zbyt chora, by wziąć udział w zabawie, jakbym już nie była jedną z nich.

– Zagramy w oszusta? – zaproponowała Marina, wyjmując z torebki talie kart.

Wszyscy podsunęli sobie krzesła do łóżka, Marina potasowała karty. Odpadłam pierwsza. Po przegranej położyłam się na plecach, słuchałam ich głosów i wyobrażałam sobie, że leżę z nimi na trawie w promieniach słońca, a nie w szpitalnym pokoju.

Mama wróciła z Ericą, kiedy Lane walczył z Nickiem o mistrzostwo w grze. Z uśmiechem przyglądała się energicznemu zagrywkom Nicka i spokojowi Lane'a, który obrał subtelniejszą taktykę manipulacji przeciwnikiem. Cieszyłam się, że mama poznała moich przyjaciół i że mogła zobaczyć odrobinę naszego życia w Latham. Wiedziałam, że nie była pewna, czy ich nie zmyśliłam. Tak jak w listach, które wysyłałam do niej z obozu – opisywałam w nich, że zaprzyjaźniłam się ze wszystkimi dziewczynami, ale kiedy przyjechała mnie odebrać, nikt nie przyszedł się ze mną pożegnać.

W poniedziałek dostałam leki. Doktor Barons przyszedł do pokoju i podwiesił torebkę z płynem na stojaku do kroplówki, po czym ustawił najniższe możliwe dozowanie. Mama wychyliła się na krzesło i chwyciła

moją dłoń, chociaż nic mnie nie bolało. Na chwilę przypomniało mi się, co Marina powiedziała o rodzicach Amita – jak po jego powrocie do domu skakali wokół niego i traktowali go jak inwalidę. Ale odepchnęłam od siebie tę myśl, podobnie jak inne: o mężczyznach blokujących mi drogę w bocznej uliczce na festynie, o Michaelu rzucającym się na mnie w lesie i o tym, że mama zużyła już dwa duże opakowania płynu do dezynfekcji rąk.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że przyszło już lato, a ja i Lane jesteśmy opiekunami na obozie i pilnujemy, żeby nikt nie prześladował dzieci z naszych domków. Lane nosiłby poszarpane dżinsy i mokasyny, a z szyi zwisałaby mu smycz z kluczami. Oboje mielibyśmy takie same obozowe koszulki. Opiekalibyśmy pianki nad ogniskiem, cali umazani czekoladą. Wymknęlibyśmy się razem pod prysznic, po moich docinkach, że Lane nie będzie miał dość odwagi. A potem wyobraziłam sobie antybiotyk spływający mi przez kroplówkę do żył, pokonujący chorobę i przywracający mnie do życia.

Tylko że nic takiego się nie wydarzyło.

Po południu skoczyła mi gorączka. Pielęgniarka podała mi coś, żebym przestała się trząść, ale czułam taki ból w piersi, że już wiedziałam. Lek nie zadziałał. Nie byłam dostatecznie wyjątkowa.

Jeśli życie i umieranie naprawdę są tym samym, to znaczy, że siedemnaście lat umierałam, a teraz byłam już prawie na końcu tej drogi. Ale dawno zdążyłam się z tym pogodzić. Moim cudem był nie lek, tylko fakt, że dostałam drugą szansę. Jednak szanse nie są wieczne. I nawet cuda mają datę ważności.

Mama uśmiechnęła się do mnie, marszcząc oczy w kącikach. Trzymała mnie za rękę.

– Hej, kochanie – powiedziała cicho. – Wszystko dobrze. Wszystko jest dobrze.

Zamknęłam oczy. Chciałam w to uwierzyć.

To takie dziwne – chwila naszych narodzin jest precyzyjnie ustalona na linii czasu, ale godzina śmierci może się dowolnie zmienić w zależności od tego, co zjedliśmy na obiad, gdzie postanowiliśmy przejść przez ulicę albo komu zaufaliśmy podczas spotkania w ciemnym lesie. A może wszystkie te drobne chwile po prostu składają się na jedną ostateczną całość, bo to oznaczałoby, że moja śmierć jest wypadkową mojego życia. Czymś, co mam na własność – nie ślepym trafem.

To sprawiło, że myśl o umieraniu stała się łatwiejsza do zniesienia: kiedy nasz czas dobiega końca, wracamy do Boga. Niektórym z nas trafia się krótsza słomka, niżbyśmy chcieli, ale przynajmniej sami ją losujemy.

Kiedy przyjechałam do Latham, sądziłam, że to miejsce istnieje po to, by chronić świat przed nami. Teraz jednak rozumiałam, że jest na odwrót. Latham chroniło nas przed światem.

A z oszukiwaniem śmierci tak to już jest – ostatecznie i tak przegrasz.

ROZDZIAŁ 27

LANE

Do końca tliła się we mnie nadzieja, że Sadie przeżyje. Że jakimś cudem dotrwa do pierwszej dawki protocyliny. Że da się ją wyleczyć, jak nas wszystkich w Latham. Ale w głębi duszy znałem prawdę.

Leczenie, o które poprosiła, nie podziałało. Jej stan zaczął się pogarszać.

Teraz Sadie przez większość czasu spała, a ja wszystkimi sposobami przekonywałem pielęgniarki, żeby wpuściły mnie do jej pokoju, i całymi dniami przesiadywałem z książką przy jej łóżku.

Mama Sadie też była przy niej. Rozwiązywała ołówkiem jedno sudoku za drugim, co jakiś czas ukradkiem ocierając łzę. Jej chłopak – a może narzeczony – przychodził i wychodził. Był łysy i trochę sflaczały, zostawiał torby pełne zdrowego jedzenia i wyglądał, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Marina siedziała z młodszą siostrą Sadie, grała z nią w planszówki i pożyczała jej powieści fantasy. Nick też czasem zaglądał. Przynosił smętne kwiatki zebrane nad jeziorem, choć sam był jeszcze bardziej przywiędły od nich.

W środę zostaliśmy z Sadie tylko we dwoje. Siedziała oparta na

poduszkach, z wyciągniętą przed siebie dłonią – chciała, żebym pomalował jej paznokcie jaskrawofioletowym lakierem.

– Cztery minus – oceniła, przyglądając się efektom mojej pracy. – Przegapiłeś z pół kciuka.

– To nie takie łatwe! – zrzędziłem.

– No, lepiej, żebyś to naprawił, bo pewnie będę nosić ten lakier do końca życia.

Mocniej zacisnąłem szczękę.

– Przepraszam. – Westchnęła. – To nie było zabawne. Proszę, zapomnij wszystkie nieśmieszne rzeczy, jakie kiedykolwiek ode mnie usłyszałeś.

– Czyli wszystkie twoje żarty?

– Czyli wszystkie moje żarty – powtórzyła, zamykając oczy.

Przez chwilę sądziłem, że zasnęła, ale po chwili zapytała, bardzo cicho:

– Jak myślisz, co się z nami dzieje po śmierci?

Nie spodziewałem się takiego pytania. Nie miałem gotowej odpowiedzi.

– Nie wiem – powiedziałem w końcu. – Może to zależy od osoby.

– Ja mam taką teorię, że życie to po prostu czas zbierania surowego materiału do obróbki. A kiedy umieramy, możemy układać z niego dowolne kombinacje i przeżywać je jeszcze raz w dowolnym porządku. Więc mogłabym spędzić całą wieczność na przeżywaniu tych dni, kiedy byłam bardzo szczęśliwa, i nigdy nie musiałabym wracać do tych złych. Widzisz, na tym polega sekret dobrego życia. Musisz się postarać, żeby nazbierać jak najwięcej dni, do których będziesz chciał potem wracać.

Sadie z trudem przełknęła ślinę. Zobaczyłem, że płacze.

– Myślisz, że ja też mógłbym do nich wrócić? – zapytałem. – I znów cię spotkać, w naszych najlepszych dniach?

– Myślę, że tak – wyszeptała, mówiąc z każdą chwilą coraz wolniej. –

Spotkamy się tam. Będę na ciebie czekać. Mam nadzieję, że bardzo długo.

Umarła w czwartek, niecałe dwa tygodnie przed podaniem pierwszych zastrzyków protocyliny mieszkańcom Latham.

Nie było mnie przy tym.

Kiedy umierała, mama trzymała ją za rękę. Sadie nie zabiła gruźlica, tylko lek, który miał ją ocalić. Przeżyłaby, gdyby Michael jej nie zaatakował. Gdyby nie poszła tamtej nocy do lasu. Gdybym ja poszedł razem z nią. Gdyby ludzie nie bali się tak chorób, których nie rozumieją, gdyby mniej przerażała ich myśl, że niewidzialna ręka zarazy ich też dopadnie.

Na biologii dowiedziałem się, że organizm co siedem lat wymienia stare komórki na nowe. Czyli pewnego dnia będę miał ciało w całości złożone z komórek, które nigdy nie były chore. Ale to oznacza, że ta część mnie, która znała i kochała Sadie, też zniknie. Nadal będę pamiętał, że ją kochałem, ale nie będę już tym samym chłopakiem, który ją kochał. I może właśnie na tym polega podnoszenie się po tragedii. Hodujemy nowe komórki, które zastępują te pogrążone w żałobie, rozcieńczając w ten sposób ból, aż w końcu cierpienie straci na sile.

Procent mojej skóry, który dotykał jej ciała, będzie stopniowo maleć, aż pewnego dnia moje wargi nie będą już tymi samymi wargami, które ją całowały. Zostaną mi tylko wspomnienia: Domki w lesie ustawione w podkowie. Wysoki metalowy stojak na tace na stołówce. Biurka w bibliotece. Skała, przy której się całowaliśmy. Na wpół zatopiona łódka w jeziorze Latham. Sadie pstrykająca zdjęcie, śmiejąca się w kolejce do dietetyczki, leżąca przy mnie w zielonej sukience na sali gimnastycznej, jej głos w słuchawce telefonu, jej wargi o smaku jabłek na moich ustach. To takie niesprawiedliwe.

Wszystko.

Doktor Barons powiedział, że nie mogę się z nią zobaczyć. Przekazał mi wieści. Już się zmierzchało, niedawno zmieniliśmy czas na zimowy. Przeszedłem przez trawnik i zacząłem walić w drzwi domu numer 7, aż wreszcie Genevieve zeszła na dół i mi otworzyła.

Przepchnąłem się koło niej do środka, nie zastanawiając się nawet, co robię. Ale zorientowałem się, że nie wiem, który pokój należy do Sadie.

– Nie możesz tu wchodzić! – zawołała za mną Genevieve.

– Szukam pokoju Sadie – odparłem.

Kiedy spojrzała mi w oczy, chyba się zorientowała, że nie odpuszczę. Zaprowadziła mnie pod same drzwi.

Wszedłem do środka i nagle poczułem, że Sadie otacza mnie ze wszystkich stron. Światelka rozpięte wokół jej łóżka, wieże z książek posegregowanych według kolorów, stara skrzynia w kącie, oblepiona naklejkami z Harry’ego Pottera. Doniczka z miętą, którą hodowała na parapecie – to wyjaśniało, dlaczego zawsze czułem od niej ten świeży zapach. Kubek w kształcie angielskiej budki telefonicznej, wypełniony cienkopisami w różnych kolorach. Mapa świata nad łóżkiem ze zbitką szpilek w południowej Kalifornii i jedną na Hawajach.

Miałem ochotę zwinąć się w kłębek i zostać w tym pokoju na zawsze, razem ze wszystkimi nadziejami i marzeniami Sadie. Z jej niezapełnioną mapą i osieroconym krzaczkiem mięty. Zamiast tego tylko wyjąłem z jej aparatu kartę pamięci. A potem wróciłem do swojego pokoju i z całych sił spróbowałem rozpuścić się w powietrzu.

Pierwszy wieczór był nie do zniesienia. Nie chciałem iść na kolację i siedzieć we trójkę z Nickiem i Mariną, jakby puste krzesła koło nas zmieniły się w nagrobki. Chciałem zapamiętać ten stolik tak, jak widziałem go pierwszego dnia pobytu: najbarwniejszy ze wszystkich, z grupką

przyjaciół, od których aż promieniowała radosna energia. Teraz to był najbardziej ponury stolik w całym Latham. Nie mogłem się zmusić, żeby tam iść, więc nie poszedłem.

Kiedy przyszedł po mnie Jamie, siedziałem po ciemku na podłodze i przeglądałem jej zdjęcia na laptopie. To było najbliższe przebywania z nią, ale i tak nie wystarczało. Boże, oczywiście, że nie wystarczało.

– Kolacja – przypomniał mi pielęgniarz.

– Karniak – odparłem.

Jamie się zawahał.

– Zapiszę w raporcie, że źle się poczułeś.

Następnego dnia wreszcie wyszedłem z pokoju – tylko po to, żeby zapukać do drzwi Nicka.

Kiedy otworzył, wyglądał na równie zdruzgotanego jak ja. Przyszedłem tu, żeby na niego nawrzeszczyć, ale to przecież nic by nie zmieniło.

– Zamierzasz znów mi przywalić? – zapytał.

– A w czym by to pomogło?

– No, jeśli nie chcesz się tłuc, to włącz.

Gdy wszedłem, zauważyłem w kącie kosz na śmieci, z którego aż wysypywały się kartoniki po soku jabłkowym.

– Boże, jak ja za nią tęsknię. – Nick usiadł ciężko na łóżku i ukrył głowę w dłoniach. – Wiem, że to ty z nią chodziłeś, ale Sadie była moją najlepszą przyjaciółką i cholernie mi jej brakuje.

– Mnie też.

– Bez przerwy o tym myślę – drażył temat. – I naprawdę uważam, że to moja wina. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym był tam razem z nią.

– Albo i nie.

– Mógłbym zatrzymać tego typu – upierał się Nick, kaszląc w rękaw.

– Nawet nie potrafiłeś się obronić, kiedy ja cię walnąłem.

Tylko wzruszył ramionami. Wiedział, że mam rację.

– Bardzo chciałbym być na ciebie zły – wyznałem.

– Bo obaj jesteśmy zakochani w tej samej martwej dziewczynie? – zapytał.

Wyglądał na tak załamane, że nie potrafiłem się zdobyć na wypowiedzenie żadnej wściekłej, rozżalonej myśli. Pokiwałem więc tylko głową i przyznałem, że tak – bo obaj kochamy tę samą martwą dziewczynę.

W czwartek do Latham dotarła protocyлина. Po lunchu wszyscy ustawiliśmy się w kolejce na sali gimnastycznej. Pielęgniarki siedziały przy stolikach zawalonych stertami strzykawkę, a ja starałem się nie szukać wzrokiem miejsca w kolejce, w którym Sadie mogłaby stać po swoją dawkę leku.

Siostra Monica wbiła mi igłę w ramię. Poczułem ukłucie, kiedy protocyлина wdarła się do mojego krwiobiegu.

– Dawka pierwsza z pięćdziesięciu sześciu – oznajmiła, zapisując informację na tablecie. – A teraz powiedz, jak oceniasz dziś swój ból w skali od jednego do dziesięciu.

Nie potrafiłem tego zrobić. Wydawało mi się zupełnie niewłaściwe, że miałbym klasyfikować swój ból w dziesięciostopniowej skali, jakby było go tylko dziesięć rodzajów. Bo jestem pewien, że na świecie istnieją setki, może nawet tysiące odmian bólu. I każdy wymaga zupełnie innej miary. Każdy powoduje inny rodzaj cierpienia, którego nie da się zmierzyć. Każdy jest zbyt silny i za słaby jednocześnie.

– Czekam, skarbie – popędziła mnie siostra Monica, więc spróbowałem się skoncentrować na swoim ramieniu, na leku, który przepływał mi właśnie przez żyły.

– Dwa – skłamałem.

Prawie nie pamiętam swoich ostatnich tygodni w Latham. Wiem, że codziennie po południu ustawialiśmy się w kolejce po zastrzyki i że już po pierwszych dniach ucisk, który czułem w płucach, zaczął łagodnieć, a po tygodniu mogłem wziąć głęboki wdech bez zanoszenia się kaszlem.

Dziwnie się czułem z myślą, że coś zmienia się w moich wnętrznościach. Że ta wersja mnie, która była tu z Sadie, znika na zawsze. Wprawdzie bardzo chciałem dalej żyć przeszłością, ale przede mną roztaczała się długa, świetlana przyszłość. Latham House, który kiedyś wydawał się zajmować moje życie aż po horyzont, teraz zmieniał się w relikwiarz dawnych czasów.

Epidemia była pod kontrolą, aż w końcu wszystkie sanatoria pozamykano. A nas, kiedyś wyrwanych ze świata siłą, wpuszczono do niego z powrotem, jakby nic się nie zmieniło. Ale my się zmieniliśmy. Przez długie miesiące bez internetu, telefonów i pewności, że czeka nas jakakolwiek przyszłość, musieliśmy się zmienić. W każdym razie wiem, że tak się stało ze mną.

Kiedy SUV mojego taty wtoczył się na podjazd przed Latham, a rodzice wysiedli z auta – mama płakała, tata był sztywny, ale uśmiechnięty – pojąłem, że nie byłem częścią tego miejsca tak samo jak Sadie. Mój dom czekał na mnie w prawdziwym świecie. Jej dom był tutaj. Sadie już dawno się z tym pogodziła.

Mimo to nadal tak samo bolała mnie świadomość, że nie pomogę jej w noszeniu rzeczy do samochodu jej mamy. Wyślizgnęła mi się przez palce, ukradkiem uciekła z mojego życia – ze swojego też.

Kiedyś bardzo dużo myślałem o przyszłości, ale teraz więcej czasu spędzam na wspomnieniach. Wkradają się nieproszone w każdej chwili – kiedy siedzę w kawiarni nad pracą domową, wkładam koszulę ze swoim imieniem na metce z pralni w Latham albo kiedy nauczyciel wywołuje mnie do odpowiedzi na francuskim. Wiem, że w końcu postanowię, co chcę zrobić ze swoim życiem, ale teraz wydaje mi się, że najlepiej po prostu się nim cieszyć. Przecież i tak nie mogę mieć tego, czego naprawdę pragnę.

Bo moim prawdziwym marzeniem jest zobaczyć Sadie, jak czeka na mnie na krawężniku przed swoim domem. Chciałbym spędzić z nią dzień na plaży, który zaczęlibyśmy od smarowania sobie pleców kremem, co chwila wybuchając śmiechem. Chciałbym zabrać ją na karnawał w mojej szkole i obiecać jej życzenie rozmiarów średniej coli, jeśli zdoła złapać mnie za rękę podczas przejażdżki na karuzeli. Chciałbym, żeby chwyciła moją dłoń i zaprowadziła mnie przez las z powrotem do tej pierwszej chwili, w której ją zobaczyłem, gdy mieliśmy po trzynaście lat.

Może gdybym pocałował ją wtedy na obozie, wszystko potoczyłoby się inaczej. Może nie zarazilibyśmy się gruźlicą, nie wylądowali w Latham, nie zakochali się w sobie.

Ale to wszystko się wydarzyło. Dorośliśmy, rozchorowaliśmy się i bez ostrzeżenia poleciliśmy głową naprzód w przyszłość. Albo w brak przyszłości.

Istnieje różnica między tęsknotą a żałobą. Trzymam się nadziei, że pewnego dnia nie będę już opłakiwać Sadie, tylko po prostu wspomnę ją ze smutnym uśmiechem. I będę żyć dalej. Bo to wszystko, co można zrobić na tym świecie – nieważne, jak silne prądy tobą miotają, jak wielki ciężar spoczywa ci na barkach, jak tragiczna była historia twojej miłości. Żyje się dalej.

Wiele rzeczy musiało się wydarzyć, żebym to zrozumiał i zaczął cieszyć

się podróżą, zamiast wypatrywać celu na jej końcu. Bardzo długo siedziałem zamyślony w kawiarni. Robiło się późno. Rodzice pewnie już zaczęli się niepokoić, bo przecież był środek tygodnia. Spakowałem więc książki i wyszedłem na parking.

Wsiadłem do samochodu i ruszyłem w stronę domu, osłaniając oczy przed oślepiającymi promieniami słońca. W ostatniej chwili jednak skręciłem w lewo – tak po prostu, bo nigdy wcześniej tam nie byłem i przecież miałem jeszcze czas, żeby wybrać inną drogę.

PODZIĘKOWANIA

Pora na garść podziękowań – pewnie i tak nie wykręcę się od kupowania prezentów na święta, ale warto spróbować, prawda?

Dziękuję Katherine Tegen, mojej wspaniałej redaktorce, która wierzyła w tę książkę, nawet kiedy ja byłam przekonana, że to w ogóle nie jest powieść, tylko sałatka ziemniaczana. Merrilee Heifetz, mojej fenomenalnej agentce, dziękuję za opiekę i słowa zachęty – nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczyło. Jestem wdzięczna za pomoc Wydziałowi Etyki Medycznej Uniwersytetu Pensylwanii, a zwłaszcza profesorowi Lance’owi Wahlertowi, który dał mi do przeczytania wiersze o gruźlicy i pozwolił mi napisać pracę magisterską o narracji młodych dorosłych dotyczącej choroby. Dziękuję Emily Kern i Abbey Stockstill za niezliczone godziny spędzone w bibliotece i za bardzo otwarte pytanie: „Ta książka jest idealna, jak dobrze znasz niemiecki?”. Podziękowania należą się również moim rodzicom, którzy wykazali się wielkim taktem, kiedy spędziłam pięć dni w ich pokoju gościnnym, gorączkowo kończąc tę książkę i trzymając ich pudła jako zakładnika. Chciałabym przy okazji dodać, że oboje są przemiłymi ludźmi. Bru Coffee House – wiecie, co dla mnie zrobiliście. Daliście mi internet, kawę i zaciszny kątek do pisania, więc jestem w Was zakochana. Pisarce Novie Ren Sumie dziękuję za bohaterkie przybycie na ratunek. The Binder, przysięgam na Boga, do dziś nie mam pojęcia, jak to się stało. Rozwój: Daniel Inkeles. Nie dziękuję Netflixowi – do Was mam tylko pretensje, niszczyciele produktywności. A skoro już przy tym jesteśmy, to samo odnosi

się do Tumblra. Jak widać, nadal nie potrafię pominąć Tumblra w podziękowaniach. Zdarza się.

OD AUTORKI

Historia opisana w tej powieści to fikcja. Nie istnieje coś takiego jak hipergruźlica. Nie ma też leku o nazwie protocylina. Latham House nie znajdziecie na żadnej mapie. Zmyśliłam to wszystko, bo chciałam opowiedzieć o tym, co mogłoby się wydarzyć, a nie o tym, co jest naprawdę.

Gruźlica to choroba, która gnębi ludzkość od zarania dziejów. Charakteryzuje ją kaszel, zmęczenie, spadek masy ciała i gorączka. Przez tysiące lat nikt nie wiedział, skąd gruźlica się bierze ani jak ją leczyć. Nadawano jej wiele imion: tuberkuloza, skrofuły, suchoty, wreszcie – gruźlica.

W dziewiętnastym wieku gruźlica zaczęła zbierać największe żniwo. Stała się tak powszechna, że w 1815 roku stanowiła przyczynę jednej czwartej zgonów. Wśród jej ofiar znalazła się cała śmietanka filozofów, pisarzy i kompozytorów, dlatego zaczęto ją uważać za chorobę ludzi o artystycznych zdolnościach, jeszcze zwiększającą ich geniusz w obliczu śmierci. Siostry Brontë, Jane Austen, Elizabeth Barrett Browning, Henry David Thoreau, Robert Louis Stevenson, Franz Kafka, Fryderyk Chopin, Antoni Czechow, Voltaire, Jean-Jacques Rousseau i Rembrandt – wszyscy oni zmarli na gruźlicę.

Kiedy w dziewiętnastym wieku epoka romantyzmu kwitła, chorobę uznawano za wyróżnienie: bladość i wymizerowany wygląd, jakimi gruźlica obdarzała swoje ofiary, stały się czymś modnym. Kobiety z wyższych sfer próbowały to naśladować, pudrując twarze i pozorując brak apetytu. Na

dziewiętnastowiecznych obrazach i w sztukach teatralnych aż roi się od bladych, efemerycznych bohaterów, niejedna pada ofiarą tuberkulozy z powodu złamanego serca lub nieodwzajemnionej miłości i wita śmierć niczym wybawienie. Romantycy uważali gruźlicę za „szlachetną” chorobę, prowadzącą do przyjemnego końca, choć rzeczywistości daleko było do tego wyobrażenia.

Ta powszechna romantyzacja gruźlicy może się w dzisiejszych czasach wydawać czymś absurdalnym, ale kiedyś niewiele wiedziano o tej chorobie, a leczenie opierano w większości na domysłach. Gruźlicę uważano za wyrok śmierci, a chorych trzymano w domach, przy szczelnie zamkniętych oknach, przez co zarazki łatwo rozprzestrzeniały się na innych domowników, którzy w rezultacie też często się zarażali. Niektórzy lekarze zalecali przeprowadzkę do miejsc z lepszym klimatem, wierząc, że świeże powietrze i zdrowsza dieta podziałają na chorych lepiej niż życie w mieście.

W 1834 roku niemiecki lekarz Hermann Brehmer, który sam padł ofiarą gruźlicy, założył instytut leczenia tej choroby w podgórskiej miejscowości Sokołowsko. Kiedy pobyt w ośrodku zaczął przynosić pozytywne rezultaty pierwszym pacjentom, inni poszli w jego ślady – tak powstały sanatoria. W 1882 roku doktor Edward Livingston Trudeau założył w górach Adirondack pierwsze sanatorium w Stanach Zjednoczonych. W tym samym roku niemiecki uczyony Robert Koch odkrył szczep bakterii wywołujący gruźlicę, udowadniając tym samym, że jest to choroba zakaźna. Izolując pacjentów od zdrowego społeczeństwa, sanatoria zupełnym przypadkiem zapobiegły dalszemu rozprzestrzenianiu choroby. Wkrótce po odkryciu Kocha wynaleziono aparat rentgenowski, dzięki któremu lekarze mogli śledzić rozwój i stopień zaawansowania choroby u pacjentów. Przez kolejne kilka dekad w Europie i Stanach Zjednoczonych założono blisko tysiąc sanatoriów.

Uzdrowiska pełniły podwójną funkcję: po pierwsze izolowały chorych od reszty społeczeństwa, po drugie zapewniały odpoczynek, łagodny wysiłek fizyczny, zdrową dietę i świeże powietrze. Żaden inny sposób leczenia nie okazał się skuteczny, więc pacjenci wyruszali do odległych sanatoriów na „leczenie odpoczynkiem” w nadziei, że ich płuca zdołają odeprzeć ataki choroby. Ale dzieci zamknięte w sanatoriach nie mogły kontynuować nauki. Dlatego wkrótce niczym grzyby po deszczu zaczęły wyrastać w Stanach i Europie szkoły na świeżym powietrzu – zapewniające dobry klimat, odpoczynek i pożywne posiłki dzieciom chorym na gruźlicę.

Lekarze i naukowcy wciąż jednak nie potrafili znaleźć skutecznego leku na tę chorobę. Wielu pacjentów spędzało w sanatoriach lata. Istniały najróżniejsze ośrodki: od zatłoczonych publicznych lecznic z rzędami łóżek po prywatne instytucje przypominające eleganckie kurorty wypoczynkowe. Wyjazd do sanatorium pozwalał na oderwanie się od trosk codziennego życia – do tego stopnia, że niektórym pacjentom trudno było wrócić do domu. *Czarodziejska góra*, niemiecka powieść o dojrzewaniu wydana w 1924 roku, opisuje siedmioletni pobyt młodego człowieka w luksusowym alpejskim sanatorium. Autor powieści Tomasz Mann otrzymał później Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

Przez sto lat sanatoria pozostawały wypełnione po brzegi, aż wreszcie w 1952 roku pojawił się izoniazyd, cudowny lek na gruźlicę. Zaczęła ona odchodzić w zapomnienie, a jej miejsce zajęły AIDS i nowotwory, aż w końcu gorączka udręczonych artystów niemal na dobre zniknęła w pomroce dziejów.

Kiedy czytamy dziś powieści o bohaterach, którzy odkasłują krew w chusteczkę, po czym umierają na suchoty, mamy wrażenie, że to zmyślona choroba zamierzchłych czasów, jakiś melodramatyczny zabieg fabularny. Ale gruźlica wcale nie zniknęła na dobre. W ostatnich dziesięcioleciach powstał

nowy szczep, który zdołał wykształcić odporność na dotychczasowe leki: gruźlica wielolekooporna. Występuje zwłaszcza w krajach rozwijających się – w 2012 roku zgłoszono ponad czterysta pięćdziesiąt tysięcy przypadków tej choroby. Niemal dziesięć procent chorych cierpiało na jeszcze poważniejszą gruźlicę wielolekooporną (z dodatkową opornością na najnowsze leki). Wprawdzie nowym szczepom gruźlicy daleko do wywołania światowego kryzysu epidemiologicznego, ale fakt pozostaje faktem: gruźlicy nie udało się jeszcze ostatecznie pokonać.

Co skłoniło mnie do zgłębienia tego tematu i do napisania powieści, w której wykorzystałam swoją wiedzę o gruźlicy? Jestem z wykształcenia bioetykiem, a podczas studiów magisterskich zajmowałam się historią medycyny. Był 2009 rok, szal na sagę *Zmierzch* sięgał zenitu, aż pewnego wieczora podczas długiej sesji w bibliotece postanowiłam z ciekawości poczytać o historii mitu wampira w kulturze.

Okazało się, że współczesna legenda o wampirach narodziła się w dziewiętnastym wieku, a za tło miała różne symptomy gruźlicy. Wybuchy wampirzej histerii często pokrywały się z nagłymi wystąpieniami ognisk tej choroby. Gdy całe rodziny umierały na suchoty, zaczynało krążyć coraz więcej przesądów i opowieści. Mówiono, że pierwsi zmarli wstawali z grobów, żeby karmić się krwią członków rodziny, którym udało się pozostać przy życiu. Byłam zafascynowana. Postanowiłam napisać powieść o sanatorium pełnym wampirów.

Im więcej jednak czytałam o gruźlicy, tym mniej fantastyczną historię sobie wyobrażałam. Podczas wykładu pod tytułem „Motyw chorób zakaźnych w filmie” uświadomiłam sobie, że gruźlica nigdy nie była przedstawiana w dziełach filmowych jako choroba zakaźna dziesiątkująca ludzkość. Zniknęła z dyskursu na wczesnym etapie badań nad bakteriami i antybiotykami. A wcześniej została tak uromantyczniona, że kwarantanna

i strach przed epidemią nigdy nie stały się centralnym punktem tej narracji.

Sanatorium przeciwgruźlicze, pomimo że stanowiło idealne tło dla opowieści o dorastaniu, rzadko pojawiało się w literaturze – a w literaturze dla młodzieży nie da się znaleźć tego motywu. Swoją drogą powieści dla młodzieży w ogóle cierpią na dotkliwy brak narracji o chorobie. Dorośli mają o wiele lepszy dostęp do historii na temat choroby opowiadanych z perspektywy chorych – zarówno w literaturze pięknej, jak i w reportażach. Nastolatkom zostaje jedynie kilka powieści, które uczłowieczają doświadczenie choroby, więc jako studentka bioetyki i miłośniczka powieści dla młodych dorosłych postanowiłam coś z tym zrobić.

Z początku rozważałam przeniesienie wyprawy w krainę choroby na poziom metaforyczny, na wzór *Piekła* Dantego czy *Podróży Guliwera*. W dzisiejszych czasach jednak taka wyprawa częściej dotyczy choroby umysłowej niż fizycznej. Pacjenta zamyka się w odosobnieniu, po czym miejsce dawnego świata zajmuje nowa rzeczywistość, działająca według innych niż dotąd zasad. Dopiero po oderwaniu od codziennej rutyny pacjent jest w stanie wyzwolić się z jej ograniczeń i zostać uleczony – na płaszczyźnie zarówno metaforycznej, jak i czysto medycznej.

Zacząłam sobie wyobrażać epidemię stuprocentowo lekoopornego szczepu gruźlicy – nie w krajach Drugiego czy Trzeciego Świata, ale w miastach dzisiejszej Ameryki. Zastanawiałam się, co by było, gdyby ludzie zaczęli zapadać na długotrwałą zaraźliwą chorobę, której współczesna medycyna nie potrafi wyleczyć. Następnie zadałam sobie pytanie, jak zwykłego nastolatka zmieniłoby doświadczenie przeniesienia ze szkoły do instytucji medycznej. Gruźlica to w końcu choroba młodych. Zacząłam tworzyć w myślach sanatorium dla nastolatków, zapożyczając elementy szkół na świeżym powietrzu i prywatnych sanatoriów, takich jak to przedstawione w *Czarodziejskiej górze*, ale dodałam do tego elementy niewykorzystywane

wcześniej w narracji o gruźlicy: nowoczesną technologię i lęk zdrowych przed zarażeniem. I tak powstało tło dla mojej powieści.

Co w książce *Dzień ostatnich szans* jest prawdziwe, a co zmyślane? Nazwa Latham House pochodzi od Arthura Lathama, wybitnego angielskiego lekarza, który na początku dwudziestego wieku opublikował traktat o leczeniu gruźlicy. Inspiracją dla szkolnej atmosfery Latham było Hailsham z *Nie opuszczaj mnie* Kazuo Ishiguro, innej powieści o alternatywnym rozwoju medycyny i instytucjach, jakie mogłyby przez to powstać. Zachorowania na hipergruźlicę, którą wymyśliłam, to najgorszy możliwy scenariusz rozwinięty na podstawie coraz bardziej alarmujących artykułów i materiałów w mediach na temat świńskiej i ptasiej grypy, krztuśca i eboli. Negatywna reakcja hipergruźlicy na leki działające na inne postacie gruźlicy, nawet w bardzo zaawansowanych stadiach, została zaczerpnięta z artykułu, na który natknęłam się w naukowym czasopiśmie medycznym. Artykuł opisywał zwiększoną śmiertelność chorych na gruźlicę wielolekooporną, którym podawano nowe leki drugiego rzutu. Protocylicyna jest oczywiście zmyśloną leką na zmyśloną chorobę. Ale problem opieki medycznej w prywatnych sanatoriach takich jak Latham, gdzie zamożni, ubezpieczeni pacjenci jako pierwsi mają dostęp do nowych leków, został zaczerpnięty z rzeczywistości. Podobnie jak zagadnienie wyjątkowych okoliczności ratowania życia oraz kwestia ryzykownych metod leczenia, od których lekarze odwodzą chorych. Zajmowałam się tymi tematami na studiach magisterskich i jestem nimi zafascynowana do dziś. Chodzi tu przede wszystkim o ideę, że to pacjent ma ostateczną kontrolę nad własnym losem – a czasami stanowienie o sobie jest największym aktem wolności, na jaki można się zdobyć w systemie, który postrzega pacjentów przez pryzmat diagnozy, a nie ich człowieczeństwa.

Lane i Sadie zmagają się z pytaniem, co to właściwie znaczy żyć

własnym życiem. Dla każdego z nich gruźlica jest symbolem głębszego problemu. Lane po przyjeździe do Latham jest tak wyczerpany rygiorem nauki, że dosłownie go to pożera. Sadie zinternalizowała wszystkie swoje lęki i zamiast podjąć jakieś działanie, zaczęła się bać prawdziwego życia. Historia opisana w tej książce nie koncentruje się na tym, jak to jest być chorym. Tak naprawdę to książka o byciu outsiderem. Ale przede wszystkim o drugiej szansie i o wierze w to, że kiedyś uda nam się znaleźć swoje miejsce w świecie. I że będziemy dość silni, by do niego dotrzeć.

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[OD AUTORKI](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *Extraordinary Means*

Copyright © 2015 by Robyn Schneider

Copyright © for the translation by Aga Zano

Opieka redakcyjna: Natalia Karolak

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Isaiah & Taylor Photography / Stocksy

Fotografia autorki: © Robyn Schneider

ISBN 978-83-7515-642-3

moondrive

www.moondrive.pl

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com

Nowa powieść autorki
bestsellera *Początek wszystkiego*

ROBYN SCHNEIDER

Dzień
OSTATNICH
SZANS

moondrive